

Prof. Jerzy Białkowski
Bp Albin Małysiak

Z duszpasterskiej teki

refleksje pastoralne

PRZEDMOWA

Niniejsze rozważania stanowią próbę duszpasterskich sugestii. Dzielą się one na trzy grupy. Pierwsza zawiera propozycje odnosząc się do duszpasterstwa parafialnego, druga przynosi zagadnienia dotyczące zakonów, a trzecia — problemy duszpasterstwa polonijnego. Te ostatnie budzą u nas obecnie coraz większe zainteresowanie. Wszakże prawie jedna czwarta część narodu polskiego mieszka poza granicami Ojczyzny.

Rozważania te kształtowały się podczas mojej pracy proboszczowskiej i dziekańskiej oraz posługi biskupiej. Omawiałem je również na wykładach z teologii pastoralnej w Instytucie Teologicznym Księży Misjonarzy w Krakowie. Doświadczenia z sal katechetycznych, z kościoła, z kancelarii parafialnej, ze spotkań z wiernymi, obserwowaną na żywo problematykę duszpasterską przenosiłem do sali wykładowej.

Niektóre rozważania były już drukowane w różnych czasopismach religijnych. W książce tej przeobraziłem je w mniejszym lub większym stopniu. Niektóre są całkiem nowe.

Z wielkim zainteresowaniem czytamy listy naszych kapłanów na temat ich pracy duszpasterskiej w brazylijskim interiorze czy afrykańskim buszu. Ale i stara Europa, i nasza Ojczyzna, nie są ubogie w tematy, które mogą budzić emocje i wołać o rozwiązanie.

Bp Albin Małysiak

KATECHETYCZNY TRUD

I

Zbyszek był dobrym chłopcem i szczerze kochał matkę. Uczęszczał do IX klasy licealnej. Razem z matką chodził do kościoła, a czynił to chętnie. Wziął z nią również udział w liturgii Wielkiego Tygodnia. Po nabożeństwie wielkopiątkowym powiedział w domu: Mamo, czemu ludzie pchali się do środka kościoła i coś tam całowali? Ty też byłaś z nimi. Zbyszek nie wiedział, że w czasie ceremonii wielkopiątkowych krzyż, znak naszego zbawienia i niepojętej miłości Boga do człowieka, celebrans trzykrotnie ukazuje wiernym, a potem oni na środku kościoła z żywą wiarą całują ten krzyż.

Rodzicom udało się Krystynę wychować religijnie dobrze. Będąc w szkole podstawowej, średniej i na wyższej uczelni, zawsze z głęboką wiarą przeżywała nabożeństwo pierwszopiątkowe. Na drugim roku studiów miała duże trudności z egzaminami. Mama i córka obiecały Panu Bogu, że po szczęśliwych egzaminach odbędą pieszą pielgrzymkę z Krakowa do Częstochowy. Obietnicy dotrzymały. Przypadek sprawił, że po pielgrzymce duszpasterz akademicki podał Krystynie do ucałowania relikwie bł. Kingi. Ale ona zapytała: Co to są relikwie?

Andrzej i Staszek są na studiach. Wychowano ich tak, że Mszy św. niedzielnej nie opuszczą nigdy. Obchodzą swoje imieniny. Okazuje się, że Andrzej nie potrafi odróżnić św. Andrzeja Apostoła od św. Andrzeja Boboli, a Staszek nic nie wie ani o św. Stanisławie biskupie, ani o św. Stanisławie Kostce.

Trzeba było się podjąć wielkiego trudu. Pracować dosłownie w pocie czoła, by Zbyszkowi, Krystynie,

Andrzejowi, Staszкови i setkom im podobnych przekazać pewne prawdy religijne, by ich wprowadzić w lepsze zrozumienie i głębsze przeżywanie tych prawd.

II

Niech mi będzie wolno sięgnąć nieco pamięcią wstecz. W ciągu długich lat pracy kapłańskiej katechizowałem przedszkolaków, dzieci szkół podstawowych, młodzież szkół średnich i akademicką. Przekazywanie prawd wiary, a raczej wprowadzanie w te prawdy stanowiło dla mnie, i jak mi się zdaje dla słuchających, źródło wielkiej radości. Bywało ciężko. Niejeden raz prawie dusiłem się w ciasnej, zatłoczonej dziećmi lub młodzieżą salce. A przecież trzeba było w tych trudnych warunkach utrzymać uwagę młodych. Czasem po pięciu kolejnych katechezach z dużymi grupami byłem całkowicie wyczerpany.

Najlepiej mi się pracowało z młodzieżą szkół średnich i z młodzieżą akademicką. Tam można było rzeczowo rozmawiać. Często zaskakiwali mnie trafnością swych spostrzeżeń. Będąc z nimi, sam się dokształcałem. Budowali mnie również prostotą i szczerością oraz swym idealizmem.

Na terenie parafii powstawały nowe osiedla. Trzeba było stale reorganizować katechizację. Ośrodek był duży, liczył ponad 4 tysiące dzieci i młodzieży. Prace katechetyczne prowadziło siedmiu księży i siostra katechetka. W tygodniu przeprowadzaliśmy ponad 200 katechez, przeciętnie każdy uczący miał 30 godzin tygodniowo, przy równoczesnym zaangażowaniu w inne prace parafialne. Co tydzień na zebraniu duszpasterskim dzieliliśmy się spostrzeżeniami. Ci, którzy posiadali większe doświadczenie, wprowadzali nowych w technikę i sztukę pracy wychowawczej.

Bez przerwy musieliśmy pokonywać najróżnorodniejsze przeszkody w naszych katechetycznych wysiłkach. Dziś te trudności są zresztą równie wielkie.

Trudności, na jakie obecnie natrafia katechizacja, są różnorodne. Najważniejsze z nich wynikają z laicyzacji szerzącej się zarówno wśród rodziców, jak i dzieci i młodzieży, oraz z przyczyn organizacyjnych, głównie z powodu niewystarczającej ilości godzin samej katechizacji.

Najpierw więc trudności wynikające z laicyzacji. Wiele się dziś o nich mówi. Przypomnijmy: materializm praktyczny, erotyzacja współczesnej kultury, zaniedbywanie praktyk religijnych. I u nas laicyzacja coraz głębiej i szerzej zapuszcza korzenie. Ona właśnie stanowi zasadniczą trudność w katechizacji.

Trudności ze strony rodziców. Często nie mają prawie na nic czasu, niektórzy pracują na półtora etatu, czasem nawet więcej. Nadto życie rodzinne i małżeńskie w wielkich miastach uległo zachwianiu, a rodzice niejednokrotnie wcale nie interesują się religijnym wychowaniem dzieci. Inna trudność to pijaństwo starszych. Awantury pijackie, które mają miejsce codziennie w naszym społeczeństwie, nie pozostają bez ujemnego wpływu na uczestniczenie młodych w katechizacji. Również dzieciom i młodzieży chronicznie brakuje czasu. Plany szkolne przewidują dużo lekcji obowiązkowych i nadobowiązkowych. W wielu wypadkach dochodzą jeszcze ćwiczenia sportowe, nauka języków obcych, muzyki, rytmiki, pływania itp.

Warto tutaj dodać, że często szczególnie trudna bywa młodzież mająca doskonałe warunki w domu, czasami wręcz rozpieszczana przez rodziców.

Trudności organizacyjne. Dobrze postawiona katechizacja powinna obejmować dwie godziny tygodniowo. Niestety — w licznych ośrodkach duszpasterskich jeszcze dzisiaj mamy tylko jedną godzinę. Wyniki minimalistycznie przyjętego planu działania nie pozwalają długo na siebie czekać. Laicyzacja rozszerza się i pogłębia. Jedna godzina katechezy tygodniowo to równia pochyła, po której kroczymy do

obojętności religijnej i ateizmu. Istnieją obiektywne przyczyny tego stanu rzeczy, ale obok nich są takie, które na pewno można by przezwyciężyć.

IV

Jak wybrnąć z powyższych trudności? Otóż rodzice katoliccy powinni pogłębić przekonanie o prymacie wartości religijnych. Owszem, dziecko musi cieszyć się dobrym zdrowiem. Młody człowiek powinien skończyć szkołę podstawową, a potem średnią i ewentualnie wyższą. Ważne jest zdobycie dyplomu, przygotowanie się do zawodu, opanowanie języków obcych, wyjazdy za granicę, kariera naukowa i społeczna. Ważne jest mieszkanie, cztery kółka, domek jednorodzinny. Ale najważniejszy jest Bóg. Chrystus woła, że nic nie pomoże człowiekowi choćby cały świat pozyskał a na duszy poniósł szkodę (Mt 16, 26).

A jednak ludzie zapominają o tak podstawowych prawdach. W wypadku zaś odrzucenia ich lub zepchnięcia na margines życiowy nie może być mowy o religijnym wychowaniu młodych, o zaangażowaniu się starszych w katechizację. Życzliwa postawa wobec katechizacji i przeżywanie jej, to wynik żywej wiary starszego pokolenia.

Katechizacja stanowi u nas obecnie tę formę duszpasterstwa, która wyznacza miejsce Kościoła w społeczeństwie. Stąd też z jej problemami muszą się wciąż zapoznawać i żyć nimi zarówno duchowni, jak i świeccy. Dla duchownych organizowane są różne zjazdy i kursy, nauczanie podlega kontroli odpowiedniego wydziału przy Kurii Biskupiej. Dlatego o nich nie będzie tu mowy. Interesują mnie tu przede wszystkim problemy rodziców, których dzieci mają obowiązek uczęszczać na katechezę. Życie potwierdza tezę, że tam, gdzie rodzice i opiekunowie włożyli wiele trudu, by przekonać i wychować swe dzieci do katechizacji, najczęściej udało się to pomimo trudności.

Sytuacja nie przedstawia się zbyt wesoło. Przypominam sobie setki rozmów przeprowadzonych z rodzicami. Otóż, dla niektórych fakt nieuczęszczania dzieci

na katechizację jest zupełnie obojętny. Mówią, że oni nie zabraniają, a jeśli dziecko chce, może sobie chodzić. Jest rzeczą jasną, że spraw religijnych nie umieszczono tu na pierwszym miejscu w hierarchii wartości. Ci sami rodzice reagują zupełnie inaczej, gdy dziecko opuści na przykład lekcję języka polskiego, matematyki lub innego przedmiotu albo jeśli chce swe wykształcenie kończyć na szóstej klasie. Inni mówili: „Gdy dorosnie, sam wybierze i zadecyduje”. Ale co ma wybierać, gdy nie ma wyboru? Żeby wybierać, trzeba poznać wartości religijne. Aby je pokochać, należy je przedtem zdobyć.

Większość odwiedzanych przeze mnie rodzin posyłała swe dzieci na katechizację. Rodzice ci nauczyli też dzieci pacierza, niestety bardzo krótkiego. Na tematy religijne rozmawiali dość chętnie. Sądzili jednak, że zadania swe już spełnili i wprowadzenie dzieci w życie religijne należy do księdza. Wielokrotnie też zwyczaj i tradycja decydowały o katechizacji, nawet o I Komunii św.

Wreszcie trzecia, nieliczna zresztą, grupa moich rozmówców pogłębiała i uzupełniała katechizację w domu rodzinnym, rozumiejąc to, że zarówno ksiądz bez rodziców, jak i rodzice bez księdza nie wychowują odpowiednio młodego pokolenia wiernych.

Hominem quaero... Szukam człowieka. Właściwego człowieka. To wołanie odzywa się stale na przestrzeni stuleci. Chodzi o osobowość duszpasterza. Tworzy ją żywa wiara, poczucie odpowiedzialności, angażowanie się, zadanie sobie trudu. Duszpasterzami są nie tylko księża, katecheci i katechetki, zakonnice czy osoby świeckie, ale również, a nawet przede wszystkim rodzice-katecheci.

KATECHETA ZDOBYWA MŁODZIEŻ

I

Przez setki lat szkoły w naszej Ojczyźnie organizowali i prowadzili duchowni. Potem, w miarę powstawania szkół państwowych, religia stanowiła w nich przedmiot obowiązkowy. Katecheci przychodzili do na ogół obszernych, czystych, pięknych sal. Dzieci i młodzież były już w nich zgromadzone. Dbały o to przepisy szkolne, troszczyło się grono pedagogiczne i rodzice. Ale taki stan rzeczy należy już do historii.

Dziś sytuacja jest całkowicie odmienna. Katecheta musi starać się o pomieszczenie do nauczania oraz przyprowadzenie i zgromadzenie w nim młodzieży.

Znamy wszyscy trud wznoszenia nowych salek katechetycznych... Dość często, szczególnie na wsiach, salka katechetyczna to pomieszczenie uzyskane z przerobionych pomieszczeń nie zawsze odpowiadających w pełni wymogom. Niejednokrotnie salki mieszczą się w zakryściach, czasem w mieszkaniu kapłana. Ale starania o miejsce do nauczania religii nie załamują, lecz, przeciwnie, mobilizują księdza wychowawcę.

Biorąc pod uwagę gromadzenie młodzieży, należy przypomnieć, że pierwszym zadaniem katechety jest przygotowanie i przekazywanie dobrej, nowoczesnej, apostołskiej katechezy. Taka właśnie katecheza działa na młodych jak magnes. Przyciąga ich do punktu katechetycznego.

Równocześnie duszpasterz zbiera i poszukuje młodzieży, która jeszcze nie przyszła do salki. Mobilizuje też rodziców. Przekazując wprawdzie doskonale przygotowaną katechezę, tym samym wprowadza młode pokolenie do domu katechetycznego, niemniej to nie wystarcza. Musi prowadzić specjalną akcję duszpaster-

ską poszukiwania i przyprowadzania młodych na katechizację.

Przewidujący katecheta często przy różnych okazjach przypomina dzieciom i młodzieży o katolickim obowiązku uczęszczania na katechizację w ciągu ośmiu lat szkoły podstawowej i czterech lat szkoły średniej. Czyni to zwłaszcza na ostatnich lekcjach roku szkolnego.

II

Doświadczony duszpasterz zdaje sobie sprawę, że na początku roku katechetycznego czeka go apostolska akcja gromadzenia setek młodzieży. A oto pewne dane ilustrujące wysiłek katechety w dobrze prowadzonym parafialnym ośrodku katechetycznym.

Z klas dziesiątych różnych szkół, rozrzuconych po 700-tysięcznym mieście, uczęszczało na katechizację 383 uczniów i uczennic. Na koniec roku szkolnego młodzi ludzie otrzymali świadectwo z katechizacji. Ksiądz wychowawca prowadził ich w 9 grupach.

W czasie wakacji ksiądz katecheta korespondował z młodzieżą. Otrzymywał też od nich pozdrowienia z różnych krańców Polski i świata. Niektórych odwiedził. Różne jednak laickie formy spędzania wakacji raczej nie sprzyjały duchowi religijnemu i pobożności tak, że na pierwszą lekcję religii w nowym roku szkolnym zgłosiło się tylko 198 młodych. Brakło więc 185 osób. Ksiądz katecheta nie miał powodów do radości.

Nie zrażając się jednak trudnościami, wziął się do dzieła. Na nowo rozpałał ducha apostolskiego u młodych, którzy się zgłosili. Na trzech pierwszych lekcjach prosił, by odszukali swych kolegów i koleżanki i przyprowadzili ich na katechizację. Był to ważny moment w apostołstwie. Równocześnie do dobrej współpracy zachęcał rodziców i wszystkich parafialnych duszpasterzy. W rezultacie na katechizację nie zgłosiło się 27 osób.

W następnym roku była podobna akcja, tak że z okazji matury świadectwa ukończenia katechizacji w

szkole średniej uzyskało 317 młodych. Pewien procent odpadł, ale większość została wierna Bogu. W uroczystości rozdania maturalnych świadectw katechetycznych wziął udział ordynariusz miejsca, J. Em. Ks. Kardynał Karol Wojtyła, obecny Ojciec św., Jan Paweł II. Licznie zjawili się rodzice. Było wiele radości.

III

Przez całe lata prowadząc katechizację, duszpasterz wciąż się obawiał, by nie utracić nikogo ze swej młodzieży. Dlatego szukał jej nie tylko wyżej opisanym sposobem, rzec by można zewnętrznie, administracyjnie. Zdobywał ją stale, przyciągał, poznawał jej sposób pojmowania i myślenia, odczuwania i przeżywania. Takie podejście ma ogromne znaczenie w kontaktach z młodzieżą, z jej wychowaniem. Ksiądz dzielił z młodymi smutki i radości, przede wszystkim te ostatnie, bo było ich znacznie więcej niż smutków. Dla niektórych stał się powiernikiem i przyjacielem. Czasem zwierzali mu się ze swych nieporozumień lub konfliktów z rodzicami czy otoczeniem. Przy tych serdecznych rozmowach i wynurzeniach przyjaźni katecheta wprowadzał wychowanków w głębsze życie modlitwy i sakramentów.

Zdobywał ich przez cały rok, nie opuszczając absolutnie tej jednej jedynej godziny katechezy, którą dysponował w tygodniu. Wiedział, że gdyby choć trochę zwalniał się z tego obowiązku, natychmiast frekwencja by malała, mniej zaangażowani w życie religijnym by odpadli.

Szukał młodych, pilnując pedantycznie punktualności. Owszem, zawsze zjawiał się w salce kilka minut przed lekcją. Młodzi wchodzili do sali, a obecność w niej księdza katechety automatycznie wprowadzała spokój i ciszę. Nie dopuszczał do hałasu w klasie. Nie musiał marnować bezcennego czasu na uciszanie grupy. Katechezy nie skracał ani o minutę.

Nie przejmował się zbyt zgraniczonymi sporami na tematy teologiczne czy duszpasterskie, choć trzymał rękę na pulsie współczesnych prądów. Znał też

najnowsze osiągnięcia pedagogów i dydaktyków. Bardzo doceniał znaczenie środków audiowizualnych. Ale na spotykających się z nim emanowała przede wszystkim jego żywa wiara i pobożność.

Był pilny i pracowity. Miał znacznie lepsze wyniki od kolegów, którzy w poszukiwaniu nowości za dużo eksperymentowali, a zaniedbywali znakomite, wychowawcze doświadczenia przeszłości. Podzielał zdanie, że właściwą i skuteczną rewolucją w katechizacji byłoby sumienne i apostołskie prowadzenie każdej z setek tysięcy godzin katechetycznych. Z takich drobnych cegiełek trzeba budować wspaniałe gmach duszpasterstwa katechetycznego.

Nie należał do tych, którzy na zebraniach mówią pięknie i teoretycznie nieźle ustawiają sprawy, ale w praktyce nie są w stanie zgromadzić w salkach większych grup młodzieżowych. Był dobrym organizatorem i umiał znaleźć wspólny język z młodzieżą. W jego salce zawsze było pełno, a młodzi po Chrystusowemu przeżywali swą katechezę.

SPRAWA DOBROWOLNOŚCI PRAKTYK RELIGIJNYCH MŁODZIEŻY Z KATOLICKICH SZKÓŁ I ZAKŁADÓW WYCHOWAWCZYCH

Niektórzy z przybywających do Polski turystów zachodnioeuropejskich deklarują się w rozmowie jako religijnie obojętni. Często zaznaczają, że nie uczestniczą w niedzielnej Mszy św. Zdziwienie wywołuje fakt, że właśnie wielu z nich, to wychowankowie katolickich szkół prowadzonych przez zakonnice, przez księży czy świeckie instytuty katolickie. Na pytanie, dlaczego opuszczają Mszę św. niedzielną i dlaczego się nie modlą, odpowiadają, że będąc w katolickim internacie musieli się modlić, musieli uczestniczyć we Mszy św., byli do tych ćwiczeń religijnych zmuszani. Na skutek zmuszania nabrali niechęci i odrazy do modlitwy. Teraz, gdy są poza zakładem religijnym czy katolicką szkołą, mają nareszcie wolność.

W Stanach Zjednoczonych widziałem grupy młodzieży ze szkół parafialnych, które parami, pod przewodnictwem swych wychowawców, szły na Mszę św. do kościoła w dzień powszedni. Z niektórych szkół dzieci prowadzono na Mszę św. codziennie (rzadkie wypadki), z innych trzy lub dwa razy w tygodniu. Z pewnych szkół oprócz niedzieli, tylko raz. Po nabożeństwie przez cały dzień kościół był zamknięty, m. in. dlatego, gdyż dzieci urządziły sobie w nim miejsce zabaw.

Pracując w systemie polityczno-społecznym, gdzie zasady marksistowsko-leninowskie wprowadza się w życie, mam inne doświadczenia i przeżycia. Po wojnie do roku 1952 byłem przełożonym katolickiego (zakonnego) zakładu wychowawczego. W trzech oddzielnych domach mieszkało ponad 400 chłopców, sierot i półsierot. W tym czasie już prawie wszystkie katolickie za-

klądy przejęło socjalistyczne państwo, wprowadzając w nich program wychowania laickiego. Nam zostawiono pod względem praktyk religijnych swobodę. I wszystko zależało od tego, jak do pracy wychowawczej w duchu religijnym podejść kierownictwo i wychowawcy.

Nie było z chłopcami najmniejszych trudności w sprawie odmawiania krótkiej modlitwy przed i po jeździe. Wszyscy młodzi przyjęli też bez sporów zasadę, że w niedzielę należy uczestniczyć we Mszy św.

Gorzej było z ranną modlitwą. Odbywała się ona w kaplicy przed Najświętszym Sakramentem. Modlitwy trwały 7 minut, nadto wygłaszane było 5-cio minutowe przemówienie religijne. Prawie wszyscy chłopcy uznali, że należy iść do kaplicy na pacierz. Kiedyś w grupie liczącej 130 wychowanków, trzech oświadczyło mi, że nie będą rano chodzić na modlitwy. Poprosiłem o czas do zastanowienia. Po 4 dniach odpowiedziałem im, że nie muszą uczęszczać na modlitwy do kaplicy. W tym jednak czasie winni znajdować się w świetlicy zakładowej. Już po tygodniu włączyli się z powrotem w ranne pacierze. Może dlatego, że niektórzy chłopcy pytali, dlaczego nie idą z nimi do kaplicy, poza tym czuli się osamotnieni.

Najwięcej miałem trudności ze Mszą św. w zwykły dzień. Postawiona była zasada całkowitej dobrowolności. Po modlitwach rannych można było zostać na Mszy św. lub grać w piłkę, ewentualnie iść do świetlicy. Z grupy 130 zostawało ze mną na Mszy św. czasem 20, innym razem 15, niekiedy 6. Nie podobało mi się to. Dlatego mniej więcej raz na miesiąc w religijnej porannej pogadance była mowa o Mszy św., o najwyższej miłości Bożej ku człowiekowi, o Zbawicielu, który dał się przybić do krzyża. Msza św. stanowi bezkrwawe uobecnienie tej Ofiary Bożej. Kto uczestniczy we Mszy św., ten w duchu staje obok krzyża i razem z Matką Najświętszą współczuje Panu Jezusowi. Po takim lub podobnym fervorino, w pierwszym dniu na Mszy św. zostawali prawie wszyscy. Ale już w następnych dniach liczba stopniowo się zmniejszała, spadając znowu do 15 czy 6. Chłopcy mieli do wyboru: bieganie za piłką lub pozostanie w kaplicy. Pokusa była bardzo wielka.

Gdy niekiedy spotykam moich dawnych wychowanków, pozdrawiają mnie bardzo serdecznie. W rozmowach z nimi nie można dostrzec żadnego urazu czy niechęci do religii lub praktyk religijnych. Dziś widzę, że te wielkie zmagania o udział w ćwiczeniach duchownych, ale udział dobrowolny, to piękna i godna trudu praca. Wydaje się, że w katolickich zakładach praktyki religijne, przynajmniej niektóre (np. Msza św. w zwykły dzień) winny być pozostawione swobodnemu wyborowi młodzieży. Do udziału w tych praktykach należy młodych wychowywać i zachęcać. Od wychowawców wymaga to dodatkowego trudu i poświęcenia. W każdym razie przymus nie przynosi dobrych wyników.

O DWIE GODZINY KATECHIZACJI TYGODNIOWO

I

We współczesnym świecie za eksplozją demograficzną poszło masowe budownictwo mieszkaniowe. Również w państwach, gdzie przyrost naturalny jest całkiem umiarkowany, buduje się dużo lub bardzo dużo. W naszym kraju widzimy sporo nowych osiedli.

Proboszczowie i inni odpowiedzialni za to starają się organizować wśród tych bloków duszpasterstwo. W kaplicach i innych małych pomieszczeniach sakralnych odprawia się w niedzielę po kilkanaście Mszy św., aby umożliwić wiernym uczestniczenie w nich. Z konieczności takie nabożeństwo niedzielne trwa tylko pięćdziesiąt minut. Kazanie musi mieścić się w czasie 10—12 min. Duszpasterze często przeżywają konflikt sumienia. Bo kiedy wiernym wyjaśniać prawdy teologii dogmatycznej i moralnej, kiedy wprowadzać ich w liturgię, w życie parafii i diecezji, kiedy mówić na temat Pisma św. lub historii Kościoła. I tu z największą nadzieją spoglądamy na katechezę. Mając niewystarczające możliwości w świątyniach, musimy, szczególnie młodemu pokoleniu, głosić Chrystusa w salkach katechetycznych. Rzecz oczywista, w wymiarze dwóch godzin tygodniowo.

Mówi się u nas dużo o słabym uczestnictwie chrześcijan Europy Zachodniej w nabożeństwach. Ale zapominamy może o tym, że mają oni duże możliwości zapoznania się z prawdą Chrystusową poprzez środki społecznego przekazu. Czynne tam są również nadal liczne szkoły katolickie. Z przeprowadzonych wśród wiernych ankiet wynika, że dość chętnie słuchają oni religijnych audycji radiowych. Żyjąc w innych wa-

runkach, winniśmy ludziom przekazywać Chrystusa poprzez katechizację. Badania duszpasterskie wykazują, że jedna godzina jest absolutnie niewystarczająca.

Rozmowy z setkami wiernych świadczą o wielkiej ignorancji religijnej naszego katolickiego społeczeństwa. Dobrze zdajemy sobie sprawę, że bardzo często ta ignorancja dotyczy już nie szczegółów liturgicznych, ale zasadniczych prawd wiary. Gdzie tkwi źródło tej bardzo płytkiej wiedzy religijnej? Otóż między innymi w niewystarczającym przekazywaniu prawd ewangelicznych. Nasza katecheza, zasadnicza forma przekazu, nie spełnia należycie zadania. A przecież jej właściwy cel jest ten, by najpierw dać wiedzę o Bogu i równocześnie kształtować sumienia. Katecheza w wymiarze jednej godziny tygodniowo nie wystarcza. Konieczne są dwie godziny. W krajach zachodnich, w katolickich szkołach, w programie mieści się nawet 5 godzin religii tygodniowo.

Mówiąc o dwóch godzinach mamy na myśli dzieci od klasy I do VIII. Musimy sobie również już teraz uświadomić, że w systemie szkoły 10-klasowej wierząca młodzież wszystkich klas winna być objęta programem katechizacji 2 godzin tygodniowo. W klasach zerowych obowiązuje jedna godzina tygodniowo.

O ile zabiera się głos na temat katechizacji, trzeba uzgodnić treść słów „lekcja religii” i „katechizacja”. Te dwa pojęcia przez wielu u nas promiscue usurpanur, czyli określa się nimi te same treści. Dawniej i zaraz po wojnie mówiło się lekcja religii, ponieważ młodzi zdobywali wiedzę o Bogu na lekcjach religii w szkole. Tam też przeżywali prawdy Boże. Obecnie słowo lekcja religii zanika, a jego miejsce zajmuje wyraz katechizacja. Ci, którzy raczej unikają słowa lekcja religii, zastępując je katechizacją, pragną mocno podkreślić, że ta ostatnia nie tylko ma przekazywać wiedzę religijną, lecz przede wszystkim kształtować charakter. Uczestniczący w szkolnych „lekcjach religii” (choćby w okresie międzywojennym) dobrze pamiętają, że dając wiedzę, w wysokim stopniu kształtowały również katolickie postawy życiowe.

Synod Biskupów obradujący w jesieni 1977 r. w Oregónie swym do Ludu Bożego „Współczesna katecheza, zwłaszcza dzieci i młodzieży” przedstawia tło współczesnej katechezy i jej przymioty. Pozytywne cechy katechezy stanowią o jej powodzeniu. Warto przypomnieć, że niezmiernie istotną jej cechą w wielu krajach, a szczególnie w Polsce, musi być wymiar dwóch godzin. Temu właśnie zagadnieniu pragnę poświęcić poniższe rozważania.

Kościół katolicki w Polsce i na świecie żyje w przełomowych czasach. Przez prawie tysiąc lat nauczanie religii odbywało się w szkole. Na zasadzie rozdziału Kościoła od państwa ostatecznie w roku 1961 przeniesiono lekcje religii ze szkół do salek katechetycznych lub kościoła. Mija już prawie 20 lat od tego faktu. Po ostatniej wojnie troska o katechizację spadła na barki katolickiego społeczeństwa, na biskupów, kapłanów i rodziców. W tej pracy są już duże osiągnięcia, ale również i do zrobienia pozostało bardzo wiele.

Realizacja programu dwóch godzin tygodniowo różnie się będzie przedstawiała w poszczególnych parafiach. Inaczej wyglądać będzie w parafii-gigancie, a inaczej w parafii 2-tysięcznej. Inaczej w ośrodku, gdzie uczy religii jeden tylko duchowny — proboszcz, inaczej w osiedlu, gdzie jest tylko salka katechetyczna i wierni w czasie nabożeństwa stoją pod gołym niebem, a jeszcze inaczej w parafii dawno istniejącej, dobrze zorganizowanej, o dobrych tradycjach katechetyczno-duszpasterskich.

W niniejszej wypowiedzi, w syntetycznym skrócie, staramy się rozważyć pewne dane odnoszące się do wszystkich ośrodków.

Program dwóch godzin katechizacji tygodniowo winien być wprowadzony w najbliższych kilku i kilkunastu latach. Teraz musi się wytworzyć tego rodzaju praktyka katechetyczna. Jeśli nie dokonamy tego w najbliższych latach, później będzie to niemożliwe. Obojętność religijną szalenie trudno wykorzenić.

Warto tu dodać, że przez długie lata w polskich

szkoiach podstawowych (oprócz kl. I) były dwie godziny katechizacji w tygodniu. Obecnie nie czynimy nic nowego, tylko w innych warunkach pragniemy przywrócić znów dwugodzinną katechizację.

Dziś w niektórych diecezjach w zasadzie wprowadzono dwie godziny katechizacji. Są nawet takie bardzo rzadkie przypadki, że proboszcz szczyty się trzema godzinami katechezy tygodniowo. Ale to naprawdę wyjątki. Zapewne jednak w większości polskich parafii jest tylko jedna godzina religii tygodniowo. Tymczasem katechizacja normalnie prowadzona musi obejmować przynajmniej dwie godziny w tygodniu.

I trzeba bić na alarm, gdyż niektórzy proboszczowie, ulegając trudnościom, w klasach gdzie dotychczas mieli dwie katechezy tygodniowo, zostawiają tylko jedną. A więc nie postęp, lecz cofanie się. Niektórzy też lekcję liczącą 60 minut podają jako katechezę dwugodzinną. Nie należy nadto dwóch katechez, każdą o pełnym wymiarze minut, łączyć razem, lecz prowadzić je w dwóch różnych dniach tygodnia. Fatalnym uproszczeniem jest łączenie dwóch czy trzech klas tak, że w sali znajduje się równocześnie 60—90 dzieci. Przez te lub inne jeszcze braki i niedociągnięcia katecheza może być okaleczona.

Postulując program dwóch godzin tygodniowo, chcemy w pierwszym rzędzie bronić jednej godziny religii w tygodniu, bardzo sumiennie prowadzonej. Trzeba to mocno podkreślić. Tam bowiem, gdzie ustalono jedną lekcję w tygodniu, często nawet ta jedna przepada. Różne są tego powody. I tak:

- 1) W wielu ośrodkach nie rozpoczyna się katechizacja zaraz na początku roku szkolnego, lecz z pewnym opóźnieniem. Również przy końcu roku szkolnego kończy się ją wcześniej.
- 2) W okresie Wielkiego Postu i Adwentu księża jeżdżą ze spowiedziami. Muszą zasiadać do konfesjonałów u sąsiadów, by zapewnić sobie ich wzajemną pomoc.
- 3) W wielu parafiach w okresie kolędy katechizacja faktycznie przepada. Ksiądz wybiera albo katechizację, albo kolędę.
- 4) Pewien procent dzieci z powodu różnych zachoro-

wań jest nieobecny. Niekiedy na skutek epidemii zamyka się nawet szkoły.

- 5) Czasem i ksiądz zachoruje.
- 6) Przeróżne imprezy szkolne często stoją w kolizji z godzinami nauczania religii.
- 7) Na wsi dużą przeszkodę stanowią złe drogi, odległości, pomoc dzieci w gospodarstwie.
- 8) Źle wyposażone salki, kaplice lub inne pomieszczenia, nie nadające się do nauczania obniżają wyniki katechizacji. Często tu zimno, brak dobrego oświetlenia, panuje zaduch, rażą nieestetyczne urządzenia itp.
- 9) W wielu ośrodkach wyłoniły się trudności związane z naszą strukturą organizacji szkolnictwa.
- 10) Dodatkowe trudności stwarzają ferie szkolne ustalone w różnych terminach przez władze oświatowe.

W rezultacie w ciągu roku szkolnego przeciętna ilość godzin katechizacji według nawet optymistycznych obliczeń wynosi nie więcej niż 20 do 30. Każdy może się łatwo o tym przekonać przeglądając choćby zeszyty dzieci do katechizacji.

Następstwa tego stanu rzeczy są opłakane. To między innymi jedna godzina katechizacji tygodniowo stała się powodem bolesnego faktu, że młodzieży szkół podstawowych nie powiązано dość silnie z religią i Bogiem, tak że gdy młodzież ta przeszła do szkół średnich, w większości nie uczęszcza na katechizację. Takiej młodzieży mamy wiele setek tysięcy. Jest to przegrana naszego katolicyzmu.

III

Realizacja programu dwóch godzin tygodniowo wymaga odpowiedniej ilości salkatechetycznych oraz osób katechizujących.

Gdy chodzi o sale katechetyczne, to wskutek rozdziału Kościoła od Państwa i możliwości katechizacji pozaszkolnej księża prowadzili zajęcia w różnych innych pomieszczeniach. Dużo tu działała gorliwość duszpasterzy, którzy pokonując najróżno-

roczniejsze trudności zbudowali piękne sale, a nawet domy katechetyczne. Na kurialnych wydziałach katechetycznych ciąży tu wielka odpowiedzialność. Przez dom katechetyczny rozumiemy budynek z kilkoma salkami, pomieszczeniem do spotkań parafialnych, z sanitariami itp.

Choć niewątpliwie dużo już zrobiono, to jednak nasze katolickie społeczeństwo ma jeszcze długą i niełatwą drogę przed sobą. Wciąż potrzeba nam większej ilości obszerniejszych i lepiej urządzonych sal. Salka i dom katechetyczny nie mogą odstraszać, lecz powinny zachęcać do wejścia i udziału w katechizacji. W nie małym stopniu salki katechetyczne stanowią wizytówkę każdej parafii.

IV

Do prowadzenia katechizacji, szczególnie w wymiarze dwóch godzin tygodniowo, oprócz sal i domów katechetycznych potrzebne są przede wszystkim osoby katechizujące, a więc księża, siostry zakonne i osoby świeckie.

a) Gdy chodzi o księży, to najpierw wszyscy duszpasterze powinni być głęboko przekonani o konieczności dwóch godzin katechezy tygodniowo. To słowo „przekonani” chciałbym specjalnie podkreślić. Jest ono niezmiernie ważne i stanowi fundament naszej pracy. Tego przekonania duchownym, rodzicom i wszystkim odpowiedzialnym za katechizację czasem brakuje. Bez takiego przekonania sprawy układają się źle. Żeby coś mogło powstać, trzeba chcieć tego zdecydowanie.

I tu przypomina mi się zdarzenie sprzed kilku lat. Podczas wakacji spotkałem pewnego kapłana. Był człowiekiem bardzo inteligentnym. Umiał podjąć rzeczową dyskusję na różne tematy. Był również pobożnym kapłanem. Po obiedzie i kolacji (mieszkaliśmy u sióstr) chodził na nawiedzenie do domowej kaplicy. Według opowiadania jego kościół parafialny posiadał pełny wystrój. Parafia należała do ofiarnych. Ale gdy zaczęliśmy dyskutować na temat duszpasterstwa kateche-

tycznego, pękła bomba. Okazało się, że dwie godziny katechizacji mają tylko klasy, w której młodzież przygotowuje się do I Komunii św. Nawet w klasach wyższych, w których młodzież przygotowuje się do sakramentu bierzmowania, nie wprowadzono dwóch godzin. Ów zacny i pobożny kapłan tłumaczył się brakiem katechetów. Ale rzecz jasna, powinien sprowadzić siostry lub świeckie katechetki, wystarać się im o mieszkanie i odpowiednie wynagrodzenie. Mógłby w ten sposób w wielu klasach wprowadzić dwie godziny katechezy tygodniowo. Niestety, nie widział jasno problemu, nie martwił się tym, nie był przekonany.

Chodzi właśnie o to przekonanie. Każdy odpowiedzialny za sprawy Boże duchowny musi tak widzieć zagadnienie, by systematycznie, rok za rokiem, wprowadzać w poszczególnych klasach drugą godzinę katechezy. Rzecz jasna, że od niektórych proboszczów i wikariuszy wymagać to będzie wyjątkowego, czasem nadzwyczajnego wysiłku. Czy można i należy żądać tego wysiłku, gdy duchowieństwo ogólnie rzecz biorąc i tak już ciężko pracuje?

Sądzę, że tak. Mimo wszystko w szeregach duchowieństwa tkwi jeszcze wiele niewykorzystanych energii. Wielu księży, mających 15 godz. katechezy tygodniowo mogłoby mieć 20. Mający 20 godz. mogliby mieć o kilka więcej. Spotkałem się z księżmi, którzy prowadzili około lub ponad 30 godz. tygodniowo. Dlatego też, gdy w r. 1971 byłem na audiencji u papieża Pawła VI, powiedziałem: „Ojciec Święty, polski kapłan ma 30 godz. katechezy tygodniowo”. Wydawało mi się, że wypowiadając te słowa przypominam jakiś istotny rys polskiego duszpasterstwa.

Problem dwóch godzin jest ściśle związany z życiem ascetycznym duchowieństwa. Wyjątkowo wiele zależy tu od gorliwości księży. Na dowód można przytoczyć dziesiątki i setki przykładów wspaniałego zaangażowania katechetycznego i co za tym idzie doskonałych wyników. Ale są też liczne fakty negatywne. Dlatego wielu twierdzi, że od księży powinno się żądać bardziej surowego stylu życia. obrońca krakowskiego proletariatu w okresie międzywojennym, Ignacy Daszyński wołał: „Kto o nic nie prosi i niczego nie

żąda — nic nie otrzymuje. Kto prosi — otrzymuje ma-
io. Kto żąda — otrzymuje wszystko".

b) W realizacji omawianego programu obok księży
ważną rolę odgrywają siostry katechetki
oraz świeckie katechetki lub świeccy
katecheci.

Musimy wymodlić, wychować, zdobyć do katechi-
zacji więcej o s ó b z a k o n n y c h. Ludzie praktyku-
jący, związani ściślej z ośrodkiem duszpasterskim,
oprócz modlitwy w intencji powołań, winni również
zachęcać dziewczęta ze swego otoczenia, by obierały
stan zakonny i jako siostry włączyły się we wspaniałe
dzieło głoszenia Ewangelii poprzez katechizację. Nie-
kiedy matki córkom myślącym o powołaniu zakon-
nym odradzają taki wybór, kierując się motywami
czysto świeckimi. Należy na te sprawy patrzeć w du-
chu wiary, a wtedy jasno się widzi, ocenia właściwą
hierarchię wartości.

Szukamy katechetek... W specjalnych zakładach dla
osób upośledzonych psychofizycznie pracują setki
i tysiące sióstr. Pragnący realizować program dwóch
godzin katechizacji tygodniowo, zastanawiają się cza-
sem, czy nie byłoby wskazane przerwyc część tych
zakonnice do pracy katechetycznej. Pokusa nęcąca nie-
mało. Jednak po chwili refleksji pokusa odchodzi.
Przecież w tych ludziach, tak bardzo dotkniętych przez
los, mieszka Chrystus. On wynagrodzi w inny sposób
Kościołowi w Polsce to wyjątkowe poświęcenie na-
szych sióstr w zakładach specjalnych, ich ciężką pra-
cę, do której jest tak mało chętnych. Tak też określił
tę sprawę Najdostojniejszy Ksiądz Prymas S. Wyszyń-
ski na jednej z Konferencji Plenarnych Episkopatu.

c) Podczas Synodu biskupów w Rzymie w jesieni
1977 r. przypomniano zróżnicowane sytuacje oraz po-
pomyślne i niepomyślne warunki katechezy w róż-
nych krajach. Okazało się, że specyfiką polskiej kate-
chezy jest to, iż księża dzierżą ją w swych dłoniach.
Na około 16 tys. katechizujących osób, prawie 12 tys.
to duchowni. Jest to na pewno pozytywny objaw. Nie-
mniej księża pilnie i niezwłocznie potrzebni są w in-
nych dziedzinach pracy duszpasterskiej. Dlatego pra-
cę kapłanów i zakonnice muszą wesprzeć również

świeckie katechetki i katecheci. Do przeszłości już należy w naszym katolickim społeczeństwie pewien brak zaufania do świeckich osób pracujących w katechizacji. Gorliwość i doskonałe wyniki wielu świeckich katechetek budzą podziw samych księży. Tylko tych katechetów i katechetek musi być więcej. Lud Boży każdego ośrodka winien mieć ambicję, by jak najwięcej osób świeckich zachęcić do podjęcia tej idei.

Gorliwi proboszczowie zadają sobie niekiedy trudne i niepokojące pytanie, czy angażując się bardzo w katechizację, nie zaniedbali innych działań duszpasterstwa również tych podstawowych. Ale jak mogą odejść od problemów katechetycznych, gdy tak wiele trzeba tu jeszcze dokonać. Stąd konieczność włączenia się świeckich w duszpasterstwo katechetyczne. Wielu kapłanów liczy na nich i łączy z nimi wielkie nadzieje.

d) Przy wprowadzeniu do katechizacji zakonnic i osób świeckich wyłaniają się bardzo aktualne dwa problemy: **w y n a g r a d z a n i e i k s z t a ł c e n i e** tych ludzi.

W sprawie **w y n a g r a d z a n i a** Konferencja Plenarna Episkopatu, jak wiadomo, wydała w roku 1978 wytyczne. Normują one w wystarczający sposób to zagadnienie. Ale chodzi o to, by wytyczne były przez rządców parafii rzeczywiście wprowadzane w czyn, a nie pozostawały tylko na papierze.

Nadal otwarta jest sprawa **k s z t a ł c e n i a** katechetek i katechetów. Każda diecezja prowadzi zapewne odpowiednie kursy. Mają one różnorodny charakter zależnie od lokalnych warunków. Ale sprawa nie jest łatwa. Trzeba zdobyć fachowych wykładowców, lokal, a przede wszystkim uczestniczki oraz uczestników. Rzecz naturalna, że kandydatki świeckie i zakonne muszą wykazać się przynajmniej średnią szkołą. Przyjęto, że za kwalifikowaną katechetkę lub katechetę uważa się osobę, która posiadając maturę, ma również wykształcenie specjalistyczne uzyskane w ciągu 400 godzin. Niestety, osoby katechizujące mają niekiedy ukończony tylko skrócony kurs, bo proboszczowie nalegają na przełożone prowincjalne czy generalne, by możliwie jak najprędzej przysłały im katechet-

kę. Jednak słabo wykształcone katechetki obniżają poziom katechizacji. Młodzież a nawet dzieci stronią od takiego nauczania.

W kształceniu katechetów i katechetek niektóre diecezje mają ciekawe doświadczenia. Zapewne w najbliższym czasie sprawa ta będzie uregulowana w skali ogólnopolskiej. Biorąc pod uwagę m. in. względy dydaktyczne i pedagogiczne, musimy postulować wysoki poziom nauczania katechetek i katechetów.

V

W parafiach, gdzie z różnych powodów nie można natychmiast wprowadzić dwóch godzin tygodniowo, należy zorganizować tzw. godziny duszpasterskie albo liturgiczne. Różnie w różnych parafiach można je urządzać. Zależy to od wielkości ośrodka, liczby katechizujących i ilości salek. W większych parafiach można w poszczególnych dniach tygodnia wyznaczyć godzinę liturgiczno-katechetyczną dla wszystkich oddziałów poszczególnych klas. W niektórych wypadkach podczas takiej godziny (najczęściej w kościele) trzeba klasy łączyć. W programie będzie śpiew, pogadanka liturgiczna, modlitwa, aktualne zagadnienia parafii, diecezji, Kościoła Powszechnego. Jak wykazuje praktyka, frekwencja kształtuje się różnie. Niekiedy przychodzi połowa zobowiązanych, a czasem jedna piąta. Nie jest to dużo, ale zawsze coś. Wielu duszpasterzy zdobyło tu niemałe już doświadczenie.

Odwiedziny kolędowe przez długie lata były u nas ściśle powiązane z okresem Bożego Narodzenia. Wchodziła tu w grę tradycja. Cierpiała jednak na tym mocno katechizacja. Ale w pewnych diecezjach wierni przyzwyczaili się już do tego, że kapłani wizytację kolędową zaczynają na początku adwentu, a gdy zajdzie potrzeba kończą nawet w przedpościu. W ten sposób katechizacja nie ponosi szwanku. Ten system należy przyjąć, ale gdzie go jeszcze nie wprowadzono, tam godzina liturgiczna podczas kolędy jest konieczna.

W niektórych diecezjach klerycy VI kursu odby-

wają swą praktykę katechetyczną w okresie odwiedzin kołędowych, by wesprzeć katechizację.

Istnieje też obecnie zwyczaj, że przełożeni wielu zgromadzeń zakonnych wysyłają swych kleryków na wakacje do domów rodzinnych. Proboszczowie mogliby im wówczas zlecić pewne prace katechetyczne. Zwyczaj alumni czynią to chętnie a dzieci też chętnie słuchają młodych kleryków.

VI

A oto jeszcze jeden ze sposobów realizacji programu dwóch godzin katechizacji tygodniowo i w ogóle pomnożenia ich ilości.

Wiadomo, że programy katolickich szkół w Ameryce i na Zachodzie przewidują naukę religii nawet codziennie. W naszych zatem staraniach o dwugodzinną katechezę w tygodniu tkwi pewien minimalizm. Rozumiejąc to dobrze, głęboko religijne rodziny same, we własnym zakresie przeprowadzają dodatkową godzinę katechezy. Gdzie? W s w y c h m i e s z k a n i a c h ! I trzeba tu zaznaczyć, że o ile urządza się ją w rodzinach, w których dzieci mają w punkcie katechetycznym dwie godziny tygodniowo, to tym bardziej tam, gdzie mają tylko jedną.

W takiej katechezie bierze udział cała rodzina. Urządza się ją najczęściej w piątek (dla uczczenia męki Chrystusa), w porze wieczornej, niekiedy w niedzielę. Szuka się godziny, w której wszyscy domownicy mają czas. Rzecz oczywista, że duszpasterz najpierw gromadzi chętnych rodziców. Przeprowadza z nimi katechezę, daje im wskazówki jak taką godzinę prowadzić.

Na katechezie domowej wypowiadają się wszyscy: ojciec, matka, dzieci, ciocia, babcia. W programie jest między innymi odczytanie ostatniej zapisanej katechezy i jej komentarz przez domowników. Czyta się Pismo św., wyjątki z różnych ksiązek religijnych i czasopism. Korzyść stąd podwójna, bo i starsi, chcąc czynnie brać udział w katechezie, muszą się dokształcać. Nadto, co również jest bardzo ważne, do elementu intelektualnego (zdobywanie wiedzy religijnej przez

młodych) dołącza się także czynnik emocjonalny. Przecież te najdroższe osoby — mama i tatuś — mówią o Bogu.

Warto podjąć wysiłek, by każde mieszkanie wierzących stało się w pewnym stopniu salką katechetyczną. W jednej z dużych parafii, przed 10-ciu laty, proboszcz w czasie kilkunastu Mszy św. (przez kościół przesunęło się w tę niedzielę ponad 12 tys. ludzi) skierował do rodziców zachętę, by w domu prowadzili katechezę dla swych dzieci. Prosił też, by chętni zgłaszali się zaraz po Mszy św. Przyszło 70-ciu przedstawicieli rodzin. Potem część odpadła tak, że w 50-ciu rodzinach zaprowadzono katechezę domową, religijne doksztalcenie dzieci. Trudne dobrego początku.

O katechezie rodzin mówi się za granicą i u nas bardzo wiele. Rodzice, pogłębiwszy swą wiedzę religijną, współpracują i pomagają katechetom wprowadzać dzieci w życie Boże. Trudność tkwi w tym, że rodzice czy opiekunowie nie chcą podjąć tej pracy. Najczęściej tłumaczą się brakiem czasu. Ale właściwa przyczyna tkwi w obojętności religijnej.

Rodzice jednak powinni podjąć dawną wspaniałą tradycję ewangelizacji domowej. W ubiegłych latach pewien procent wiernych z powodu bardzo dużych odległości, złych dróg, czy braku ubrania, rzadko przychodził do swych kościołów. A jednak w sercach ich tkwiła często głęboka i żywa wiara. To właśnie rodzice byli ich katechetami.

Świeccy katolicy sprawę katechezy domowej winni uważać za swoje posłannictwo. Apostolstwo świeckich to przecież nie górnolotne, oderwane czasem od życia dyskusje przy zielonym stoliku, lecz konkretne zadania i żmudna praca. Ważną np. sprawą w katechezie domowej będzie nauczanie i wprowadzanie dziecka w życie modlitwy. Często dopiero przed I Komunią św. osoby katechizujące muszą zajmować się tą sprawą. Bogu, swemu Ojcu trzeba okazywać miłość praktycznie. Dlatego m. in. pacierz odmawiany rano i wieczorem nie może być bardzo krótki, a więc obejmować tylko Ojcie Nasz, Zdrowaś Maria i Aniele Boży. To powszechne zaniedbanie stanowi przejaw wielkiego minimalizmu. Nie wolno uważać

tej sprawy za błahą. Przecież bez modlitwy nie ma chrześcijaństwa. Stąd to w rannym i wieczornym pacierzu muszą znaleźć się również: Wierzę w Boga, 10 Bożych przykazań, 2 przykazania miłości, Anioł Pański, Pod Twoją obronę i choćby bardzo krótkie rozważanie.

Osoby rozumiejące dobrze apostołstwo świeckich zachęcają innych do wstępowania do Duszpasterskich Rad Katechetycznych, do tworzenia kół Parafialnych Przyjaciół Katechizacji.

VIII

Przedmiotem obrad wspomnianego Synodu Biskupów w Rzymie była katechizacja. Biskupi postulują, by jej owocem było najpierw zdobycie wiedzy religijnej. Gdy człowiek stosownie do zdolności kształtuje sobie właściwy obraz Boga, winien Go czcić i okazywać Mu również zewnętrznie wiarę i miłość przez udział w sakramentach i nabożeństwach, w życiu liturgicznym. Rezultatem i pożądanym owocem powyższego zaangażowania jest najczęściej odmiana życia, a przede wszystkim miłość bliźniego.

Katecheza, według definicji biskupów i współpracujących z nimi ekspertów z całego świata katolickiego, ma być chrystologiczna, antropologiczna i integralna. Inaczej mówiąc, człowiek we wszystkich przejawach swego życia musi szukać Chrystusa. Czyniąc to odnajduje swój cel, do wysokiej rangi podnosi swe człowieczeństwo, staje się też uczestnikiem pokoju i radości. To dokonuje się dzięki katechezie integralnej, na której katecheta (szczególnie starszej młodzieży) nie pomija żadnych zagadnień m. in. encykliki „*Humanae vitae*” czy faktu, że obywatel ma prawo cieszyć się każdym rodzajem wolności.

Synod przypomniał więc Ludowi Bożemu obowiązek katechezy prowadzonej już przez 2 tys. lat. Przypomniał trudny obowiązek katechezy skutecznej. Życie na każdym kroku świadczy, że owocne przekazywanie Ewangelii poprzez katechezę musi opierać się na bardzo istotnym elemencie: po prostu Ewangelia

musi być głoszona. W wymiarze jednej godziny tygodniowo, czyli 20-tu w roku, będzie to przekaz tylko częściowy, okruchowy, ułamkowy, niewystarczający.

Dobrze zorganizowane duszpasterstwo katechetyczne stanowi klucz do wszystkich innych rodzajów duszpasterstwa, a więc akademickiego, rodzin, charytatywnego, stanowego, laikatu. Najlepszy element z katechizacji przechodzi do służby liturgicznej ołtarza oraz do seminariów duchownych.

Warto jeszcze coś bardzo istotnego przypomnieć. Postulując dwugodzinną katechizację, mamy na uwadze nie jakąkolwiek pracę, lecz lekcję religii prowadzoną z największym zaangażowaniem i gorliwością, z najnowocześniejszym pedagogicznym podejściem do młodzieży. Katecheza nie może być „posiewem zwątpienia”. Gdyby ktoś postawił pytanie: co lepsze: czy 2 godziny prowadzone nieudolnie, czy jedna prowadzona właściwie, odpowiem, że ta jedna prowadzona doskonale. Ale właśnie o to chodzi, by dzieci i młodzież miały dwie godziny katechizacji na wysokim poziomie.

RADOSNA CHWILA I CHWILA SMUTNA

I

W kronikach parafialnych okresu międzywojennego jest o tym nabożeństwie często mowa. W kronikach poprzednich lat nie napotkałem o nim wzmianek. Zapewne dlatego, że proboszczowie nie mieli zwyczaju pisać zbyt wiele o życiu religijnym swych parafii. W czasie II wojny światowej, a szczególnie w okresie powojennym rozpowszechniło się bardzo w naszej ojczyźnie. Mam na myśli nabożeństwo pierwszych piątków miesiąca ku czci Najświętszego Serca Jezusa. W wielu parafiach przyczyniło się znacznie do pogłębienia pobożności i życia według zasad Chrystusa. Historyk, który by kreślił dzieje duszpasterstwa polskiego po II wojnie światowej absolutnie nie może pominąć tej tak znanej obecnie formy pobożności.

Nabożeństwo do Najświętszego Serca Jezusowego znane było w Kościele od wielu wieków. Ale szczególnie rozpowszechniło się od czasu znanych objawień (prywatnych) przekazanych przez Pana Jezusa wizytce, św. Marii Małgorzacie w Paray-le Monial w latach 1673—1675. W jednym z objawień zawarta jest obietnica Boskiego Serca o dobrej śmierci dla wszystkich, którzy będą przystępować do Komunii św. przez dzień pierwszych piątków miesiąca po kolei. Nie umrą w stanie niełaski. Boskie Serce Jezusa będzie dla nich schronieniem w ostatnim momencie.

Ale bardzo licznym wiernym podoba się to nabożeństwo nie tylko, można by to tak określić, ze względu na własny interes. Idea, chęć wynagradzania Najświętszemu Sercu Jezusowemu za zniewagi odpowiada psychice ludzi, spełnia ich pragnienia.

Jest to przedziwna i wspaniała obietnica. Źródłem

jej jest wszechmoc Boga i niewyczerpane Jego miłosierdzie. Zrodziła ją przeogromna i niepojęta miłość Najświętszego Serca Jezusowego ku ludziom.

W mojej parafii postanowiliśmy ożywić nabożeństwo pierwszych piątków, zachęcić jak najliczniejszych wiernych do jego odprawiania. Najpierw na tygodniowym spotkaniu parafialnym księży omówiliśmy bardzo szczegółowo plan działania. Akcję pierwszych piątków rozpoczęliśmy na początku października kiedy w wielkowiejskiej parafii wszyscy są po urlopach, a młodzież akademicka z naszego ośrodka duszpasterskiego rozpoczęła już wykłady. W niedzielę przed pierwszym piątkiem na Mszach św. wygłoszone zostały kazania o wzgardzonej miłości Najświętszego Serca Jezusowego, któremu można zadośćuczynić przyjmując przez 9 pierwszych piątków Komunię św. Przez to również sobie zapewnia się przejście na drugi świat w stanie łaski.

Z nastroju jaki wytworzył się wśród słuchaczy można się było spodziewać, że przemówienie trafiło do serc. Równocześnie katecheci na wszystkich lekcjach religii rozpoczęli pogadanki o pierwszych piątkach. Temat ten omawialiśmy również w konfesjonałach, w kancelarii parafialnej i w duszpasterstwie indywidualnym.

Z nadzieją i obawą czekaliśmy na pierwszy piątek. Spowiadaliśmy już we wtorek, środę i czwartek przed pierwszym piątkiem rano (większa ilość księży), a przede wszystkim w czwartek po południu. Do spowiedzi rozpoczętej wówczas o godz. 15 przystępowały najpierw dzieci szkół podstawowych i młodzież szkół średnich, a potem starsi i młodzież akademicka. W konfesjonałach zasiadało 7—12 księży. Głęboką radość duszpasterską sprawiły nam fale ludzi, przychodzących do konfesjonałów. To właśnie ta radosna chwila. Niekiedy patrzyłem na nich z boku i widziałem twarze pełne skupienia i zadumy religijnej. Największą jednak radość przyniósł nam sam pierwszy piątek rano. Do sakramentu pokuty przystępowało wiele ludzi. Księża siedzieli w konfesjonałach, niczym żołnierze w bunkrach, już od godz. 5.45. Do godz. 10 prawie bez przerwy jeden kapłan rozdawał Komunię św. W pierwszy piątek po po-

ludniu spowiadaliśmy również od godz. 15. Nadal było bardzo dużo wiernych do Komunii św.

Dodam, że trzymaliśmy się tradycyjnej nauki Kościoła katolickiego o sakramencie pokuty. Obce nam było nowinkarstwo. Kto popełnił grzech ciężki powinien się spowiadać. Większość wiernych zapewne była wolna od takiego grzechu, ale wyznanie również przewin mniejszych i żal za nie stanowią wyraz miłości człowieka ku Bogu. Dlatego ogłaszaliśmy, że jest okazja do spowiedzi, zachęcaliśmy do tego sakramentu.

W całości nasza akcja udała się dobrze. Ilość Komunii św. z 500 podskoczyła do 2200 i utrzymywała się na tym poziomie od października aż do czerwca, tzn. przez 9 miesięcy. Szczególnie pocieszającym zjawiskiem był liczny udział młodzieży. W jednej ze szkół podstawowych odprawiło pierwsze piątki aż 95% dzieci. Ks. katecheta zachęcił młodzież, by prowadziła specjalny dzienniczek. Również i starsi nie pozostali w tyle. Widziało się robotników, studentów, pracownice domowe, profesorów wyższych uczelni. Wzruszające były wyznania mężczyzn, że pragną Sercu Jezusowemu wynagrodzić za grzechy ludzkie, a sobie zapewnić zejście z tego świata w stanie łaski uświęcającej. Jedna prosta niewiasta mówiła, że nie ma majątku dla swej córki, uczęszczającej do szkoły średniej, ale jako posag chce jej zostawić te właśnie pierwsze piątki. Innym razem wytworna pani, ukończywszy 9 pierwszych piątków, przychodzi złożyć serdeczne podziękowanie za zachęcenie jej do tego nabożeństwa.

Przy różnych okazjach zachęcamy wiernych do częstej i codziennej Komunii św. Oczywiście nie pomijamy tak dogodnej sposobności jaką są pierwsze piątki. Wytworzył się zwyczaj, że zdecydowana większość tych, którzy odprawili piątki, przystępuje do Stołu Pańskiego również w pierwszą sobotę, a przede wszystkim w pierwszą niedzielę miesiąca. Niektórzy pierwsze piątki odprawiają kilka, a nawet kilkanaście razy. Dla setek wiernych ta praktyka ascetyczna staje się początkiem częstej i codziennej Komunii św.

Podczas tego nabożeństwa wierni pogłębiają rów-

niez znajomość prawd religijnych. Rano, między godziną 6 a 10-tą, wygłaszane są cztery 5-cio minutowe przemówienia, a po południu i wieczorem trzy do pięciu. Omawiane są między innymi problemy parafialnej rodziny i ośrodka duszpasterskiego. Szczególnie radosne, podnoszące na duchu, pełne głębokiego przeżycia jest nabożeństwo o godzinie 19-tej. Kościół wypełniony po brzegi, wiernych ponad 2 tysiące, od małych dzieci poczynając aż do starców, całkowite zróżnicowanie społeczne. Przed wystawionym Najświętszym Sakramentem ludzie przepraszają Najświętsze Serce Jezusowe za grzechy swoje i całego świata.

Słowo Boże kierowane jest wówczas do najpobożniejszych wiernych z parafii, grupy najbardziej z Kościołem związanej. W świątyni wytwarza się nastrój głębokiego duchownego skupienia. W niedzielę natomiast słuchacze są różni. I ci bardzo pobożni, lecz również i tacy, którzy u spowiedzi nie byli 20 lat, a we Mszy św. uczestniczą bardzo nieregularnie, od czasu do czasu.

Ludzie pierwszych piątków to specjalna grupa. W przemówieniach do nich kładziemy nacisk na realizację najważniejszego prawa i przykazania o miłości. Komunia św. codzienna musi ułatwić zachowanie tego przykazania. Tu nie może być rozbieżności i fałszywej dewocji. Ci ludzie, idąc w życie powinni pamiętać o tym, że Boga mają w swym sercu.

Uczestnicy pierwszych piątków to również apostołowie świeccy i propagatorzy laikatu. Zachęcają innych do odważnego wyznawania wiary. Mówią oczywiście dużo o pierwszych piątkach, przede wszystkim w swych rodzinach, lecz również u sąsiadów i krewnych. Stosują tu naturalnie metodę łagodności, dobroci, tłumaczenia, przekonywania. Bo tylko taka metoda jest do przyjęcia. Dzięki takiej pracy apostołowskiej, choć nie wszyscy staną się pobożni, zanika wśród rodzin ospałość w odniesieniu do spraw religijnych i wytwarza się zdrowy ferment.

Uczestnicy pierwszych piątków całym sercem i duszą włączają się w parafialną akcję charytatywną. Młodzież akademicka i szkół średnich oraz starsi wier-

ni odwiedzają wg ściśle określonego porządku licznych chorych i osoby zniedołężniałe. Załatwiają im sprawy w mieście, sprzątają mieszkania, czytają książki religijne, odtwarzają nagrania magnetofonowe. Czasem przyniosą kwiaty, a przede wszystkim swą życzliwością, nieraz młodością i radosnym uśmiechem wprowadzają promień słońca w smutne najczęściej życie osoby chorej, czy samotnej.

Z racji uroczystości pierwszopiątkowych odwiedza się również chorych. Każdy z księży ma wyznaczoną odpowiednią liczbę tych ludzi. Kapłanowi dużo radości daje podniesienie na duchu i pocieszenie tych, którym cały wysiłek wiedzy ludzkiej nic już pomóc nie może. Żywa wiara w Boga rzuca zupełnie inne światło na ich cierpienie.

W parafii naszej samorzutnie wytworzyła się specjalna grupa ludzi pierwszych piątków. Oni pierwsi tworzą wspólnotę, którą nazywamy rodziną parafialną. Łączy ich wszystkich więź miłości ku Jezusowi Eucharystycznemu, ku Najświętszemu Sercu Jezusowemu. Czasem spotykają się dwie katoliczki w klatce schodowej lub na placu targowym. Jedna do drugiej mówi: My się skądś znamy. Skąd to? Aha, to z pierwszych piątków.

II

Co powiem o smutnej chwili, o przykrym przeżyciu w pracy duszpasterskiej? Idąc ulicami parafii, miałem zwyczaj choć na chwilkę porozmawiać z tymi, którzy pozdrowią Boga lub życzliwie do duchownego się uśmiechną. Tego rodzaju indywidualne duszpasterstwo jest niezmiernie czasochłonne, lecz bardzo pożyteczne. Zresztą interesowali mnie wszyscy spotykani ludzie.

Zwracam uwagę szczególnie na dzieci. Spoglądam na nie i postawą swą oraz wyrazem twarzy przypominam, by pochwaliły Pana Boga. Bardzo wiele z nich to czyni. Bywa jednak, że dzieci na księdza się patrzą, ale Boga nie pochwalą lub co gorsza odwracają się w bok. Nawiazuję jednak z nimi kontakt. Pytam się o imię, wiek, gdzie mieszkają, do której klasy i szkoły uczęszczają, a przede wszystkim o to, gdzie uczą się religii. I zda-

rza się często, że dziecko nie wie jak odpowiedzieć, niekiedy miesza się lub daje wymijającą odpowiedź. Czasem z całą prostotą wyznaje, że na katechizację nie uczęszcza, pacierza nie mówi, medalika nie nosi, kościół odwiedza bardzo rzadko. Rodzice również się nie żegnają ani nie modlą. Niekiedy widać u dziecka niechęć i niezadowolenie ze spotkania z księdzem. Czasem dziecko w ogóle ucieka od duchownego.

Powstaje nowy problem, którego przed wojną i do niedawna właściwie jeszcze nie było. Część wyrastającego naszego pokolenia jest całkowicie areligijna, staje poza nawiasem nauki Chrystusowej. Zjawisko to o większym lub mniejszym nasileniu notujemy we wszystkich prawie parafiach. Bardzo trudno mu zaradzić. I właśnie spotkania z tą grupą dzieci lub młodzieży, która się nie modli i nie uczy religii, która unika księdza lub od niego ucieka, to moje przykre przeżycie i wyjątkowo smutna chwila w duszpasterstwie.

PRZEŻYWAŁEM Z WIERNYMI NABOŻEŃSTWO ROKU JUBILEUSZOWEGO

I

Wieczór był listopadowy. Ziąb przenikał do szpiku kości. Reumatycy się skarżyli. W rektoracie X kaplica ciasna, a wierni przyszli prawie wszyscy. Nabożeństwo urządziliśmy zatem przed kaplicą. Deszcz siekł tak, że nie na wiele zdały się parasole. Zimne krople obficie wlewały się za kołnierze. Ludzie stali w błocie i na mokrej trawie. Pięknie śpiewali. Z uwagą słuchali czytań biblijnych i kazań. Modlili się pobożnie. Nabożeństwo trwało prawie dwie godziny. Gdy ogłosiłem, że już koniec, odeszło tylko kilku. Inni nadal śpiewali. I wtedy z rozrzewnieniem myślałem o nas, o naszych ludziach. Mamy dużo wad, błędów, grzechów, nałogów. Ale przecież taka wiara jest wzruszająca.

Oto migawka nabożeństwa jubileuszowego. Narody, społeczeństwa, jednostki obchodzą swe różne rocznice i jubileusze. Przed prawie dwoma tysiącami lat Bóg przyjął postać człowieka, rodząc się w stajni. Święcenie rocznicy przyjścia Boga na świat ma swe głębokie uzasadnienie. Papież Bonifacy VIII wraz z całym światem chrześcijańskim w sposób wyjątkowo uroczysty obchodził 1300-tną rocznicę narodzenia się Jezusa Chrystusa. Wtedy pierwszy raz urzędowo ogłoszono rocznicę- jubileusz tego jedyne go w dziejach ludzkości wydarzenia. Do Rzymu na uroczystość przybywały niezliczone rzesze pielgrzymów, np. w roku 1575 — 400 tys., w 1600 — 3 miliony, a roku 1675 — 1400 tys. Jubileusz narodzenia Chrystusa Pana obchodzono na początku co 50, a od roku 1500 co 25 lat. Kolejną 1975 rocznicę przyjścia Boga na świat w ludzkiej postaci święciliśmy w owym 1975 roku.

Różne diecezje w różny sposób zorganizowały duszpasterski program roku jubileuszowego, zależnie od warunków lokalnych i możliwości. Wszędzie poprzedziły je pracowite narady. W przygotowaniu parafialnego nabożeństwa jubileuszowego, centralnej uroczystości Roku Świętego, kapłani włożyli wielki wysiłek. Jedni uczyli się od drugich. Wcześniej zarządzający nabożeństwa byli wzorem dla następnych. Dekoracje kościołów i ołtarzy polowych, wspaniałe i pomysłowe, często przedstawiały obrazowo prawdy wiary. Wielokrotnie przypominaliśmy sobie uroczystości Tysiąclecia.

Rzecz jasna, że w całej tej pracy chodziło o przemianę serc i dusz ludzkich. Cenne wskazania przesłał Ojciec św. i nasz Episkopat. W ich realizacji ważną rolę odegrały rekolekcje lub przynajmniej tridua. Księża spowiadali całymi dniami. Wierni masowo przystępowali do Komunii św. Było to właściwe i dobre przygotowanie do zyskania odpustu zupełnego, jubileuszowego.

II

W Roku Świętym wierzący człowiek w specjalny sposób pragnie Synowi Bożemu okazać swą miłość za miłość Wcielenia. Ofiarowując tę miłość człowiek zyskuje odpust. Tym bardziej, że z wydatną pomocą przychodzi tu Kościół. Od pierwszych wieków mocno wierzone, że Kościół posiadając władzę kluczy, może ofiarowywać za grzeszników zasługi Chrystusa, Matki Najświętszej i świętych, zawarte w skarbcu Kościoła. Jesteśmy bowiem wspólnotą i społecznością. Uczestniczymy w cierpieniu i radości innych.

Odpust Roku Św. można było zyskiwać wielokrotnie. Najodpowiedniejszą jednak porą było nabożeństwo jubileuszowe. Warunki zyskiwania odpustu zupełnego wszyscy dobrze znali. Należało z pielgrzymką udać się do katedry, pomodlić się w intencji Ojca św., przyjąć pobożnie Komunię św.

Pragnąc spełnić pierwszy warunek, w wyznaczone dni przychodziły do katedry pielgrzymki lub poszczególni wierni. Komu było trudno odwiedzić katedrę

mógł się udać do jednego z wyznaczonych sanktuariów. Niestety, ludzie chorzy, słabsi nawet w ten sposób nie mogli spełnić warunku o nawiedzeniu katedry. Chodziło jednak o to, by wszyscy wzięli udział w nabożeństwie jubileuszowym. Dlatego Kardynał, obecnie Ojciec św., i biskupi diecezji krakowskiej odwiedzili wszystkie parafie i rektoraty diecezji w liczbie około 400. Tam odprawiali nabożeństwa. Stąd często wierni mówili, że „katedra zbliżyła się” do nich.

W celu uzyskania odpustu jubileuszowego ludzie spełniali też następny warunek. Modlili się po Komunii św. w intencjach Ojca św. Nie w jego osobistej intencji, lecz w intencjach, o których mówi m. in. w swoich niedzielnych przemówieniach. Celebrans przypomina je ludowi w czasie nabożeństwa jubileuszowego. Ojciec św. bowiem wzywa do modlitwy, by Ewangelia Chrystusowa mogła być bez przeszkód głoszona wszystkim społeczeństwom naszego globu. Zachęca do modłów o sprawiedliwy pokój. Wojna to największy nonsens. Pokój jednak musi być sprawiedliwy. Wszystkie państwa bez wyjątku, nawet te bardzo małe, winny cieszyć się wolnością polityczną, gospodarczą, religijną, społeczną, kulturalną. Należy też modlić się, by żaden człowiek nie cierpiał nędzy i nie umierał z głodu. Choć ziemia może wyżywić znacznie więcej ludzi niż obecnie, mimo to, na skutek obojętności na los innych i złej organizacji międzynarodowej, ginie codziennie okrutną śmiercią głodową ponad 8 tysięcy ludzi.

By zyskać odpust zupełny, należy przyjąć pobożnie Komunię św. Wskazane tu rozmyślanie, najlepiej po przyjęciu sakramentu. Celebrans sugeruje obecnym pewne myśli do medytacji. Proponuje, by w duchu przenieść się na Golgotę... I oto modlący się stoją duchowo przy krzyżu, na którym Chrystus tak bardzo cierpi. Przekłety, kto wisi na drzewie krzyża" — zanotował starożytny pisarz. Obok Chrystusa dwóch łotrów. Jeden szydzi z Jezusa, ale drugi tknięty łaską, współczuje Mu. Wyznaje: „Co do nas, to słusznie, odbieramy bowiem należną karę za to, cośmy uczynili, ale On nic złego nie uczynił”. I dodał: „Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego Królestwa” (Łk. 23, 40 n).

Chrystus mimo cierpień, natychmiast reaguje na słowa nawracającego się łotra. Zapewnia go uroczyście: „Zaprawdę powiadam ci: „Dziś będziesz ze mną w raju” (Łk 23, 43). Nic nie przemawia za tym, by słów tych nie brać w sensie literalnym. A zatem, gdy w owym dniu słońce schowało się za nieboskłonem, pokutujący łotr znalazł się w raju. Miał on zapewne zbrodnie na sumieniu. A jednak wyznanie grzechów na krzyżu, współczucie okazane cierpiącemu Jezusowi i akty miłości w nim zawarte otworzyły łotrowi niebo. Otrzymał odpuszczenie winy i kary. Zyskał „odpust”. Odpust całkowity i zupełny.

Zbawienie przeznaczył Bóg wszystkim ludziom, bo wszystkim umiłował. I nie tylko łotr mógł zdobyć tak łatwo niebo. Ta droga dostępna jest dla każdego. Należy tylko dobrego łotra naśladować w jego pokucie i miłości.

Następuje dłuższa chwila milczenia... Wierni w duchu wyznają swą miłość, słabość i grzech. Całują przebite stopy Jezusowe, obejmują ramionami krzyż. Pragną zyskać całkowite odpuszczenie kar, odpust zupełny. W roku jubileuszowym otrzymują szczególne łaski.

III

Cechą charakterystyczną nabożeństwa jubileuszowego w wielu parafiach była tzw. procesja z darami ofiarnymi. Odbywała się po kazaniu, przed modlitwą wiernych. Brało w niej udział przynajmniej kilka, czasem kilkanaście grup. Tworzyły je dzieci w wieku przedszkolnym, dzieci szkół podstawowych, ministranci, młodzież szkół średnich, młodzież akademicka i pracująca, małżeństwa, chorzy, grupy różańcowe, synodalne i inne, jak również siostry zakonne, klerycy i kapłani pochodzący z danej parafii. Stroje ludowe stanowiły często piękną dekorację.

Grupy te zjawiały się na podwyższeniu ołtarza polowego lub głównego ołtarza w kościele. Stawały twarzą do wiernych. Były dobrze widziane i słyszane. Mówiono do mikrofonu. W krótkich słowach delegaci tłumaczyli, jakie prawdy wiary i obowiązki przypomi-

nają i symbolizują poszczególne dary ofiarne. W słowo Boże głoszone przez laikat włączali się miejscowi duszpasterze, a przede wszystkim biskup.

Na początku przedstawiano wiernym krzyż. Przynosili go zazwyczaj mężczyźni lub młodzież męska. Był to np. krzyż liczący 300 lat, innym razem bardzo ciężki, stukilogramowy. W imieniu zgromadzonego ludu Bożego delegaci przyrzekali wierność krzyżowi. Przynoszono Pismo św. Grupa dzieci trzymała wzniesione w górę zeszyty do katechizacji. Kilka osób dzierżyło w rękach duży różaniec. Inni przynosili prasę religijną i książki. Kobiety zjawiały się z bochnem chleba. Lud Boży uświadamiał sobie, że człowiek ma być dobry dla drugiego jak chleb (brat Albert). Poszerzenie i pogłębienie dobroci to również istotny cel Świętego Roku Jubileuszowego.

Delegacje poszczególnych ośrodków duszpasterskich przywiozły z Jasnej Góry tablicę ze ślubowaniami milenijnymi. Poświęcił je Najdostojniejszy Ksiądz Prymas. A teraz tablicę niesie ksiądz proboszcz. Zdajemy sobie sprawę, że wiele przyrzeczeń milenijnych nasi wierni winni dopiero wprowadzić w czyn. Tablica zawieszona będzie w kościele na widocznym miejscu, by przypominała nam i millenium, i rok jubileuszowy. Czasem wierni przedstawiali przedmioty kultu religijnego przeznaczone do kościoła. W końcu ministranci przynoszą komunikanty i wino do Mszy św. Wszyscy uświadamiają sobie konieczność właściwego przeżywania Mszy św.

Procesja z darami ofiarnymi trwała około 20 minut. Dobrze przygotowana pozostawiała niezapomniane wrażenie. Stanowiła doskonale kazanie. Nawiązywała do najlepszych tradycji misterii religijnych z poprzednich wieków.

IV

W obchody Świętego Roku Jubileuszowego, przede wszystkim w nabożeństwo jubileuszowe, biskupi, kapłani, klerycy, zakonnice i świeccy włożyli bardzo wiele wysiłku. Wszyscy gorąco pragnęli skorzystać z obfi-

tości łaski Chrystusowej. I plon często był bardzo bogaty. Wyzwolona wiara i entuzjazm religijny korzystnie wpłynęły m. in. na powołania do stanu duchownego. Nierzadko słyszało się o wielkich nawróceniach i powrotach do Boga. Nabożeństwo jubileuszowe było bardzo głęboko przeżywane. Na zakończenie uderzał w niebo wspaniały, potężny śpiew naszych hymnów religijnych: Boże coś Polskę, My chcemy Boga. Jakże często po skończeniu wierni nie chcieli rozchodzić się do domów. Entuzjastycznie zegnali duchownych i biskupa.

Wysiłek kapłanów znowu spotkał się z głęboką wiarą polskiego ludu. Natrafił na serca podatne. Oto na skraju pewnej parafii grupa kobiet z małymi dziećmi zatrzymuje biskupa. Kobiety mówią, że wszyscy silni i zdrowi udali się do kościoła na nabożeństwo jubileuszowe, a one musiały zostać przy maleńkich dzieciach i dobytku. Proszą jednak o błogosławieństwo i klękają na asfalcie.

Pobożność nie wszystkich ludzi jest zadowalająca. Zdajemy sobie sprawę z wielkich braków i błędów. Nie ukrywamy ich wcale. Niemniej raduje nas pobożność uwidoczniiona i na nowo wyzwolona w nabożeństwach jubileuszowych. Napełnia optymizmem i zachęca do gorliwej pracy.

CZŁOWIEK W PODESZŁYM WIEKU MOŻE BYĆ PEŁNOWARTOŚCIOWY

I

Na początku pewna propozycja. Należałoby zapewne rzadziej używać słowa: starzec, czy staruszka. Warto zastępować je określeniami: osoba, pan, lub pani w podeszłym wieku. Podobnie nie posługujemy się dziś słowem ślepiec, lecz mówimy niewidomy, a może jeszcze lepiej brzmiałoby: niewidzący. Wyeliminowaliśmy również z użycia wyraz „służąca”, zastępując go słowem „pomoc domowa”.

Problem duszpasterstwa ludzi w podeszłym wieku jest dziś bardziej aktualny niż dawniej. Przede wszystkim dlatego, że ludzi zaawansowanych w latach przybywa coraz więcej.

W czasach nowożytnych, szczególnie w ostatnich dziesiątkach lat, wiedza lekarska siedmiomilowymi krokami postąpiła naprzód. Wiele chorób, które dawniej ludzi w poważniejszym wieku przyprawiały o śmierć, medycyna poważnie zahamowała w ich niszczyielskiej działalności. Następstwem tego jest przedłużenie wieku życia ludzkiego. Według obliczeń uczonych przeciętny wiek życia człowieka w XVIII wieku wynosił 34 lata, a w XIX w. 40 lat. Ale już w pierwszej połowie XX stulecia ludzie żyli średnio 60 lat. Dziś w krajach zachodnich przeciętna życia mężczyzny wynosi 71 lat, a kobiet 74. Cicero, mając pięćdziesiątkę, uważał się za starego. Dziś rzadko kto, mając te lata, myśli tak o sobie.

Bezpośrednim następstwem przedłużenia przeciętnej życia ludzkiego jest procentowe zwiększenie ilości ludzi starych. Zjawisko to obserwujemy we wszystkich krajach. Szczególnie jaskrawo zaczyna występować

u nas. Jeszcze 10 lat temu liczba ludności w wieku 65 lat i więcej wynosiła u nas ok. 2 miliony. Obecnie dochodzi do 3 milionów. Według prognoz demografów za 10 lat przekroczy 3,5 miliona, a w r. 2000 wyniesie ok. 6 milionów osób. Jesteśmy świadkami charakterystycznego wyżu.

II

Naszych bliźnich w podeszłym wieku można podzielić na dwie grupy. Do pierwszej, liczebnie przeważającej, należą ci, którzy starzy są latami, ale młodzi energią i czynem. Bernard Shaw, mając przeszło 90 lat, nadal wykazywał nieprzeciętną bystrość umysłu. Churchill, mimo dobrze podeszłego wieku, rządził imperium brytyjskim i należał do pierwszych polityków świata. Podobnie kanclerz Adenauer w Niemczech Zach. i premier de Gasperi we Włoszech. Ci dwaj znani mężowie stanu, już właściwie jako starzy ludzie, prowadząc zręczną politykę, uchronili swe narody od wielu skutków przegranej wojny. Oni to byli twórcami tzw. cudów gospodarczych w swych krajach.

Jasnym jest, że ludzie, na których żąb czasu nie zostawił niszczącego wpływu, nie stanowią specjalnego problemu duszpasterskiego. Kapłan wobec nich, jak wobec innych wiernych, stosuje te same metody duszpasterzowania.

Druga grupa ludzi starych to ci, którzy nie mogą na siebie zapracować. Fizycznie i umysłowo ulegli już brzemieniu lat. Stanowią specjalny problem duszpasterski. Ludzie ci mieszkają u rodziny, po domach prywatnych, lub w specjalnych zakładach, dziś zwanych domami spokojnej starości. Metody pracy duszpasterskiej w obydwóch wypadkach są różne.

III

Gdy chodzi o staruszków zniedołężniałych, przebywających u rodziny, wskazanym jest, by duszpasterz od czasu do czasu ich odwiedził. W większych parafiach będzie przy tej okazji w ruchu kartoteka parafial-

na. Taka wizyta jest prawdziwym uczynkiem miłości bliźniego. Przyniesie też człowiekowi starszemu wiele radości, podniesie go na duchu, niekiedy doda mu chęci życia. Przy tej okazji kapłan zapozna się z warunkami materialnymi odwiedzanego. A to ważna sprawa. W razie potrzeby przemówi do sumienia opiekunom, by starszego człowieka nie krzywdzili. Poprosi ich, by otoczyli go troskliwą opieką, okazali dużo serca i zrozumienia, a nawet lepiej odżywiali. Znana to bowiem rzecz, że większość ludzi starych żyłaby dłużej, gdyby cieszyła się lepszymi warunkami, miała przyjaźniejszą atmosferę, a nawet nie przymierała w pewnych wypadkach głodem. W razie potrzeby kapłan sprawą człowieka potrzebującego pomocy zainteresuje również opiekuna społecznego i parafialną pomoc dla chorych.

Oprócz pomocy bezpośredniej, okazanej odwiedzeniem lub w jakikolwiek inny sposób, kapłan może wspomagać cierpiących staruszków pośrednio. Uczyni to wtedy, gdy oddanym sobie pod opiekę duszpasterską wiernym będzie wpajał uszanowanie dla człowieka starego. Otwiera się tu wdzięczne pole pracy. Społeczeństwo trzeba wychować w duchu większego poszanowania starości i siwego włosa. Dawniej, szczególnie na wsiach, było tu dużo do zrobienia. W „Chłopach” Reymonta, stary Boryna uporczywie powtarza, że „na wycug” nie pójdzie, to znaczy, że gospodarkę zapisze, dopiero przed śmiercią. W przeciwnym razie źle wyszedłby na tym. Wielu jednak wcześniej oddawało majątek dzieciom, a potem łyżki strawy nie mogli otrzymać. Niewdzięczność wobec zniedołężniałych rodziców była, zdaje się, szczególnie chłopską wadą. Jakżeż często starzy ze łzami w oczach skarżyli się, że młodzi wciąż im powtarzają: „Po co też jeszcze żyjecie?”, „Nareszcie byście pomarli”, „Tyle z wami kłopotu”. Pewnie, na wsi była nieraz bieda, ziemi mało, stąd trudności z wyżywieniem każdej osoby. Głównym jednak powodem opłakanego losu starych było i jest łamanie czwartego przykazania przez młodych. Dlatego duszpasterz musi wziąć w obronę ludzi pokrzywdzonych. Na katechizacji, na ambonie, w konfesjonale często powinien przypominać, że warunkiem dobrego powodzenia na ziemi i długiego życia jest poszanowanie

ojca i matki. To obietnica samego Boga, zawarta w dekalogu. Duże zazwyczaj wrażenie robi na słuchaczach znane opowiadanie o człowieku, który matce staruszcze dawał jeść w brzydkiej drewnianej misce. Jadał z niej również pies. Pewnego dnia synek wycinał kozikiem w drzewie. Zaciekawiony ojciec pyta go: co robi? Wtedy mały odpowiada, że struga miskę. Gdy tatuś będzie stary, to on psu i tatusiowi będzie w niej dawał jeść. To znane opowiadanie ludowe stało się motywem sztuki pt. „Drewniana miska”. Przekazana przez telewizję sztuka cieszyła się olbrzymim powodzeniem i na milionach wywarła głębokie wrażenie.

IV

Część zniedołężniałych staruszków mieszka w specjalnych zakładach dla starców. W miastach spotyka się takie domy. Duszpasterz znajomym, na których ma wpływ, winien raczej odradzać umieszczanie tam rodziców. Szczególnie wtedy, gdy chcą to uczynić dla własnej wygody. Młodzi w wielu wypadkach mogliby należną opieką otoczyć zniszczonych życiem rodziców. Ale wydają się im nudni. Uważają ich, powiedzmy po prostu, za niepotrzebny grat. Syn lub córka, nawet dobrze sytuowani, umieszczają w zakładzie ojca lub matkę, odsuwają od siebie tych, którzy z wielkim poświęceniem pracowali dla ich szczęścia. Takie postępowanie pozbawione jest humanitaryzmu, a nawet tkwi w tym coś barbarzyńskiego. W domach starców winni znaleźć się tylko ci ludzie, którzy nie mają najbliższych, lub gdy ci absolutnie nie mogą się nimi zaopiekować.

Zakłady dla starców mają najczęściej własnych kapelanów. Jest to specjalny rodzaj duszpasterzowania. W kazaniach, przy spowiedziach i w prywatnych rozmowach kapłan musi cały wysiłek włożyć w to, by przekonać tych biednych ludzi, że nie są bezużyteczni. Owszem, mogą społeczeństwu oddać olbrzymie usługi. Bo, choć nie są apostołami pracy, mogą jednak apostołować modlitwą i cierpieniem. A to jest rzecz bardzo ważna.

Mogą być apostołami modlitwy. Znamiennym jest, że Kościół katolicki patronką misji zagranicznych ogłosił św. Teresę od Dzieciątka Jezus, a nie np. św. Franciszka Ksawerego. Święta Teresa miała 24 lata, gdy umarła. Nieznana nikomu żyła w klasztorze. Wykonywała najpospolitsze prace, jak zamiatanie i mycie podłogi. Umarła na gruźlicę. Św. Franciszek natomiast, jako kapłan, położył olbrzymie zasługi w rozkrzewianiu misji. Pracował w Indiach i Japonii. Werbował innych do pracy misyjnej. Umarł na obczyźnie. A jednak patronką misji ogłosił Kościół św. Terenię, a nie św. Franciszka. Utrzymuje się również przekonanie, że Święta swą modlitwą w klasztorze nawróciła więcej dusz niż św. Franciszek trudem misyjnym. Św. Terenia była więc apostołką modlitwy. W ten sposób prowadziła życie nadzwyczaj czynne, choć ukryte. Przypominanie starszkom podobnych faktów jest bardzo psychologiczne. Kapłan może ich zainteresować swą pracą nad duszami. Niech oni dodadzą swą modlitwę do jego kazań i spowiedzi. Zawsze się chętnie na to zgodzą. Życie ich stanie się wtedy jaśniejsze. Nabiorą przekonania, że nie są bezużytecznymi.

Ludzie starsi mogą stać się również apostołami cierpienia. Z wiekiem tym połączone są przeróżne niedomagania fizyczne i choroby. Wszystko to jest cierpieniem. Otóż chodzi o to, by starszek nie marnował swego cierpienia. Skoro nie może go uniknąć, niechże cierpi po chrześcijańsku. Niekiedy choroba tak mu dokucza, że nawet modlić się nie może. Wówczas należy go zachęcić, by przypomniał sobie Chrystusa przybitego do krzyża, by zgadzał się z wolą Bożą.

Papież Pius XI mówi, że cierpienie jest najwyższą formą modlitwy. Ale wtedy oczywiście, gdy człowiek ofiaruje je Bogu. W takim wypadku przeradza się w apostoła cierpienia. Może je ofiarować za siebie, o odpuszczenie kar czyśćcowych, lub za innych. I choć pozornie leży bezczynny, staje się pełnowartościowym członkiem społeczeństwa, a nawet najwspanialej działa. Podobnie gwiazda, widziana z ziemi, zdaje się stać, a w rzeczywistości wykonuje bardzo szybki ruch. Starszek cierpiący po chrześcijańsku może dla bliźnich i Ojczyzny więcej zdziałać, niż dzie-

sięciu innych, wykwalifikowanych w swych zawodach, którzy pełni zdrowia, pracują. Hitleryzm — oraz podobne mu prądy — takich ludzi, jako materialnie nieproduktywnych, chętnie posłałiby do pieca. A chrześcijaństwo przywraca im godność. Uczy, że mogą być bardzo wartościowymi. Zaprawdę, w pełni humanistyczna, iście Boska jest nauka, która taką prawdę głosi.

Główne zadanie kapłana opiekującego się starcami polega na tym, by zachęcił ich do apostołatu modlitwy i cierpienia, by przekonał, że przez dobre znoszenie dolegliwości swego wieku przynoszą Ludowi Bożemu błogosławieństwo.

Warto jeszcze o jednym wspomnieć. Każdy, kto odwiedza staruszków, musi być przygotowany na to, że spotka się z zagadnieniem, które dla nich ma wielkie znaczenie, a odnosi się do rzeczy materialnych. Oto niektórzy będą się skarżyć na swe dzieci, na opiekunów, na pielęgniarki i siostry. Że są krzywdzeni, że nie mają należytej opieki, że ich nikt nie rozumie itd. Sprawiedliwie rzecz biorąc, trzeba stwierdzić, że prawda, jak zwykle, znajduje się w środku. Bywają jednak te skargi słuszne, a wtedy kapłan roztropnie uczyni wszystko, by stan rzeczy zmienić na prawdziwie chrześcijański. Często jednak skargi są wynikiem sklerozy, dolegliwości starczych, niekiedy nawet manii prześladowczej. Istnieją rodziny, w których dzieci wszystko czynią, by rodzice mieli starość znośną, a mimo to nigdy ich nie zadowolą. Podobnie w zakładach.

W czasie wojny sprawowałem obowiązki kapelana w zakładzie dla 300 osób w podeszłym wieku. Spowiadałem ich, głosiłem kazania, zaopatrywałem na śmierć, odwiedzałem prywatnie, byłem ich powiernikiem. Nasłuchiwałem się naturalnie przeróżnych skarg na pielęgniarki i siostry zakonne. Zadawałem sobie trud, by zbadać, czy zarzuty są słuszne. Okazywało się, że personel opiekuńczy dobrze spełniał swe obowiązki. Niekiedy pielęgniarka wstawała w nocy 6 razy i mimo to nie mogła zadowolić pacjentki. Niektórym staruszkom trzeba by młodość przywrócić, a wtedy byłiby może szczęśliwi. W takich wypadkach należy się dobrze uzbroić w cierpliwość. Spokojnie przedstawić właści-

wy stan rzeczy i nigdy, kierując się nadprzyrodzoną miłością bliźniego, nie tracić życzliwości dla człowieka smaganego mnogością lat.

V

Św. Jan Chryzostom wypowiedział znamienne słowa: „Res sacra miser” — „Człowiek nieszczęśliwy jest czymś świętym”. Starzec, któremu dokuczają wieki, jest naprawdę nieszczęśliwy. Dlatego chrześcijanin ma widzieć w nim coś świętego. Chrystus Pan mówi: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili” (Mt 25, 40). Co to znaczy najmniejszy? Najmniejszy, to jest człowiek wysiedlony, zniszczony wojną. To człowiek chory, niedołączony, nieinteligentny, brzydki. To człowiek, który nawet uśmiechnąć się nie umie, bo tak zżarła go nędza. To człowiek, który niezdolny jest odwdziaczyć się w jakikolwiek sposób za świadczone mu dobro. Niekiedy nawet dobroczyńcę zwymyśla lub obmówi. Ale mądrość chrześcijańska polega tym, by w tym najmniejszym umieć dostrzec Chrystusa. Sztukę tę w bardzo wysokim stopniu posiadał św. Wincenty à Paulo. Ocenili to u niego nawet innowiercy. Ta mądrość, by w zniedołączniałym, przygniecionym latami człowieku widzieć Chrystusa, jest obowiązkiem każdego wierzącego. Wówczas łatwiej zrealizujemy modne dziś hasło: dać życiu więcej lat, a latom więcej życia.

ODWIEDZINY KOŁĘDOWE W PARAFII WIELKOMIEJSKIEJ

KONIECZNOŚĆ ODWIEDZIN KOŁĘDOWYCH

W okresie Bożego Narodzenia w kancelarii parafialnej lub przez telefon niekiedy ktoś pyta, czy ksiądz przyjdzie „po kolędzie”. Pytanie takie najczęściej stawiają wierni, którzy niedawno przybyli do parafii i nie są jeszcze zorientowani w programie jej pracy. Należy się szczerze cieszyć z tego, że choć niektórzy pragną nawiązać do pięknej staropolskiej tradycji odwiedzin kolędowych.

Idąc do naszych rodzin, chcemy naśladować Chrystusa Pana, który nie tylko przemawiał do tłumów i mniejszych grup, ale również odwiedzał jednostki i rodziny. Kapłan prowadząc duszpasterstwo masowe, grupowe i indywidualne nie może obejść się bez duszpasterstwa rodzin. Wspaniałą okazję stanowią tu odwiedziny kolędowe. Niektórzy nazywają je wizytacją duszpasterską, a przez długie lata zwano je po prostu kolędą.

Odwiedziny te są konieczne. Wzbogacają bowiem niezmiernie doświadczenie duszpasterza, ucząc go realizmu i właściwego spojrzenia na religijną sytuację jego parafii. Najogólniej bowiem podchodząc do sprawy, można naszych wiernych podzielić na dwie grupy. Do pierwszych należą ci, którzy uczestniczą we Mszy św., słuchają kazań, przychodzą do kancelarii, otwierają swą duszę w konfesjonale, posyłają dzieci na katechizację, kapłanom zawsze są życzliwi, składają ofiary na potrzeby duszpasterstwa. Ci wierni szukają swego pasterza, jest im potrzebny. Ta potężna jeszcze grupa przyjmuje księdza podczas odwiedzin kolędowych na ogół życzliwie. Ale jest też i druga

grupa, która od Kościoła już odeszła, zlaicyzowała się. Duży odsetek tych ludzi spotyka kapłan podczas odwiedzin kolędowych. Ludzie ci, choć zdarza się to bardzo rzadko, bywają nawet nie ochrzczeni. Deklarują się jako niepraktykujący i niewierzący. Choć wiedzą, że ksiądz jest w bloku, drzwi nie otwierają.

Odwiedziny kolędowe w parafii wielkowiejskiej, dla mniej doświadczonego kapłana, stanowią czasem niezbyt miłe, niekiedy nawet szokujące spotkania. Dzwoni np. duszpasterz do mieszkania. W drzwiach zjawia się licealista. Powiada, że rodzice są nieobecni. Pyta, czego „pan sobie życzy”. Wywiązuje się krótka rozmowa, w której wyjaśnia, że I Komunię św. jeszcze przyjął, ale do bierzmowania już nie poszedł. A teraz on i rodzice są niewierzący. Ksiądz ze smutkiem odchodzi. Takich wypadków są dziesiątki. Osadzają się w pamięci i sercu. Po długich latach jeszcze się je pamięta. Często stanowią przysłowiowe wiadro zimnej wody dla duszpasterzy niepoprawnych optymistów, nie znających realiów swego ośrodka duszpasterskiego. Te mniej przyjemne spotkania uczą nas pokory. Powinny też kształtować nasze kazania, pobudzać do cierpliwości w konfesjonale i w ogóle wpływać mobilizująco na całą pracę kapłańską. Kolęda uczy. Kapłanowi mającemu otwarte oczy niekiedy daje więcej niż kursy, na których wygłoszono znakomite referaty z zakresu socjologii religii współczesnej parafii.

Odwiedzając ludzi po kolędzie, idziemy nie tylko do mieszkań przyjemnych i suchych, lecz również do suterren, izb zawilgoconych, na poddasza. Jesteśmy niekiedy świadkami biedy materialnej i moralnej, największego opuszczenia i samotności. Może pierwszy raz w życiu widzimy staruszków tak bardzo opuszczonych, w mieszkaniach brudnych i pełnych zaduchu. Tego rodzaju spotkanie z rzeczywistością jest dla kapłana bolesne, ale równocześnie bardzo pouczające i cenne.

Niekiedy przed kołędą odbywają się w Kurii Biskupiej zebrania w sprawie problemów związanych z odwiedzinami duszpasterskimi w okresie Bożego Narodzenia. Należy trzymać się wskazań podanych przez Kurię. Trzeba też podzielić się spostrzeżeniami i wziąć udział w dyskusji, która jeśli jest nacechowana autentyzmem, wnosi cenne, twórcze elementy.

W dużej parafii, szczególnie nowo powstającej, gdzie tradycja kołędowa jest słaba, przed rozpoczęciem wizytacji duszpasterskiej trzeba koniecznie w niedzielę podczas wszystkich Mszy św. wygłosić odpowiednie kazanie na ten temat. Należy wyjaśnić właściwy charakter odwiedzin kołędowych. Zaznaczyć między innymi, że nie chodzi o zbieranie pieniędzy, lecz o pogłębienie duszpasterskiego kontaktu między kapłanami a wiernymi. Po ukończeniu kołеды zdaje się z niej również sprawozdanie we wszystkich niedzielnych przemówieniach. Wierni, w tym również młodzież akademicka i inteligencja, lubią słuchać takich relacji. Niektórzy się o nie dopytują. W skrócie omawia się wówczas najbardziej palące problemy danego ośrodka duszpasterskiego. Warto tu między innymi zwrócić uwagę na brak krzyżów i obrazów religijnych w mieszkaniach nowych domów. Przede wszystkim trzeba mocno i gorąco podkreślić sprawy katechizacji i świętości rodziny. Ważnym elementem takiego kazania będzie również podziękowanie licznym rodzinom za serdeczne przyjęcie. Sprawozdanie kołędowe stanowi przygotowanie do następnych odwiedzin duszpasterskich. Gdy w nowo powstającej parafii głosi się odpowiednie kazania przed wizytacją kołędową i po niej, tego rodzaju praca już po kilku latach przynosi dobre wyniki. Wierni we właściwy sposób patrzą na odwiedzającego ich kapłana i chętnie go przyjmują.

Przygotowawszy parafian, księża muszą się sami przygotować do kołеды. Dlatego proboszcz dużej, wielkowiejskiej parafii urządza przed jej rozpoczęciem zebranie z księżmi. Omawia na nim dokładnie cel kołеды, sposób jej odprawiania i szczegóły z nią związane. W czasie trwania kołеды wskazane jest

urządzanie krótkich spotkań pomiędzy księżami w celu wymiany doświadczeń. Można to uczynić np. przy obiedzie, zwłaszcza gdy są na nim wszyscy zainteresowani. Zazwyczaj każdy ma dużo do powiedzenia, tak barwny i ciekawy jest religijno-socjologiczny przekrój naszych parafii. Warto by na gorąco spisać te wrażenia. Mogłyby powstać w ten sposób pamiętniki kolędowe. Stanowiłyby niezły przyczynek do historii religijności naszego społeczeństwa.

W ramach przygotowań wywiesza się w gablotce dokładny, precyzyjny plan kolędy. Ogłasza się go też na każdej mszy niedzielnej. Planu należy przestrzegać bardzo ściśle.

Odpowiednie afisze na drzwiach kościelnych lub w innych dobrych punktach wzbudzają radość, szczególnie w sercach dzieci, które najchętniej oczekują kapłana, zwłaszcza znajomego.

CEL KOŁĘDY

Dobry pasterz za wzorem Chrystusa szuka nawet jednej zgubionej owcy. Ileż jest radości w sercu kapłana i w sercu człowieka, który zbliżył się do Boga. A stało się to dlatego, że duszpasterz przyszedł do niego, do jego mieszkania. Celem kolędy jest więc spotkanie z tymi, którzy do świątyni nie uczęszczają, są jednak jeszcze na tyle życzliwi, że kapłana przyjmują.

Idąc do mieszkań wiernych, pamiętajmy również o tych słowach Zbawiciela: „Ja jestem dobrym pastorem i znam owce moje, a moje Mnie znają” (J 10, 14). Staramy się więc iść do wszystkich wiernych w celu lepszego, wzajemnego poznania się. Udajemy się do nich z konkretnym programem, z określonym planem. Ustala się go ostatecznie na zebraniu przedkolędowym. Obecnie głównym celem kolędy jest zwykle sprawa uczęszczania na katechizację. Sprawdzamy (badamy) czy biorą w niej udział dzieci w wieku przedszkolnym, dzieci szkół podstawowych, młodzież szkół średnich i akademicka. Mogą ponadto wyłonić się inne jeszcze cele kolędy, jak: zwiększenie uczestnictwa we

Mszy niedzielnej, zachęta do pierwszych piątków, akcja antyalkoholowa, godzenie rozbitych małżeństw, zliczenie parafian, przekonanie wiernych do reformy liturgicznej, status animarum. Zazwyczaj realizuje się główny cel, ale bierze się pod uwagę również i cele poboczne, zależnie od potrzeb i warunków parafii.

PRZEPROWADZANIE SAMEJ KOŁĘDY

Zmiana warunków socjalnych i religijnych sprawiła, że w dzisiejszych wielkich miastach organista i kościelny nie towarzyszą księdzu przy kolędzie. Najczęściej kapłan zabiera ze sobą jednego ministranta. Niektórzy księża chodzą nawet sami, bez ministrantów.

Gdy nie wiemy, kto mieszka pod danym numerem, np. w nowym bloku, pytamy: „Czy tu mieszka rodzina katolicka”? O ile pada odpowiedź: „tak”, wówczas ze słowami „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, lub „ksiądz po kolędzie”, wchodzimy do mieszkania. Warto się trzymać tego sposobu, bo gdy stawiamy pytanie: „Czy państwo sobie życzą księdza po kolędzie?”, czasem można usłyszeć odpowiedź przeczącą. Ale potem ci ludzie przychodzą niekiedy do następnej klatki schodowej, szukają księdza i wyjaśniają, że właściwie zaszła pomyłka, że przecież oni są wierzącymi.

Wszedłszy do mieszkania, prosimy o zgaszenie radia, telewizora, czekamy aż wszyscy się zbiorą. Gorzej, gdy jest bardzo ciekawy film. Wówczas na niektórych twarzach zauważyć można pewne niezadowolenie. Z uśmiechem przypominamy wtedy, że odwiedziny kolędowe odbywają się tylko raz w roku.

Należy przestrzegać liturgicznych przepisów kolędowych. Kapłan ubrany w komżę i stułę, modląc się głośno, poświęca zebranych i mieszkanie wodą święconą. Ministrant odpowiada na wezwania. Potem również głośno odmawiamy piękną modlitwę o opiekę Bożą nad mieszkańcami. Warto też dodać „Zdrowaś Maryjo” lub „Pod Twoją obronę”, mówiąc je pobożnie wraz z domownikami. Należy przy tym klęknąć i zachęcić obecnych, by to samo uczynili. Jest to bardzo

wychowawcze, gdy dzieci i rodzice modlą się wraz z księdzem na klęczkach. Powstawszy podajemy krzyż do pocałowania. Gdyby się wyjątkowo zdarzyło, że ktoś nie ucałował krzyża, należy nie zwracać na to uwagi. Nosimy ze sobą krzyż, ale wierni całują krzyż z mieszkania, a nie nasz. Pragniemy w ten sposób uniknąć ewentualnego roznoszenia zarazków grypy, anginy lub innych chorób. Następnie pytamy dzieci o znajomość pacierza. Małe powinny się chociaż przeżegnać. Ważny element kolędowej wizytacji duszpasterskiej stanowi sprawdzenie wiadomości i życia religijnego dzieci oraz młodzieży. W tym celu trzeba postawić kilka pytań i przeglądnąć zeszyty z religii. Oczywiście, pytanie ma charakter przyjaznej rozmowy. Na ambonie trzeba zapowiedzieć kontrolę wiadomości religijnych i rzeczywiście to czynić. Gorliwi rodzice i młodzież pragną się popisać wiadomościami religijnymi i są niezadowoleni, gdy księdza te sprawy mało obchodzą. Taki przebieg kolędy stanowi w rzeczy samej katechezę. Kartkując zeszyt z religii i widząc w nim dobrze zapisanych np. 15 lekcji, duszpasterz dodatkowo wgląda w pracę katechety. Po sprawdzeniu wiadomości religijnych i rozmowie również ze starszymi na ten temat, ksiądz rozdaje pamiątki kolędowe, najczęściej obrazki, rzadziej medaliki.

Chorych, opuszczonych i staruszków należy zanotować, by ich ponownie odwiedzić lub skierować do nich siostrę parafialną. W ogóle ludziom cierpiącym trzeba okazywać więcej serca i poświęcać im więcej czasu.

Gdy chwalą księży za kazania, katechizację itp., życzliwie wysłuchujemy lub delikatnie potwierdzamy. Broń Boże nie przeczmy, bo pomyślą, że księża się nie lubią.

Wizyta kolędowa wymaga psychicznego wysiłku i opanowania. Wierni obserwują nasze ruchy, słowa, zachowanie. Czasem nieopatrzne zdanie może kogoś na długie lata zrazić do Kościoła. Niekiedy gospodarz nastawiony antyreligijnie i antyklerykalnie wreszcie spotyka się z księdzem. Jakże dużo zależy od takiego zetknięcia.

Często ludzie przedstawiają swe trudności religijne,

rodzinne lub pedagogiczne. W miarę możliwości staramy się na nie odpowiedzieć. Niestety, na dłuższe dyskusje nie możemy sobie pozwolić. Chętnych zaprosimy jednak na rozmowę do siebie, chociaż później nie zawsze przyjdą. Rozmowy światopoglądowe w czasie kolędy są bardzo czasochłonne i wciągające, a my czasu mamy bardzo mało.

Warto się również zastanowić, jak długo ma trwać wizyta kolędowa u jednej rodziny. Zasadniczo im dłużej, tym lepiej. Duszpasterze postulują 15—20 minut. Niestety, z braku czasu nie zawsze możemy sobie na ten luksus pozwolić. Względnie szybko odprawia kolędę ksiądz, który jednej rodzinie poświęca 8 minut. Na pewno parodię tworzy ten, komu wystarczają tylko 3 minuty. Gdyby jeszcze w tej sytuacji przyjmował ofiary, niektórzy mogą całkiem źle komentować jego wizytę u wiernych.

WYCHODZENIE NA KOLEDĘ I POWRÓT

W niektórych miejskich parafiach księża odwiedzają wiernych przed południem i po południu. W większości parafii mogą to czynić jednak tylko po południu. W tym wpadku jest ten plus, że można zastać rodzinę liczniej zgromadzoną i co ważne, spotkać się z mężczyznami.

W dzień powszedni wychodzimy około godz. 15.30, a w niedzielę o godz. 15. Odwiedzanie rodzin kończymy o godz. 20.30, najpóźniej o godz. 21. Wierni będą za to bardzo wdzięczni. O godz. 21 dorośli zazwyczaj przygotowują się już do spoczynku, a dzieci śpią. Niekiedy czekały na księdza kilka godzin, były przejęte lecz się nie doczekały. Rodzice też są rozżaleni, gdy ksiądz przychodzi zbyt późno.

O ile duszpasterz zostaje u bardzo życzliwych parafian na małym przyjęciu, czyni to po skończeniu kolędy, a więc o godz. 21. Podwieczorki w czasie samej kolędy nie są wskazane. Zakłóca to bowiem wcześniej ustalony plan, grozi opóźnieniem, a więc przyjściem do innej rodziny np. po godz. 21. A zapowiedziany porządek musi być przestrzegany. Absolutnie

niedopuszczalne jest, nawet w małej ilości, picie alkoholu. Szczególnie dziś, w obliczu klęski alkoholizmu, postulat ten jest wyjątkowo aktualny.

Kolęda stanowi ciężką pracę. Dlatego po odwiedzeniu 10—15 rodzin może ksiądz w ciągu 5 minut napić się kawy lub herbaty, gdy mu je proponują. Proboszcz powinien przypomnieć, by względnie wcześniej, np. o godz. 22 księża byli w domu. Gdyby wracali bardzo późno, może się zdarzyć, że na plebanii zastaną rodziców szukających synów-ministrantów towarzyszących księdzu przy kolędzie.

SPRAWY FINANSOWE

Jest to materia bardzo delikatna i trudna, wśród księży i wiernych kontrowersyjna. Ale ponieważ jest trudna, trzeba o niej wspomnieć, bo milczenie byłoby chowaniem głowy w piasek.

W pewnych parafiach księża ogłaszają na ambonie, że z okazji kolędy nie przyjmują żadnych ofiar. Podobnie ustawili sprawę niektórzy biskupi, przypominając jednak wiernym, że ofiarność na cele kościelne jest ich ścisłym obowiązkiem.

Niewątpliwie najlepiej byśmy wyszli w opinii wiernych, nie przyjmując żadnych ofiar. Niektórzy biorąc datki tłumaczą, że „kolęda” stanowi pewną część uposażenia proboszcza, wikarego, organisty lub kościelnego, że zaprowadzoną ofiarność wiernych łatwo znieść, lecz bardzo trudno ją wprowadzić. Naturalnie, bardzo wiele zależy od indywidualnego podejścia księdza. Tam, gdzie ofiar nie składają, trzeba się nawet dłużej zatrzymać dla zaznaczenia, że ksiądz naprawdę nie chodzi dla celów materialnych. Jego zachowanie się i rozmowa muszą świadczyć o całkowitej bezinteresowności. Niektórzy księża, przyjmując ofiary, w sprawozdaniu kolędowym zaznaczają, że w pewnych rodzinach otrzymali je na cele kościelne. Nie robią z tego jakiejś żenującej sprawy, owszem publicznie stwierdzają, że pieniądze są potrzebne administracji kościelnej. Niektórzy czynią tak, ale nie ma w tej kwestii jednomyślności.

DUSZPASTERSTWO RODZIN I DUSZPASTERSTWO INDYWIDUALNE

Gorliwi duszpasterze wymagają od proboszcza i wikarych takiego rozłożenia zajęć, aby jeszcze raz w roku mogli odwiedzić wiernych, u których byli po kolędzie. Ale jak realizować taki postulat przy obecnym braku księży, szczególnie w wielkich parafiach? Możliwy jest do wykonania program bardziej realny: odwiedzanie w ciągu roku chorych, ubogich i tych, którzy z różnych powodów naprawdę są nieszczęśliwi, oraz parafian, którzy podczas kolędy przyrzekli posyłać dzieci na katechizację, a nie czynią tego.

W jednej z parafii księża, dając z siebie maksimum wysiłku, odwiedzili w ciągu roku tych, którzy z okazji kolędy księdza nie przyjmują. Ta akcja duszpasterska przekonała ich, że ludzie posiadają wiele dobroci, lecz powodowani pewnymi uprzedzeniami nie chcą kontaktować się z księdzem.

KOLEĐOWY PRZEKRÓJ PEWNEJ PARAFII

W roku 1969 w pewnej wielkomiejskiej ankietowanej parafii, liczącej ponad 20 tysięcy ludzi, było 6.275 rodzin. Księża po kolędzie przyjęło 4.509 rodzin (73%). W tym bardzo życzliwie przyjęło 936 rodzin, życzliwie 1.155 rodzin, dość życzliwie (trochę obojętnie) 2.418 rodzin. Nie przyjęły księdza 802 rodziny (12%). Nieobecne były 964 rodziny (15%). Istnieje jednak uzasadnione podejrzenie, że były to pod względem religijnym bardzo zaniedbane rodziny, które nie mają ochoty księdza przyjąć, lecz nie chcą tego wyraźnie okazać.

Księża różnie oceniają, kto ich przyjął bardzo życzliwie lub obojętnie. Trzeba tu jednak ustalić pewne zasady. Można uznać, że bardzo życzliwie przyjmują te rodziny, które często przystępują do Komunii św. i są dobrze zorientowane w religijnym życiu parafii. Przynależący do tych rodzin cytują nawet wyjątki z kazań swych księży. Dzieci i młodzież pilnie uczęszczają na katechizację i wzorowo prowadzą zeszyty z religii. Studiujący na wyższych uczelniach należą do

duszpasterstwa akademickiego. W mieszkaniu jest nie tylko krzyż, lecz również Pismo św., obrazy i książki religijne. Z okazji kolędy cała rodzina pełna radości czeka na duszpasterza. Niekiedy nawet zwalniają się z pracy.

Życzliwie przyjmują te rodziny, w których powyższe przymioty i atmosfera również istnieją, ale nie rzucają się już z tak wielką wyrazistością w oczy.

U rodzin przyjmujących trochę obojętnie — różne zagadnienia z życia religijnego i moralnego przedstawiają pewne trudności. Daje się odczuć brak tej szczególnej życzliwości i serdecznej atmosfery.

UWAGI KOŃCOWE

Tradycja kolędowa sięga w Polsce i w innych krajach katolickich setek lat. Niestety, sporo jest już u nas takich parafii, w których księża nie są w stanie wypełnić co roku obowiązku wizytacji duszpasterskiej. Odwiedzają swych wiernych tylko raz na kilka lat. Co więcej, w parafiach-gigantach bywają takie wypadki, że do wiernych przychodzi ksiądz nawet raz na 10 lat. Stąd dzieci z klasy czwartej w ogóle w pewnym przypadku nie wiedziały, co to jest kolęda. W takiej sytuacji niektórzy proboszczowie zapraszają księży nieparafialnych i zlecają im kolędowe odwiedziny. Inni proboszczowie stanowczo się jednak temu sprzeciwiają, twierdząc, że tylko ksiądz z parafii dobrze przeprowadzi wizytację kolędową. Rzecz oczywista, że kapłan spoza parafii nie zawsze posiada tu właściwe rozeznanie duszpasterskie, które jest niezmiernie ważne. Niemniej na pytanie, czy wierni mają przez długie lata pozostać bez kolędy, czy też będą ją mieć, ale przyjdzie do nich ksiądz nie z własnej parafii, musimy zdecydowanie wybrać tę drugą alternatywę.

Najdogodniejszy czas dla odwiedzin kolędowych to okres Bożego Narodzenia. Panuje wówczas w rodzinach specjalny, bardzo sprzyjający wizytacji kolędowej nastrój. Do jego wytworzenia przyczynia się w pewnej mierze drzewko, szopka, kolędy. Wziąwszy jednak pod uwagę fakt, że katechizacja stanowi klu-

czowe zagadnienie naszego duszpasterstwa, księży katecheci muszą rychło kołędę przerwać. Pozostali jednak chodzą z odwiedzinami kołędowymi aż do Wielkiego Postu. Czasem zaczynają je na początku Adwentu.

W drażliwej kwestii, czy odwiedzać małżeństwa żyjące bez ślubu kościelnego, duszpasterze różnie postępowali. W parafiach małych, gdzie działanie opinii jest silne, czasem opuszczali takie rodziny, dla zaznaczenia, że nie mogą pochwalać konkubinatu. Wydaje się jednak, że w wielkomijskich parafiach ta metoda nie zawiera swego wychowawczego skutku. Tu często nawet sąsiedzi nie znają się bliżej. Dlatego księży idą wszędzie, gdzie ich proszą i przyjmują. Chodzi tu przede wszystkim o dzieci, które nie zawiniły w niczym, a są szczęśliwe, gdy ksiądz w mieszkaniu pomodli się, pobłogosławi je i przyjaźnie porozmawia. Poza tym obecność kapłana, jego takt, dobroć i rozsądek — mogą niekiedy doprowadzić do uporządkowania niewłaściwie postawionych spraw i związków.

Zdecydowana większość naszego ludu szczerze i serdecznie przyjmuje kapłana, szczególnie gdy widzi jego gorliwość. Ze swej strony musimy dbać, by atmosfera podczas naszych odwiedzin kołędowych była pogodna i radosna. Duszpasterz winien być uśmiechnięty. Wierni przy tym pragną w nas widzieć duchownych — spełniających swe funkcje liturgiczne i religijne. Kołęda bowiem nie jest wizytą towarzyską. Tym bardziej raziłoby ich świeckie zachowanie. Jednym słowem, kapłan musi zachować taką postawę, by wierni żalowali, że już odchodzi, a w przyszłym roku oczekiwali go z niecierpliwością.

CYFRA PRZYJACIELEM DUSZPASTERZA

POTRZEBA STATYSTYKI

a) Cyfry, statystyka, obliczanie — to coś bardzo istotnego i podstawowego w życiu jednostek i społeczeństw.

W odkopanych śmietnikach starożytnego Egiptu znajdowano często dokładne zapiski, odnoszące się do spraw kuchennych, do ilości, jakości i ceny menu. Nasze życie codzienne świadczy, że na przykład w tak małej komórce społecznej, jaką stanowi rodzina, tak bardzo wiele zależy od dobrego liczenia.

Różne resorty różnych przedsiębiorstw, zakładów produkcyjnych, ministerstw pragną mieć jasny obraz pracy, produkcji, zysków, strat. Rządy państw chcą znać ilość majątku narodowego, liczbę swych obywateli, ich wiek, wykształcenie, stan zdrowia itd. Co pewien czas ukazują się różne roczniki statystyczne. Bez liczb stosunki międzyludzkie byłyby niemożliwe.

Dobra gospodarka opiera się przede wszystkim na dokładnym liczeniu. Zdrowa ekonomia nie uczyni kroku bez liczb i komputerów.

Zresztą już Pitagoras i Platon przypisywali wielkie znaczenie liczbom, a współcześni uczeni dochodzą do wniosku, że my i nasz świat składamy się ze wzorów matematycznych i symboli.

Wysoko więc oceniamy cyfry. Posługuje się nimi statystyka. Jednak może być ona błędna i niewłaściwie, a nawet źle informować. Dają temu wyraz choćby pewne anegdoty. Oto jedna z nich mówi, że żyło dwóch ludzi. Jeden z nich, łagodnie określając, był wielkim nicponiem. Za swoje sprawki przesiedział 15 lat w więzieniu. Drugi natomiast stanowił wzór prawości i dobroci. Co o tych dwóch ludziach może

powiedzieć statystyka? Bardzo możliwe będzie jej stwierdzenie, że obydwaj należeli do kiepskich obywateli, którzy otrzymali na głowę równo po 7 i pół lat więzienia.

Moglibyśmy przytoczyć jeszcze wiele anegdot, skierowanych przeciwko statystyce. Nie przekreśla to jednak faktu, że zdobyła sobie wśród nas powszechne prawo obywatelstwa. Sumiennie przeprowadzona i dobrze odczytana przynosi, prowadzącym ją, ogromne korzyści.

b) Duszpasterstwo również potrzebuje liczb i statystyk. I tu już powstaje zdziwienie, słyhać nawet głosy przeciwne. Ależ to brak sensu liczyć, czy może nawet prowadzić buchalterię w duszpasterstwie! Przecież już nie ma kogo i czego liczyć. Laicyzacja podgryzła nerw życia religijnego, zadała ciężki cios temu, co należałoby statystycznie ujmować.

Owszem, na pewno te uwagi można by odnieść do jednej z diecezji w Europie zachodniej, gdzie przed paru laty biskup udzielił święceń tylko pięciu kandydatom do kapłaństwa. Niestety, dwóch z nich opuściło szeregi duchownych, a jeden uległ śmiertelnemu wypadkowi.

Na szczęście, w duszpasterstwie naszej Ojczyzny jest jeszcze co liczyć. Nie analizuję tu różnych przyczyn, które złożyły się na ten stan rzeczy i nadal się składają.

Liczyć trzeba. Wprawdzie spis ludności, który z rozkazu Dawida przeprowadził Joab nie podobał się Bogu (2 Sm 24, 2-17), ale w tym liczeniu izraelskiego króla mieściła się chęć wywyższania i pycha. Natomiast szukanie prawdy przy pomocy liczb jest w duszpasterstwie bardzo wskazane. Dzięki temu możemy się lepiej zorientować w faktycznym stanie rzeczy. Różne ankiety organizowane przez profesorów lub odpowiednie zespoły przy KUL, czy ATK rzucają nowe światło na pewne sprawy czy prace duszpasterskie.

Niektórzy duszpasterze unikają cyfr, czują niechęć do liczenia. Duchowni ci najczęściej pracują gorliwie nad wiernymi, powierzonymi ich pieczy. Liczby natomiast ich nie obchodzą. Mówią niekiedy, że mała grupa, czy nawet kilku prawdziwych, autentycznych

chrześcijan wynagradza Panu Bogu obojętność wielu. Tu więc należy pogłębiać wysiłki. Wyjątkowo ważna jest jakość, a nie ilość. Niewiele interesuje ich duszpasterstwo masowe czy nawet grupowe, w którym przede wszystkim liczy się potrzebne.

Czy można jednak być pewnym, że posiadamy takie elitarne grupy? Poza tym łatwiej chyba wyłonić kilku sprawiedliwych ze setek i tysięcy. Nie można więc lekceważyć duszpasterstwa masowego i liczb. Święty Paweł też woła, że wszystkim stał się dla wszystkich, aby wszystkim zyskać dla Chrystusa (Por. I Kor. 9,22). Pan Jezus szuka owcy zgubionej, choć 99 owiec znajduje się już w owczarni. Wartość jednej nieśmiertelnej duszy ludzkiej jest wyjątkowa. Gdy liczby, gdy statystyka ukażą smutną prawdę, że takich ginących dusz w ośrodku duszpasterskim jest wiele, wówczas zdwaja się i zwielokrotnia wysiłki, by szukających i kochających Chrystusa było jak najwięcej.

Statystyka wyrывa z kwietyzmu, bardzo często otwiera oczy, obnaża prawdę. I równocześnie wszystkich gorliwych mobilizuje, podrywa i nie pozwala spokojnie spać, spędzać beztrudnie urlopów. Przecież tak wiele jest do zrobienia, do poprawy, do zainicjowania. Statystyka każe poszukiwać, czytać, porównywać, analizować, pytać doświadczonych o zdanie, jeździć na zebrania — dyskutować. A przede wszystkim — cicho podszeptuje, sugeruje modlitwę, by Pan serca ludzkie uczynił podatnymi i ochotnymi na przyjęcie Prawdy.

Niektórzy przyrównują statystykę do aparatu rentgenowskiego, który wyraźnie ukazuje chore lub zdrowe miejsce organizmu. Liczby również powiedzą proboszczowi gdzie znajduje się najsłabszy punkt w jego pracy, co mu się nie udaje. I na to właśnie zwróci uwagę ze swym zespołem kapłanów. W ten sposób statystyka nabiera celowości i sensu, okazuje się przydatna, a nawet konieczna.

Wskazane, by jej wymowę wziąć pod uwagę przy planowaniu pracy. Każdy bowiem człowiek najchętniej czyni to, co lubi, co mu się dobrze udaje. Prawie każdy ma swoje upodobania, jest w jakimś sensie hobbyistą. Tymczasem liczby uczą realizmu. Każą baczenie

obserwować to, co jest bardzo zaniedbane, co może grozić ruiną. Kapłan musi zwrócić uwagę na obiektywne potrzeby swego ośrodka.

FORMY DUSZPASTERSTWA UJMOWANIE STATYSTYKĄ

W rektoracie, w parafii, w diecezji, w całym społeczeństwie, można badać statystycznie prawie wszystkie rodzaje duszpasterstwa. Wymienię tu najważniejsze: niedzielna Msza św., katechizacja, Komunia św. wielkanocna, kancelaria parafialna. Są też inne.

a) Msza św. Kościół uczy, że Msza św. stanowi bezkrwawe uobecnienie krwawej ofiary krzyżowej Chrystusa. Tajemnica ta jest jedną z zasadniczych prawd religii katolickiej. Kościół nakazał wiernym, pod grzechem, uczestniczenie we Mszy św. w niedziele i święta.

Duszpasterz zaczyna swą pracę w ośrodku od nauczania wiernych modlitwy, o ile dom rodzinny im jej nie przekazał. Równocześnie wkłada cały swój wysiłek, na jaki go tylko stać, by wierni uczestniczyli we Mszy św. Winni ją nie tylko przeżywać i karmić się ciałem Chrystusa, ale słuchać przy tym (w lekcji, ewangelii, kazaniu) słowa Bożego. I co również bardzo ważne, mają oni obowiązek wysłuchać ogłoszeń parafialnych czy kościelnych. Dowiadują się z nich o różnych nabożeństwach i uroczystościach religijnych. Włączają się we wspólnotę i, określmy to jeszcze lepiej, w rodzinę parafialną.

Bez udziału we Mszy św. nie ma mowy o życiu religijnym. Obojętność, odchodzenie od Boga zaczynają się od opuszczania pacierza i Mszy św. Na Zachodzie i u nas mamy bardzo smutne doświadczenia pod tym względem.

Dlatego udział wiernych w niedzielnej Mszy św. musi być ujęty statystycznie.

W niedużej parafii duszpasterz bez trudności orientuje się we frekwencji swoich parafian na Mszy św. Gorzej jest w parafii kilkunastu — czy kilkudziesięciotysięcznej. Jeden z proboszczów dużego ośrodka wielkomińskiego, pragnąc zliczyć wiernych, ustawił by-

strych chłopców ze szkół średnich (starsi ministranci) przy czterech wejściach do świątyni, na czas trwania 12 Mszy św. odprawianych w niedzielę. Chłopców było razem 16. Zmieniali się co 3 godziny. Wcześniej ksiądz udzielił im odpowiednich wskazań. Liczyli wszystkich wchodzących, trzymając w rękę liczniki lub w razie ich braku zapisując na kartce każdą 20-to czy 50-cio osobową grupę wchodzących. Proboszcz kontrolował ministrantów co chwilę, by nie było pomyłek w liczeniu.

Ilość wiernych w kościele, choć już z mniejszą nieco dokładnością, można również obliczyć, biorąc pod uwagę jego powierzchnię. Na 1 m² stoją przeciętnie 4 starsze osoby. Dzieci mieści się nawet sześcioro. Mężczyźni jako bardziej barczyści zajmują więcej miejsca. Odlicza się konfesjonały i inne sprzęty kościelne. Wiadomo ile mieszczą ławki. Doświadczony rekolekcjonista lub inny duchowny, przy pierwszym wejściu z ambony, orientuje się, ile ludzi jest w kościele. Wśród księży jest wielu ulegających złudzeniom optymistów. Powiadają na przykład, że świątynia była pełna, że na nabożeństwo przyszło 2000 wiernych. Gdyby jednak wiernych poproszono o podejście ku ołtarzowi, okazałoby się, że jeszcze jedna trzecia kościoła świeci pustką.

Łudzenie się, pocieszanie, wmawianie sobie, że znacznie większa liczba uczestniczy we Mszy św. niż to ma miejsce w rzeczywistości, jest niezmiernie szkodliwe dla duszpasterstwa.

Kapłan liczy wiernych w świątyni dwa lub trzy razy w roku. Najlepiej, gdy czyni to w okresie nie urlopowym. Po kilku latach zdobywa bardzo dokładne dane o niedzielnej frekwencji wiernych. Może również dla wytworzenia sobie dokładniejszego obrazu pobożności ludzi zliczyć ich również na nabożeństwach specjalnych np. na procesji Bożego Ciała, Pasterce, czy Rezurekcji.

b) **Katechizacja.** Podobnie jak uczestniczących we Mszy św., również i uczęszczających na katechizację łatwo zliczyć w małych ośrodkach. Trudności wyłaniają się w dużych. Należy znać liczbę przedszkolaków, dzieci szkół podstawowych i młodzie-

ży szkół średnich, przychodzących do salek katechetycznych.

O ile ze szkół podstawowych, mieszczących się na terenie dużej parafii (jest ich zazwyczaj kilka), wszystkie dzieci wierzących rodziców uczęszczają do parafialnego ośrodka, wówczas katecheta bez kłopotu dowiaduje się, ile dzieci z poszczególnych oddziałów i szkół uczy się religii. O ile z jakiejś szkoły młodzi uczęszczają do punktów katechetycznych w różnych parafiach, wówczas proboszczowie tych parafii mają obowiązek porozumienia się ze sobą, ile jest u każdego z nich dzieci z tej szkoły. Dokonuje się podsumowania. Reszty należy szukać. Zapewne część uda się odnaleźć.

Więcej czasu zajmuje liczbowe ujęcie młodzieży szkół średnich wszystkich typów (licea, technika, szkoły zawodowe). Młodzież ta uczeźcza do szkół w miasteczkach lub w dużych miastach.

W miasteczkach katecheci zapraszają poszczególne klasy lub oddziały do salki katechetycznej. Wówczas widzą ilu młodych przychodzi, a ilu brakuje. Nawiasem dodam, że system katechizacji całych grup klasowych należy za wszelką cenę utrzymać. Młodzież tych grup jest z sobą zżyta, czuje się ze sobą dobrze.

Proboszczowie parafii przeważnie wiejskich, których młodzież w pobliskim miasteczku, w grupach klasowych uczeźcza na katechizację, mają wielki powód do radości. Przecież doświadczeni i dobrze przygotowani katecheci mówią o Bogu ich młodym parafianom, którzy w tym okresie życia przeżywają zazwyczaj kryzys wiary, autorytetu i moralności. W rodzimej parafii w niedzielę (czasem w sobotę) powinien proboszcz również zorganizować spotkanie z tą młodzieżą, wprowadzając ją w problematykę parafialną. Podczas odwiedzin kołędowych ksiądz sprawdza i na nowo się upewnia, gdzie jego młodzi uczeźzczają na katechizację.

W dużych miastach, po oddzieleniu religii od szkół, księża katecheci przez pewien czas prowadzili katechizację poszczególnych grup klasowych, lecz mimo wielkiego wysiłku, ten rodzaj katechizacji zaniknął. Po prostu nie udawało się nadal gromadzić w ten sposób młodzieży. Dlatego wielkomięjskie duszpasterstwo

zorganizowało parafialną naukę młodzieży szkół średnich. Ta młodzież uczęszcza zazwyczaj do kilkunastu różnych szkół. Wybiera sobie dzień i godzinę, w których bez trudności może przyjść na katechizację. W takiej grupie znajdują się uczniowie i uczennice o zainteresowaniach humanistycznych lub technicznych. Katecheta ma trudniejszą pracę. Natomiast zliczenie ilości tej młodzieży to sprawa kilku minut. Duszpasterz dokładnie wtedy wie, ilu przychodzi na naukę religii do ośrodka katechetycznego w jego parafii.

c) Komunia św. wielkanocna. Niektórzy powiedzą: czy jest sens mówić o Komunii św. przyjmowanej raz w roku, gdy jasnym jest, że na każdej Mszy św. powinno się komunikować. Inni znowu zawołają: precz z przepisami prawnymi, szczególnie z dawnych stuleci; wszakże człowiek jako dziecko Boże jest istotą wolną i nie należy mu niczego narzucać, również Komunii wielkanocnej. Czyni to, co dyktuje mu jego rozum, jego własna postawa wobec religii.

Pierwszym odpowiem, że Komunia wielkanocna przyjmowana pobożnie prowadzi do przyjmowania jej częściej w roku, a nawet codziennie. Drugim — że ze spraw religii nie rozumieją wiele i stali się leniwymi w wypełnianiu swych obowiązków wobec Boga. Nie wolno im lekceważyć przepisów prawnych Kościoła. Porządek i przepisy obowiązują w każdej instytucji. Zresztą prawo bardzo często stanowi obronę prawdziwej wolności, a nie jej skrępowanie. O ile panuje porządek w zakładach General Motors lub u Forda, dlatego eliminować go z Kościoła katolickiego. Dotychczas wielu zazdrościło nam tego porządku.

Dlatego duszpasterz powinien znać i ten przejaw temperatury życia religijnego jaką jest wypełnianie przez katolików obowiązku Komunii wielkanocnej.

I tu trochę z historii. Dawniej organista już w przedpościu roznosił parafianom kartki do spowiedzi wielkanocnej. Na takiej kartce była pieczęć parafii, a zainteresowany wpisywał swe nazwisko i oddawał spowiednikowi przy konfesjonale. Proboszcz mógł dokładnie obliczyć, ilu wiernych wypełniło obowiązek Komunii wielkanocnej. Zwyczaj ten przestrzegany był bardzo dokładnie u nas i jest (nawet dzisiaj) między

innymi na terenie dawnego zaboru pruskiego, jak również w innych parafiach. Czasem kartki pobierali wierzni w zakrystii.

Tu i ówdzie duszpasterze tak wychowali ludzi, by sami na zwykłych kartkach wypisywali swe nazwisko i oddali przy spowiedzi w okresie wielkanocnym.

W bardzo licznych parafiach nie ma zwyczaju oddawania kartek spowiedzi wielkanocnej. Niektórzy więc rządcy kościołów w każdym konfesjonale umieszczają licznik (niemiecki Beichtzähler). Kapłan po wyspowiadaniu penitenta naciska guziczek i wiadomo ilu ludzi w tym konfesjonale przystąpiło do sakramentu pokuty w okresie wielkanocnym. Całość wskazuje licznik. Spowiednik w tym wypadku musi jednak delikatnie penitenta spytać, czy to jest jego spowiedź wielkanocna. Niektórzy bowiem w tym okresie mogą się spowiadać kilka razy.

Warto, by księża liczyli również spowiadających się w czasie rekolekcji adwentowych, a przede wszystkim wielkopostnych. Jeden z proboszczów dużej parafii urządzał osiem serii rekolekcji: dla dzieci III, IV i V klas szkoły podstawowej, dla uczennic klas V, VII i VIII, dla uczniów tychże klas, dla młodzieży szkół średnich, dwie serie dla młodzieży akademickiej, rekolekcje ogólnoparafialne i dla młodych małżeństw. Chodziło o to, by nie robić masówek, by wszyscy chętni mogli się powoli i spokojnie wyspowiadać i wymodlić. Spowiednicy rekolekcyjni, zaopatrzeni w liczniki i zachęcani przez proboszcza, liczyli penitentów.

Okazuje się, że ujęcie cyfrowe przystępujących do Komunii św. wielkanocnej, to nawet dość skomplikowana sprawa. Wymaga od proboszcza przede wszystkim zainteresowania, jak również wielkiej cierpliwości i uwagi, o co przy licznych zajęciach duszpasterskich dość trudno.

Każdy rządcą kościoła wie oczywiście, ile Komunii św. rozdaje się u niego w ciągu roku. Oblicza bardzo prosto, mianowicie według ilości sprowadzanych komunikantów.

Wskazaną jest również rzeczą, by wiedzieć, ilu wierznych przyjmuje Komunię św. w pierwsze piątki mie-

siąca. Spostrzegawczy, inteligentny kościelny może okazać wielką pomoc przy wszelkich liczeniach.

d) W kancelarii parafialnej dowiemy się: ile było ślubów, chrztów i pogrzebów w poszczególnych latach.

Status animarum (kartoteka parafialna) złączona ściśle z kancelarią, powie nam, ilu katolików liczy parafia, a ilu wszystkich mieszkańców. Ilu jest nieochrzczonych, ilu należy do innych wyznań. Ile małżeństw pozostaje bez ślubu kościelnego, ile jest dzieci ze związków pozamałżeńskich. Ilu dorosłych uczy się na przygotowanie do sakramentu chrztu, pokuty, Eucharystii. Ile osób zostało na śmierć zaopatrzonych, a ile nie. Ilu było samobójców.

e) W większych ośrodkach kościelnych istnieje, oprócz omawianych, wiele innych dziedzin prac, jak np. duszpasterstwo rodzin, duszpasterstwo akademickie, służby liturgicznej ołtarza, chorych, głuchoniemych itp.

Zainteresowani kapłani dobrze znają ilość ministrantów, lektorów, uczennic ze scholi. Wiedzą, ilu należy do grupy charytatywnej, ilu chorych odwiedza się w mieszkaniach i zakładach specjalnych, ile Komunii św. zanosi się do szpitali.

Kapelani akademicy obliczają, ilu studentów uczestniczy w ich Mszy św., ilu przychodzi na wieczorne konferencje, na opłatek akademicki. Wiadomo też, ile par narzeczonych bierze udział w konferencjach przedmałżeńskich, ile osób w katechizacji dla dorosłych, ile w triduach czy nowennach przed bierzmowaniem. Proboszcz zapisuje co roku ilość przyjmujących I Komunię św. i przystępujących do sakramentu umocnienia. Warto też wiedzieć, ilu wiernych w zwykły dzień nawiedza kościół. Można również notować, ilu prenumeruje prasę katolicką, ilu wypożycza książki w bibliotece parafialnej. Ilu kapłanów i zakonnic dała parafia Kościołowi.

Niektóre ośrodki prowadzą jeszcze inne specjalistyczne, nie wymienione tu działy duszpasterskie. Wiadomo, że w pewnych wypadkach kapłan nie jest w stanie ująć w cyfry wyników prac duszpasterskich.

Badania statystyczne osiągną swój cel, jeśli zachowają zgodność z faktami i zostaną bezbłędnie odczytane. Wskazane jest również, by dane liczbowe znali wierni.

a) Duszpasterz prowadzi statystykę w tym celu, by służyła duszpasterstwu, by podnosiła jego poziom. Osiągnie to, gdy statystyka będzie prawdziwa, zgodna z faktami, niezafałszowana. Kapłan wprowadzający cyfry do służby w winnicy Pańskiej, nigdy nie może zapomnieć o tej maksymie Pisma św.: „veritas liberabit vos, prawda was wyzwoli” (Por. J 8,32). Najczęściej popełniany błąd, a właściwie grzech, to zawyżanie cyfr. Duszpasterz chce pocieszyć siebie, przyjaciół, przełożonego. Przyjemność sprawia mu dobra opinia. Nie chce, by padło na niego niekorzystne światło. Niektórzy koniecznie chcieliby widzieć cyfry pocieszające.

Ale nie tędy droga. Wszelkie ludzenie się w życiu politycznym, gospodarczym, społecznym czy wojskowym przynosi nieobliczalne szkody. Niekiedy wręcz prowadzi do katastrofy. Znany jest z ostatniej wojny fakt podawania przez niemieckich lotników zawyżonej liczby zestrzelonych przez siebie samolotów angielskich nad kanałem La Manche. W pewnym momencie dowództwo Wehrmachtu sądziło na podstawie tych danych, że właściwie brytyjskie samoloty nie powinny już się ukazywać w powietrzu. Tymczasem było zupełnie inaczej. Przyczyniło się to w pewnym stopniu do klęski Niemców.

Duszpasterz powinien pamiętać, że nie wolno uciekać przed prawdą, a najgorszą metodą jest strusia polityka. Trzeba więc liczyć dokładnie i nie koloryzować. Przesada bowiem może się ujawnić przy przyjęciu następcy, który do liczb podejdzie realnie. Ale mniejsza już o opinię ludzką. Istotny motyw stanowi tu skuteczność głoszenia Ewangelii.

b) Statystyka nie tylko musi być zgodna z rzeczywistością. Równocześnie trzeba ją umieć dobrze odczytywać, podobnie jak zdjęcie rentgenowskie. W zależności od uwarunkowań społecznych,

kulturowych i nawet politycznych te same liczby mogą oznaczać różną rzeczywistość. Weźmy na przykład pod uwagę dość duże parafie o tej samej liczbie ochrzczonych. W jednej z nich nie ma w ogóle dzieci ze związków pozamażeńskich, czyli tzw. dzieci nieślubnych. W drugiej natomiast jest ich pewna liczba. Na pierwszy rzut oka, według danych liczbowych, w pierwszej parafii moralność w tym aspekcie przedstawia się dobrze, a w drugiej źle. Jednak duszpasterska obserwacja wykazuje po pewnym czasie coś zgoła odrębnego, w pierwszym ośrodku usuwanie ciąży, a w drugim nie.

Lub inny fakt. W jednej z dwóch liczebnie równych sobie parafii, do I Komunii św. przystępuje duża grupa dzieci, a w drugiej ilość ich jest bardzo mała. Ale cyfry nie ukazują tu wszystkiego. W pierwszym wypadku parafia już od 10-ciu lat jest zorganizowana, a w drugiej parafii do mieszkań dopiero się wprowadziły młode małżeństwa.

W parafiach dawnych starych dzielnic statystyka notuje dużo pogrzebów, a mało ślubów i chrztów. Młodzi mieszkańcy wyprowadzili się bowiem do nowych osiedli na obrzeżach miasta. Natomiast wierni działający w duszpasterstwie chorych mają w starych dzielnicach pełne ręce roboty.

Są to przykłady pierwsze z brzegu. Kapłan więc winien umieć właściwie odczytywać cyfry zwłaszcza w sytuacjach skomplikowanych i złożonych. Wniosek stąd ten, że statystyka musi być prowadzona zgodnie z faktami i powinna być bezbłędnie interpretowana.

c) O stanie religijnym i moralnym rodziny parafialnej członkowie jej winni być często informowani. Duszpasterze czynią to zazwyczaj po odwiedzinach kołędowych. Zapewne czynić trzeba to częściej. Parafian należy zapoznać z danymi statystycznymi. Niech się radują lub smućą. Należą przecież do kapłaństwa powszechnego. Niech wspólnie ze swymi duchownymi przeżywają troski i radości duszpasterskie. Odpowiedzialność za żywotność parafii spoczywa również na nich.

d) Wszystkie dane liczbowe administrator ośrodka gromadzi w osobnej teczce. Po kilku czy kilkunastu

latach liczby dają dość wyrazisty, czasem pełny obraz życia religijnego i pracy duszpasterskiej księży oraz ich współpracowników.

To prawda, że statystycznie można ująć przede wszystkim zewnętrzne przejawy pobożności. Ktoś złośliwy mógłby do wielu naszych praktykujących odnieść porzekadło: siedzi pod figurą a ma diabła za skórą. Nie można jednak lekkomyślnie o modlących się i praktykujących ferować wyroków będąc z dala od nich. Aby wydać sprawiedliwy sąd, trzeba być razem z nimi na ich spotkaniach modlitewnych. Kto z nimi przeżywa Mszę św., razem przyjmuje Ciało Chrystusowe, objaśnia prawdy Pisma św., słucha bolesnych wynurzeń w konfesjonale, ten wie, że mimo swych błędów i grzechów, szukają szczerze Boga, kochają Go i są naprawdę pobożni. Ich pobożność emanuje, udziela się, jest po prostu widoczna podczas nabożeństw. Dlatego statystyka, przekazując wprawdzie tylko zewnętrzne dane duszpasterskie, mówi jednak wiele o miłości do Boga, tkwiącej w sercach ludzkich.

Gdy praca idzie dobrze, liczby stają się dla duszpasterza źródłem wielkiej radości. Mobilizują go do jeszcze większego wysiłku. Budzą szacunek i miłość do rodziny parafialnej, do wiernych, bo tak chętni są do współpracy, tak wiele można z nimi osiągnąć. U cudzoziemców odwiedzających nas, gdy zapoznają się z udokumentowanymi liczbami, rodzi się podziw, szacunek, chęć naśladowania.

KRONIKI PARAFIALNE

I

„Najstraszniejszy dzień był w sobotę 5-go grudnia kiedy się już mieli cofać. Pod Limanową byli już pobici, nasi zaczynają zwiększać ogień na Górę św. Jana, która już w ten dzień cała płonęła i cała się spaliła, pozostał tylko kościół nadwyrężony. Moskale usiłują jeszcze raz atakować na Kamienik, Lipnik pod Kamienikiem już się również palił, zdawało się, że i nasze okolice zaczną się palić...” (z kroniki parafii Raciechowice).

„Dnia 8/12 nastąpił odwrót Moskali i ucisk żołnierski trochę zelżał. Wtedy pokazało się, jakie spustoszenie porobiła wojna na plebanii. We wszystkich budynkach nic nie zostało oprócz ścian i to jeszcze tu i ówdzie popsutych, ani siekiery, ani noża nawet nie było, nawet naczyń kuchennych dużo poginęło. Ani krowy, ani konia w stajni, ani kury, ni drobiu żadnego, ani ździebelka słomy lub siana. Desolatio desolationis — ...” (z kroniki parafii Myślenice).

„W ciągu krótkiego czasu pali tłuszcz bezbożna 20 gospodarstw i kładzie trupem 75 osób różnego wieku i płci, to mają być „Banditen”. Po skończeniu tak potwornej pracy zgraja owa udaje się przez góry na drugą stronę i w Smykani pali i niszczy doszczętnie 18 domów i zabija 38 osób”. (z kroniki parafii Wiśniowa).

Dwie pierwsze wzmianki zanotowali proboszczowie-kronikarze w r. 1914. Trzecia odnosi się do II wojny światowej. Takich i znacznie dłuższych opisów tego, co się działo w czasie dwóch ostatnich wojen światowych znajdujemy setki w samych tylko kronikach diecezji krakowskiej. Świadczą one o ogromie zniszczeń na polskich ziemiach.

Nie mieliśmy za wiele spokoju w naszych dziejach. W XVII w. wojny z Turkami, Tatarami, Kozakami, Moskalami, Szwedami poderwały potęgę państwa Jagiellonów. A potem trzech zaborców zniszczyło naszą państwowość. Z kolei insurekcja kościuszkowska, powstanie listopadowe i styczniowe, I i II-ga wojna światowa, powstanie warszawskie z roku 1944. Wszystkie te fakty, pomijając następstwa polityczne i gospodarcze, w bardzo znacznym stopniu przyczyniły się do zniszczenia narodowego dorobku kulturalnego całych stuleci.

Szczególnie dotkliwe okazało się dla naszej kultury powstanie warszawskie z r. 1944. Zniszczeniu uległy kościoły wraz z ich wewnętrznym wystrojem. Pastwą płomieni padły ołtarze, ambony, witraże, obrazy, rzeźby, księgozbiory klasztorne i parafialne, ścienne malowidła, chrzcielnice, epitafia, dzwony itd. Los sztuki sakralnej podzieliły oczywiście i świeckie obiekty. Wspaniałe dzieła architektury (pałace, pomniki) hitlerowcy wysadzili w powietrze. Całkowicie spalona została Biblioteka Krasieńskich, a w dużym stopniu Biblioteka Publiczna, Załuskich, Uniwersytecka, Narodowa. Na zawsze przepadły bezcenne inkunabuły i starodruki.

Dużo szczęścia miał Kraków, wspaniałe siedlisko kultury polskiej. Warto na tym miejscu przypomnieć opinię kardynała Franciszka Sepera, który zwiedzając w roku 1974 Katedrę Wawelską zauważył, że zapewne na całym globie nie ma takiego miejsca, gdzie na tak małej przestrzeni zostało zgromadzonych tak wiele pomników historii narodu.

Ale to tylko Krakowowi tak się udawało. W ciągu stuleci prawie każde miasto czy miasteczko uległo jakimś zniszczeniu. Poza tym nasi wielmożowie i mecenaszi z poprzednich epok budowali swe zamki, pałace, kościoły, pomniki czy klasztory na terenach nie należących obecnie do naszej Ojczyzny. Wskutek tego jesteśmy społeczeństwem ubogim w zabytki kultury. Wydano u nas niedawno ilustrowaną książkę „Zamki w Polsce”. Pozycja ta, bardzo potrzebna i cenna, prezentując to co ocalało, z konieczności ukazuje wiele ruin. Jakże szczęśliwe w tym wypadku są kraje za-

chodniej i środkowej Europy z setkami wspaniałych zamków czy przebogatych muzeów, monumentalnych katedr i ogromnej wprost ilości innych obiektów historycznych.

II

O bogactwie narodu świadczy nie tylko kubatura mieszkaniowa, fabryki czy autostrady. Niezmiernie ważnym elementem jego bogactwa są zabytki przeszłości. Powiedział ktoś, że ojczyzna, to ludzie, ziemia i pomniki. Dowody ludzkiej myśli, miłości, pracy, poszukiwań, walki całych pokoleń zakłęte i uwieńczone bywają w literaturze, w poezji, architekturze, malarstwie, rzeźbie, muzyce i innych formach kultury.

Non omnis moriar — pisze Horacy. Rzeczywiście, nie całkiem umarł. Jego wiersze świadczą o nim i o jego epoce. A naród bez pomników swej przeszłości podobny byłby do człowieka, który licząc np. 50 lat nie wie, nie pamięta, kim był, jakie było jego życie, gdy miał 20, 30 czy 40 lat. Taki człowiek nie jest pełną jednostką, lecz jakimś dziwnym tworem, kaleką, kimś anormalnym. Podobne kalectwo może w mniejszym lub większym stopniu stać się udziałem narodu. Współczucie budzi taki naród.

Kierownik kursu języka polskiego dla Polonii w Krakowie oświadczył, że studenci polonijni zobaczywszy w Krakowie gotyckie i barokowe kościoły poczuli się dumni, że pochodzą z narodu, który już przed kilku wiekami budował tak wspaniałe obiekty.

W zestawie pomników przeszłości każdego społeczeństwa pierwszorzędną pozycję stanowią zabytki pisane, np. tablice, karty pergaminowe, różnego rodzaju księgi. Należą doń również pamiętniki i kroniki.

III

Historycy bardzo mocno podkreślają wieloraką wartość i znaczenie kronik. Bez nich nie ma historii. W literaturze kronikarskiej poważną pozycję stanowią kroniki kościelne, a więc parafii, klasztorów czy

kurii biskupich. U nas podzieliły one los innych za-
bytków i świadków przeszłości. Częste wojny, zmiany
granic państwa, niewola, okupacje, spowodowały fa-
talne skutki, ogromnie uszczupliły stan posiadania, po-
zostawiły również zaniedbania w kronikach kościel-
nych, tak ważnym elemencie kultury Kościoła i na-
rodu.

W jednej z diecezji Kuria Biskupia chcąc mieć ro-
zeznanie o stanie kronik poprosiła w roku 1975 rząd-
ców parafii o odpowiedź na następujące pytania:

1. Czy w urzędzie parafialnym istnieje kronika pa-
rafialna?
2. Ile tomów (zeszytów) obejmuje?
3. Z którego roku pochodzą najstarsze zapiski?
4. Jakich lat sięgają najstarsze zdarzenia?
5. Które lata w ogóle nie są opisane w kronice?
6. Ile zapisanych stron obejmuje w całości kro-
nika?
7. Ile stron napisanych jest w języku polskim, a ile
w łacińskim lub innym?
8. Podać opisane w kronice najciekawsze, zdaniem
księdza proboszcza, zdarzenia z życia religijne-
go, duszpasterskiego, społecznego, politycznego
lub gospodarczego.
9. W jakim stanie znajduje się kronika (w dobrym,
zniszczona)?

Ogólne wyniki ankiety nie przedstawiają się zbyt
wesoło dla tej diecezji. Zapewne w wielu innych die-
cezjach jest podobnie. Przede wszystkim brak starych
kronik. Zasadniczo znajdujemy opisy od II połowy
XIX w. Pierwsza połowa tego stulecia jest już słabo
uwzględniana, jeszcze gorzej wiek XVIII i poprzednie.
Czasem znajdujemy tylko spisy plebanów, obejmujące
kilkanaście lub więcej nazwisk. Obok nazwisk zazna-
czono lata, w których księża ci sprawowali funkcje
duszpasterskie. Daty ich urzędowania sięgają czasem
XV wieku.

Niekiedy proboszcz wpisał do kroniki treść starych
zapisków znalezionych wśród ksiąg parafialnych. I tak
kronikarz parafii Myślenice w roku 1846 podaje, że
przez cały prawie rok 1652 panowała zaraza w Polsce,
również w Krakowie i Myślenicach; w roku 1749 w

kilku miejscowościach koło Myślenic szarańcza zniszczyła całkowicie trawy, owoce, zboża, tak że została tylko goła ziemia; w roku 1759 w Węglówce, gdy rodzice byli w polu, wilk porwał dziecko i uciekł z nim do lasu.

Księgi kronikalne są często zaniedbane i zniszczone. Karty kroniki powyginane, podarte, żółknięte, a oprawa woła o natychmiastową interwencję introligatora. Nierzadko księgi zaatakowane są przez szkodniki lub wilgoć. Bywa, że kronikę stanowią luźne karty, nie spięte przez nikogo w całość.

Czasem kroniki w ogóle przez długie lata nie są prowadzone. Wizytujący biskup podpisywał Kronikę Parafialną, przybił swą pieczęć. Niestety, ktoś odpowiedzialny za kronikę później nie pisał nic lub prawie nic.

Niemniej tego co zapisano jest dość dużo i istniejące zapisy kronik parafialnych dają bogaty i barwny obraz różnych przejawów życia na terenie parafii, diecezji czy kraju. Niektórzy z księży (bo oni prowadzą kroniki) okazują się mistrzami. Ich relacje czyta się z zapartym tchem, wciągają w problemy przez siebie opisywane.

Niestety, kroniki parafialne czyta rzadko kto, wyjątkowo się je cytuje. Stanowią one jednak cenne źródło dla różnych monografii i opracowań historycznych czy socjologicznych. Piszący prace naukowe mogliby więcej zaglądać do kronik parafialnych. Zainteresowanie kronikami stanowiłoby bodziec do ich prowadzenia. Należałoby je znacznie więcej cenić, zapoznawać się z nimi. Zwrócić na nie uwagę.

IV

Kierując się tą myślą, w celu zapoznania się z kronikami, warto przypomnieć czym niektórzy kronikarze się interesowali, rzucić okiem na fakty przez nich podawane.

W pierwszym rzędzie podejmowali odwieczny temat pogody, a raczej chleba. Człowiek musi jeść chleb. W kronikach parafialnych znajdujemy bardzo często opisy lat urodzajnych i nieurodzajnych. Uro-

dzaj w znacznej mierze zależy od dobrej pogody. Proboszczowie, sami prowadząc gospodarstwa rolne, zostawiają wiele opisów o suchym lub mokrym roku, o powodziach, gradobiciach, suszach. W kronice parafii Myślenice (r. 1850) np. czytamy: „Jesień t. roku była nadzwyczaj mokra, tak dalece, iż niemal wszystkie późniejsze zasiewy ludziom w polu po największej części się zmarniały, ziemniaki w polach wygniły, a z zasiewami jesiennymi się ludzie zbyt późno opóźnili. — Ostatnie owsy nawet po S. Michale zbierano — a obsiewano wczesnymi siewami w jesieni około WW. Świętych”. Kronikarz parafii Głogoczów w roku 1932 notuje: „Niezwykle piękny czas panował od 29 czerwca do końca roku. Jedynie przez kilka dni z początku sierpnia były deszcze, wskutek czego u nas trochę owsy porosły... Przez cały wrzesień można się było kąpać w rzece. W październiku 3 razy tylko opałałem mieszkanie.”

Z pogodą bywało różnie. W jednym roku w lutym nastąpiło takie ciepło, że pszczoły się wyroiły, a bydło ryczało na łąkach. Innym razem po 20 czerwca spadł śnieg i kilkucentymetrową warstwą okrył pola i okwiecone drzewa. Warto przypomnieć, że wtedy na orbitę okołozemską nie wysyłano latających obiektów.

Kronikarze opisują remonty kościołów, plebanii czy budynków gospodarczych. Podają spisy inwentarza kościelnego i plebańskiego. Lubią wyliczać zakupione paramenty i inne przedmioty kultu liturgicznego. Opisują godzenie zwaśnionych parafian, napady złodziejskie, uderzenia piorunów. Często znajdujemy opisy chorób, np. cholery (zwanej zarazą), czerwonki, hiszpanki, tyfusu, a również przepisy na lekarstwo przeciw wścieklicznie czy cholerze.

Przejazd osoby wysoko postawionej w hierarchii państwowej lub kościelnej stanowił niecodzienne wydarzenie dla parafii. Kronikarz parafii Gdów w roku 1912 pisze: „Dnia 22-go marca tego roku przejeżdżał przez Gdów razem z wojskiem rotmistrz dragonów Najdostojniejszy Arcyksiążę Karol Franciszek Józef, przyszły następca tronu. Najdostojniejszy Arcyksiążę przywitany bardzo uroczyście... zamieszkał ze swoją Świątą na plebanii, która razem z mieszkaniem księdza

wikarego została mu odstąpiona całkowicie na mieszkanie... Najdostojniejszy Arcyksiążę był zadowolony szczególnie z mieszkania i uroczystego przyjęcia — i raczył na prośbę proboszcza położyć niżej swój podpis". Na karcie kroniki znajduje się wykaligrafowany podpis: Arcyksiążę Karol.

W Rudawie k. Krakowa mieszkał w r. 1908 u swych przyjaciół, u państwa Domańskich Henryk Sienkiewicz. Do kroniki parafialnej wpisał słowa: „Na pamiątkę pobytu w Rudawie — Henryk Sienkiewicz". Autentyczność autografu pisarza potwierdził towarzyszący mu historyk prof. dr Stanisław Smolka, mieszkający przez parę lat we dworze w Niegoszowicach k/Rudawy, dodając datę: Rudawa 6.VIII.1908 r.

W kronice parafii Gdów dnia 22-go.X.1945 Ludwik Solwski wpisał własnoręcznie te słowa:

„Tum w Gdowie ujrzał światło dzienne
I malowidła świętych ścienne
potem tułałem się po świecie
przez burze i zamiecie...
A dziś, gdym pracą już sterany
Radbym tu leczyć życia rany. —”

Następuje podpis: Ludwik Sosnowski Solwski.

W setkach kronik znajdujemy zapisy odnoszące się do życia religijnego i duszpasterskiego, choć nie tak często jak moglibyśmy się spodziewać. Kronikarz uważał je zapewne za tak oczywiste, za zjawisko tak codzienne i wrośnięte w życie jego parafii, organicznie z nią związane (nabożeństwa niedzielne, święta, procesje, odpusty, rekolekcje, pogrzeby, wesela), że pisząc kronikę nie zwracał na nie uwagi. Opisywał tylko ważniejsze. Np. ksiądz prowadzący kronikę parafii Wiśniowa notuje: „Dnia 8 września 1911 roku o godzinie 4 1/2 popołudniu umarł w Krakowie J. E. Jan z Kozielska Kardynał Puzyna, Książę Biskup Krakowski. Przez lat przeszło 16, tj. od 7 lutego 1985 rządził diecezją Krakowską. Odrestaurował Katedrę na Wawelu, zbudował nowe Seminarium Duchowne, założył Małe Seminarium i Bursę św. Jana Kantego... Pogrzeb Jego odbył się w Krakowie przy udziale wszystkich

XX. Biskupów Galicyjskich wszystkich 3 obrządków, przy udziale przeszło 500 duchowieństwa świeckiego i zakonnego, i kilkudziesięciu tysięcy wiernych. Pochowany w Katedrze na Wawelu".

Religijność ludu była powszechna i żywa. Kronikarz parafii Gdów pisze: „Powszechna mobilizacja. Ruch między ludnością nadzwyczajny. Każdy wojskowy kiedyś, miał się teraz stawić pod broń aż do 42 lat życia. Sto kilkadziesiąt mężczyzn, idących na wojnę, spowiadaliśmy dnia 1.go i 2.go sierpnia, późno w noc i wczas rano. 2 sierpnia, w niedzielę po rannej Mszy św. mieli wyruszyć do Krakowa... Po odprawieniu Mszy św. przeczytałem Ewangelię i zacząłem naukę mówić. Płacz jednak całego kościoła nie dał mi mówić. Stu kilkadziesięciu mężczyzn stoi przede mną przy ołtarzu M.B., a z pod powiek widać łzy. Sama treść Ewangelii dzisiejszej była przerażająca. Po błogosławieństwie pojechali..., ale czy wszyscy wrócą?“. Kronikarz parafii Wiśniowa również pisze: „Na 2.gi dzień po ogłoszeniu mobilizacji, a było to w Niedzielę 2. Sierpnia br. już od wczesnego ranka gromadnie przystępowali mężczyźni, powołani do wojska do spowiedzi i Komunii Świętej. Tak było przez kilka dni. Rozrzewniający był to widok kiedy rano o 4-tej zgłosili się do spowiedzi; kuferki wojskowe ustawili pod kościołem, a po spowiedzi i Komunii Świętej, posilwszy się czemś na prędcie pod Kościołem, szli na kolej do Kasiny".¹

Sprawy polityczne bardzo interesowały kronikarzy, szczególnie w okresie niewoli. Pisali o tym, co im leżało na sercu. Opisy mieszczą w sobie nadzieje i tęsknoty za wolną Ojczyzną. Dochowało się trochę wzmianek o powstaniu listopadowym i styczniowym. W czasie tego ostatniego policja austriacka i szpicle weszli za niedobitkami powstańczych żołnierzy, przekradających się z Królestwa przez Wisłę.

Tragedia narodowa z roku 1846 (rzeź galicyjska) znajduje wielu kronikarzy opisujących wydarzenia tego czasu z największym zaangażowaniem. Często groziła im śmierć z rąk ogłupiałych chłopów. Kronikarz

¹ Kronikarze parafii Gdów i Wiśniowa piszą o sierpniu 1914 r.

parafii Wiśniowa pisze w roku 1846: „Łaskawy Czytelniku, miłe wspomnienie przeszłości, ale błogiej przeszłości — to zaś wspomnienie, które na tej karcie tej książki zapiszę jest wspomnienie bolesne — wspomnienie okropnej doli; w Dziejach Ludu polskiego, zapisane krwią. Krwią tyłu ofiar pomordowanych w rękach rozszalonego — rozbestwionego — rozpojonego, z fałszywą machiawelską polityką obalamucanego chłopstwa... W roku 1846 — w drugiej połowie miesiąca lutego". W kronikach z tych czasów znajdujemy opisy ucieczek, szukania schronienia, morderstw.

Z pierwszą wojną światową społeczeństwo łączyło wielkie nadzieje. W parafiach wywołała wielkie poruszenie. Kronikarz parafii Raciechowice zauważa: „Wojna, zapal straszny, jedni płaczą, inni się cieszą nadzieją odbudowania Polski, ale wszystkich przenikała instynktownie groza wojny. Pierwsze wieści pomysłne, tworzą się legiony, zaciągają się w nie nawet chłopcy wiejscy; ofiarność na legiony również wielka”.

Ksiądz Jan Dihm, piszący kronikę z zamiłowaniem, superior domu Księży Misjonarzy w Krakowie przy kościele Matki Boskiej Lurdeńskiej pod datą 28 września 1914 roku notuje: „Był u nas przeor Kamedułów z Bielan. Wszystkich wydalono. Tam szańce i armaty. Drzewa, nawet owocowe wycięto i inne. Szkody dużo. Proszą o gościnę dla kilku starszych ojców. Czas okropny bo i deszcze i zimna ciągłe”. W kronice księdza J. Dihma znajdujemy też taką notatkę z dnia 6 sierpnia 1914 roku: „Był u nas Książe — Biskup Sapiaha, abyśmy pomagali w parafii w spowiedziach popisowych do wojska. Był z X. Prałatem dr Podwinem. Ogród im się podobał i owoce. Zaraz też poszedł słój z miodem i kosz z jabłkami, które miłe raczył Książe Biskup przyjąć”.

Po skończonej wojnie kronikarz parafii Myślenice zauważa: „Polska niepodległa. Chwila upragniona przez kilka pokoleń przyszła w tak ciężkich warunkach, że nie było prawie miejsca na wybuch radości. Kraj zniszczony, wygłodzony, pełen chorób, groźba rewolucji społecznej, męty rozmaite wypłynęły na

wierzch i dorwały się do władzy. Żywioły spokojne z przerażeniem czekają co losy przyniosą i tylko w Bogu ufność pokładają. Drożyzna okropna".

Przewrót majowy w roku 1926 znajduje taką ocenę u kronikarza z Myślenic: „W maju tegoż roku nastąpił w Warszawie przewrót tzw. majowy. Do władzy doszedł Józef Piłsudski i nastąpiła jego cicha dyktatura. Motywy tego kroku i skutki osądzi kiedyś historia. U obecnego pokolenia panują dwa sprzeczne poglądy. Jedni go potępiają, drudzy go chwalaą za jego krok — i odpowiednio do swych zapatrywań podsuwają mu pobudki wzniosłe lub niskie i samolubne".

Upadek Polski we wrześniu 1939 roku i losy narodu podczas II wojny światowej zajmują wyjątkowo dużo miejsca na kartkach kronik. Opisy zachowały się dobrze. Niedawne to jeszcze czasy.

Powyżej przedstawiłem wyjątki, okruchy kronik. Zapewne często stanowią interesującą lekturę, mówią o przeszłości i uczą. Wprowadzają w ojczyście dzieje. Może zachęcą do pisania?

V

Lektura kronik wykazuje, że niektórzy proboszczowie notowali współczesne im przejawy życia z własnej inicjatywy, wprost z potrzeby serca. W zdecydowanej jednak większości pisaniem kroniki zajmowali się dlatego, bo biskup to przypomniał albo po prostu nakazywał. W niektórych księgach wpisany jest do księgi w pełnym brzmieniu dekret biskupa lub wklejone są odpowiednie pisma Kurii.

Dziś niektórzy duszpasterze postulują urządzenie diecezjalnej czy ogólnopolskiej wystawy kronik parafialnych. Taka akcja niewątpliwie przyczyniłaby się do poprawy stanu kronik. Również na przeróżnych spotkaniach duchowieństwa powinna być przypomiana ta sprawa. Rzecz oczywista, że w seminarium duchownym na wykładach teologii pastoralnej należy obudzać i rozpalać u alumnów umiłowanie dziejów ojczyстых i chęć pisania kronik parafialnych.

Kronikę może pisać każdy ksiądz. Przecież nie ma

to być praca naukowa ani monografia, przy której trzeba zaglądać do dokumentów historycznych. Chodzi o wierne przedstawienie rzeczywistości. Kronikarz pisze o tym, co sam widzi. Niekiedy o tym, co usłyszał od innych lub co czytał. Przedstawia to, czym on i jego środowisko żyje. Kronikarz nie musi zajmować krytycznego stanowiska wobec opisywanych faktów. I choć nie pisze w celach naukowych, daje przekrój życia.

Dobrze to rozumiał ksiądz dr Andrzej Kościółek, dziekan i proboszcz parafii Myślenice. W roku 1930 napisał w kronice: „Gdy więc tak „fata tulere”, że lwia część kroniki ma pochodzić z mego pióra, chcę z góry zaznaczyć, że piszę prawdę, ale prawdę subiektywną, to jest co widziałem, słyszałem, co myślał ogół mnie otaczający, bez względu na to, czy się mylił lub nie. Uważam, że kronikarz nie jest historykiem, może napisać nieprawdę, ale nie wolno mu kłamać. Takim przykazaniem się kieruję i tak będę pisał”. I rzeczywiście z doskonałym nerwem kronikarskim przedstawił takie tematy jak rządy sanacji, władza starostów, podpory sanacji, policja, Żydzi, wyprawa Doboszyńskiego, kult Piłsudskiego, stosunek Marszałka do Kościoła Katolickiego, akcja katolicka, szkolnictwo ludowe, szkoły średnie, uniwersytety, armia, ubezpieczenie społeczne, ubezpieczenie na starość, zmniejszenie zadłużenia rolników, kodeks karny i przestępczość, kradzieże.

Również „Dziejopis miasta Żywca”, pisany przez wójta Komonieckiego na początku XVIII w. stanowi niezłą próbę przekazu ówczesnych zwyczajów, spraw gospodarczych, społecznych, duszpasterskich.

Kronika ma być prowadzona obiektywnie i metodycznie. Wówczas informuje i uczy czytelnika. Staje się wartościowym źródłem historycznym. Można z niej wiele dowiedzieć się o ludziach, diecezji, parafii, domu zakonnym. Taka kronika rodzi zainteresowanie dziejami parafii i opisywanej epoki. Budzi zamiłowanie do historii, podnosi czytelnika na duchu, niekiedy również bawi. Rodzi chęć, by i dziś opisać to, czego jesteśmy świadkami, co przeżywamy.

Budzi poczucie odpowiedzialności za naszą działal-

ność, bo przecież i o nas mogą napisać. Uczy pokory. Inni tak wiele zdziałali, tyle wysiłku włożyli w głoszenie Ewangelii. Czytając kronikę człowiek przeżywa niekiedy uczucie swej małości podobne do tego uczucia, które ogarnia go przy zwiedzaniu biblioteki. Oto patrzymy na dziesiątki grubych tomów Arystotelesa, Augustyna, Tomasza z Aquinu, Suareza, Toletusa, Bonawentury. Rzadko kto przeczyta to, co każdy z nich napisał.

VI

Jeśli kronika parafialna znajduje się w stanie szczątkowym, lub jej wcale nie ma, proboszcz powinien po prostu zacząć ją pisać. Na wizytacji kanonicznej kronika parafialna stanowi prawie zawsze ostatni punkt programu. Jednak nie może to wpływać na zmniejszenie znaczenia tej dziedziny działalności proboszcza czy wręcz wyeliminowanie jej z prac księży. Można mieć słuszne pretensje do wielu duszpasterzy z tego powodu, że np. w istniejącej ponad 300 lat parafii nie ma żadnych danych o przeszłości.

Problem polega na tym, że w parafii jest wprawdzie jakaś księga kronikarska, ale przez kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt lat nic do niej nie wpisano. Aktualny proboszcz też od dłuższego czasu prawie nic nie notował, nie czynił żadnych zapisków. W ten sposób do zaniedbań poprzedników dołącza nowe, swoje.

Wskazane jest, by zaczynając kronikę po dłuższej przerwie opisać choć krótko historię poprzednich lat. To zalecenie bywa często powodem dalszego zaniedbywania kronik. Przy dzisiejszym nawale zajęć proboszcz nie zawsze jest w stanie wygospodarować potrzebny czas. Dlatego ratując kroniki parafialne należy stanowczo i zdecydowanie zacząć od dziś, zostawiając odrabianie zaległości na później. Wystarczy skreślić chociaż kilka zdań. Opisać zdarzenia pierwszego notowanego dnia w sposób najprostsz. Taki zwykły opis może nam się dziś wydawać czymś bardzo nieciekawym, banalnym, a nawet niecelowym. Ale

z każdym rokiem ta notatka nabiera wartości i po stu czy trzystu latach może stanowić cenny przyczynek historyczny. Niezmiernie ważne jest to, by codziennie lub przynajmniej co kilka dni, wpisywać parę zdań. Doświadczenie wykazuje, że prowadzenie kroniki na bieżąco budzi u wielu zamiłowanie do tej pracy i chęć odrobienia zaległości.

Najlepszą więc metodą prowadzenia kroniki, jeszcze raz to trzeba podkreślić, jest codzienne wpisywanie do księgi wieczorem choć kilku zdań. Kto jednak dobrze zna pracę parafialną, ten wie, że proboszcz, choćby np. w czasie rekolekcji, musi pracować do późnej pory. Jest niekiedy tak zmęczony, że ledwie znajdzie czas na odmówienie wieczornej modlitwy. Dlatego w ośrodku duszpasterskim, gdzie proboszcz buduje np. kościół lub ma wyjątkowo dużo zajęć, a pracuje tam kilku lub kilkunastu duchownych, może przy ustalaniu pracy umówić się z jednym z księży, by ten prowadził kronikę. Niekiedy można tę sprawę zlecić siostrze zakonnej lub nawet osobie świeckiej, ale bardzo zżytej z parafią i mającej zrozumienie dla spraw Kościoła, jak również — duszpasterstwa. Jest to oczywiście rzecz indywidualna i osobista. Pisać powinna osoba mająca żyłkę kronikarską, posiadająca talent i zamiłowania historyka. W dużej parafii nie będzie trudno znaleźć taką osobę. Kronikę pisaną przez kogoś wyznaczonego, powinien proboszcz przeglądać, uzupełniać, może nawet autoryzować.

VII

Przeglądałem ponad sto kronik parafialnych. Oto niektóre praktyczne spostrzeżenia.

Przedewszystkim sprawę kroniki należy uważać za ważny obowiązek wobec Kościoła i Ojczyzny i włączyć ją do obowiązkowych, codziennych prac duszpasterskich. Trzeba wreszcie (może po długich latach) zająć się kronikami, a więc najpierw przeszukać strychy, również tzw. skarbce, oraz stare szafy, zakrystie, biblioteki, kancelarie. Może tam znajdzie się coś, co

należy do kronik. A jeśli się coś dawnego i zaniedbanego odszuka, należy pieczołowicie odświeżyć, odnowić, przyprowadzić do porządku.

Inna ważna uwaga. Kronikę trzeba odróżnić od ogłoszeń parafialnych. Niektórzy księża uważają, że prowadząc dobrze ogłoszenia parafialne, tym samym czynią zadość potrzebie pisania kroniki. Jest to nieporozumienie. Choć bowiem kronika i ogłoszenia są do siebie zbliżone, to jednak istnieje między nimi duża różnica. W ogłoszeniach jest mowa o przyszłości. Podaje się w nich plan działania, potem nawet nie zawsze zrealizowany. Kronika zaś mieści w sobie to, co już się stało. Ogłoszenia odnoszą się do pewnego tylko działu życia parafialnego, mianowicie do duszpasterstwa. Kronika posiada zakres o wiele szerszy. Można zatem mówić o zastąpieniu kroniki przez ogłoszenia parafialne w pewnym tylko stopniu.

Kroniki nie należy pisać na maszynie, bo już po 30 czy 50-ciu latach litery maszynopisu stają się wyblakłe. Pismo maszynowe nie jest trwałe. Oczywiście, trzeba również odrzucić długopis. Należy pisać rozcieńczonym tuszem.

Nie można używać do pisania kroniki zwykłego zeszytu. Powinna to być większa księga. Łatwo w niej o lepszą przejrzystość. Introligator powinien ją oprawić w skórę. Kronika parafii Podstolice w r. 1754 pięknie oprawiona w skórę, zachowała się do dzisiaj, choć już w przyniszczonym stanie. Należy postarać się o papier bezdrzewny. Księgę przechowywać w suchym miejscu.

W niektórych kronikach znajdują się marginesy z lewej i prawej strony. Tak powinno być we wszystkich, chodzi bowiem o miejsce na ewentualne dopiski.

Pisać należy w miarę możliwości czytelnie. Pismo niewyraźne zajmuje czytelnikowi dużo czasu, męczy go i zniechęca do czytania.

Rozpoczynający pisanie kroniki powinien się przedstawić czytelnikowi, a przynajmniej podać swe imię i nazwisko. W większości wypadków autorzy kronik nie są znani. Czasem ciekaw byłem kim był autor doskonałej partii kroniki, lecz próżne były me poszuki-

wania. Kronikarz podając swe nazwisko bierze odpowiedzialność za to co pisze.

Fotografie w kronice winny być podpisane. Wycinzków z gazet raczej nie umieszczać w księdze kroniki, lecz w osobnym jakimś albumie. Papier gazetowy po kilkudziesięciu latach żółknie i księga przedstawia nieestetyczny wygląd.

VIII

Jeden z kronikarzy zapisał w języku łacińskim takie słowa¹: „Przeglądając księgę zawierającą opisy wypadków godnych pamięci, która w aktach parafialnych się znajduje, często niezmiernie ubolewałem, że poprzednicy moi okazali się tak bardzo oszczędni w obowiązującym ich opisywaniu spraw, których byli świadkami. A jak przyjemnie byłoby wejrzeć w przeszłość i porównać ją z chwilą obecną; następnie wyciągnąć wniosek, czy i o ile u ludzi nastąpił dalszy rozwój kulturalny i etyczny, czy też przypadkiem nie nastąpił regres”.

Kroniki łączą przeszłość z teraźniejszością. Łączą też z przyszłością. Treść ich staje się również materiałem homiletycznym, duszpasterskim, ascetycznym, historycznym. Wierni z największym zainteresowaniem słuchają tego, co ongiś działo się w ich miejscowości, w ich parafii.

Różne mogą być motywy pisania kroniki. Bardzo istotnym powinien być ten — patriotyczny. Skoro tak mało zostało nam pomników, świadectw przeszłości, tym bardziej musimy cenić i dbać o te, które pozostały. Psychologia mówi, że nie ma miłości bez poznania. Poznawanie i znajomość historii Ojczyzny czy parafii stanowią potężny bodziec do jej miłości. Nie można jednak znać historii narodu lub ośrodka duszpasterskiego bez dowodów jego istnienia i życia.

¹ „Saepe, quum librum memorabilium, qui in actis parochialibus reperitur, percurrerem, magnopere dolui, quod antecessores mei in rebus, quarum participes erant, enarrandis, tam parci fuerant. Quam iucundum esset praeterita perscrutari, ea praesentibus temporibus comparare; deinde exquirere, progressive sint homines et quantum in cultura et humanitate, an forte se retraxerint:”

Może też być osobisty motyw kreślenia kronik.
Rzymski poeta pisze również:

„Exegi monumentum, aere perenius...”.
regalique situ pyramidum altius,

Rzeczywiście, wierszami swymi wystawił sobie pomnik
naprawdę trwalszy od spiżu. Trudno wprawdzie po-
równywać wiersze Horacego z kroniką parafialną. Nie-
mniej coś bardzo cennego pozostawia po sobie su-
mienny kronikarz.

WSPÓŁPRACA PROBOSZCZA Z GRUPĄ WIKARIUSZÓW

W społeczeństwach nowoczesnych urbanizacja postępuje szybko naprzód. Mało jest dziś parafii wielkomiejskich liczących, zgodnie z postulatami duszpasterskimi, 5 do 10 tysięcy mieszkańców. Coraz częściej natomiast spotykamy się z trudną sytuacją parafii-gigantów, obejmujących kilkadziesiąt tysięcy ochrzczonych. Parafie takie, oczywiście, obsługuje nie jeden czy dwóch, lecz kilku, a niekiedy nawet kilkunastu księży. By wysiłek ich przyniósł należyte wyniki, muszą stanowić doskonale zgrany zespół; praca duszpasterska w tych ośrodkach wymaga bardzo dokładnego uświadomienia sobie obowiązków, a zarazem sumiennego ich spełniania — zarówno ze strony proboszcza, jak i jego współpracowników.

Warto zastanowić się nad sylwetką proboszcza, stojącego na czele zespołu duszpasterzy.

I

Od proboszcza, podobnie zresztą jak od każdego przełożonego, zależy dużo. Stąd specjalne wymagania w odniesieniu do jego osoby. Ponieważ rola jest wyjątkowa, dlatego w miarę możliwości winien być jednostką wybitną pod względem ascetycznym, intelektualnym i duszpasterskim.

W działalności pasterskiej proboszcz, jako kierownik zespołu, musi sobie uświadomić dużą odpowiedzialność nie tylko za ambonę, konfesjonał, salkę katechetyczną, pracę charytatywną i inne akcje w ośrodku duszpasterskim, ale przede wszystkim — za kapłanów współpracowników. Gdyby nie miał poczucia odpo-

wiedzialności za nich, nie rozumiałyby dobrze swojego zadania. Proboszcz ma przewodniczyć; być pierwszym w pracy, ale równocześnie (a właściwie — przede wszystkim) myśleć o całości. To stanowi szczególny przymiot jego osoby i urzędu.

Z poczucia odpowiedzialności za całość rodzi się konieczność przewodniczenia i prowadzenia zespołu. Wśród dziesiątków tysięcy ludzi proboszcz sam, choć uzdolniony, niewiele może zdziałać w duszpasterstwie. Ale z grupą harmonijnie pracującą, odpowiednio ustawioną, ożywioną jednym planem — może dokonać wiele. Dlatego umiejętność kierowania innymi to jeden z pierwszych przymiotów proboszcza. Bo nawet na ambonie, czy w innym, mniej eksponowanym dziale pracy może go ktoś zastąpić. Natomiast prowadzenie całości, często bardzo trudne, należy specjalnie do obowiązków proboszcza. Winien zespolic wysiłki grupy w najistotniejszych, najbardziej zagrożonych dziedzinach.

Mając stale przed oczami całość, chcąc tę całość cementować, dobrze jest najpierw trzymać się tej metody, by do konfratrów podchodzić z pogodą i uśmiechem. Szeroko otwarte serce i pogodne oblicze to styl życia Jana XXIII i wielu mu podobnych. Warto przy tym podkreślać to co łączy, a nie co dzieli. Trzeba stosować swoisty ekumenizm na co dzień, pomiędzy najbliższymi. Proboszcz powinien zawsze starać się dojrzeć pracę konfratra, ocenić ją, wyrazić swe uznanie, a broń Boże, nie mrozić. Cieszyć się z sukcesów współpracownika, smucić się z nim, gdy coś nie wychodzi. Nadto u wszystkich, nawet u starszych, można wiele zyskać oddziałując na ambicję. Wielki to też przymiot, by umieć wykorzystać zapał młodego kapłana, jego energię, siły fizyczne. Siły i przedsiębiorczość młodych mogą dokonać wiele dobrego. Proboszcz musi umiejętnie skierować do właściwego celu tę energię. Ale nie jest to proste.

Idąc drogą dobroci, proboszcz ma się stać nauczycielem, pod którego okiem dojrzewają talenty młodych kapłanów. Winien rozwijać i wykorzystywać dla dobra Ewangelii zdolności kaznodziejskie czy pedagogiczne współpracowników. Ludzie będą chwalić wika-

rych jako dobrych kaznodziejów czy duszpasterzy młodzieżowych, ale ocenią należycie także i talent organizatorski proboszcza.

Seminarium prowadzi alumna przez sześć czy siedem lat. Proboszczowie kontynuują pracę rektora i wychowawców seminaryjnych przez dłuższy okres. Ambicją proboszcza, dobrze rozumiejącego swe obowiązki, będzie wychowanie i oddanie diecezji jak najwięcej odpowiednich kandydatów na proboszczów, którzy będą potem jego przyjaciółmi i następcami, pójdą w życie pamiętając styl pracy swego kierownika i wychowawcy.

Uświadomiwszy sobie specjalną odpowiedzialność za całość pracy duszpasterskiej w parafii, proboszcz musi znaleźć czas dla wikariuszów, katechetów i innych współpracowników. Dlatego powinien nieraz wyrzec się rozrywek, na które może jego domownicy wygospodarują więcej czasu. Trzeba zostawić na boku dobry film, teatr, towarzyskie spotkanie, wycieczkę, brydża, a nawet pracę naukową. Duszpasterz kierujący parafią musi zrezygnować z wielu osobistych ambicji, aspiracji, planów. Zapewne nie starczy mu czasu na wydanie tomu kazań lub napisanie pracy. Tylko wybitnie uzdolnieni mogą bardzo aktywnie angażować się w duszpasterstwo i równocześnie pracować naukowo.

II

A oto pewne prace — konieczne dla aktywnego i skutecznego przewodniczenia zespołowi duszpasterskiemu.

Przeciętnie raz w tygodniu, w dogodnej dla zainteresowanych porze, powinno się urządzać zebrania wszystkich pracujących w duszpasterstwie. Przełożony z zasady nie zwalnia z takiego zebrania. Urządza się je w licznych parafiach różnych diecezji, bo życie tego wymaga. Z początku współpracownicy trochę narzekają, ale po kilku udanych zebraniach chętnie na nie przychodzą, a nawet sami się ich domagają.

Na zebraniu odczytuje się przeróżne komunikaty Kurii, instrukcje i wyjaśnienia. Pracujący w duszpas-

terstwie zapoznają się z najnowszą myślą duszpaster-
ską Ojca św., Episkopatu, Ordynariusza. W drugim
punkcie zebrania można wygłosić referat na temat
aktualnego zagadnienia w danej parafii. Potem pro-
boszcz przekazuje spostrzeżenia z terenu pracy para-
fialnej. Różne niedociągnięcia jak również udane akcje
notował sobie w ciągu tygodnia w pamięci lub na
kartce. Teraz dzieli się uwagami, przypomina, zachę-
ca, instruuje, dodaje zapału. I wreszcie dyskusja oraz
wolne wnioski. Dyskusja ciągnie się nieraz dość dłu-
go, ale nikt na to nie narzeka, bo odnosi się ona do
problemów aktualnie przeżywanych. Dyskusja taka
bardzo wiele wyjaśnia, harmonizuje pracę zespołu,
ułatwia wykonywanie codziennych obowiązków. „Drę-
twa mowa” nie wchodzi absolutnie w grę, bo wszyst-
kie zagadnienia brane są tu bezpośrednio z życia
i omawiane na gorąco i szczerze.

Podczas takiego cotygodniowego spotkania na war-
sztacie dyskusyjnym z reguły winno znaleźć się klu-
czowe zagadnienie naszego duszpasterstwa, a więc
sprawa katechizacji. Poza tym skuteczność kazań
i konfesjonału, praca charytatywna i wzajemne współ-
życie. Omówić należy oczywiście i akcje duszpaster-
skie, aktualne tylko w danym okresie, jakimi są np.
odwiedziny kolędowe, I Komunia, bierzmowanie, pro-
cesja Bożego Ciała itp. Tu podejmuje się decyzje.
Wszyscy wiedzą, o co chodzi, wpływają na plan pra-
cy i określają go, konkretyzują. Chętniej będą wpro-
wadzać go w czyn. Nie powiedzą: wymyślił to pro-
boszcz, niech sobie realizuje. Nie będą twierdzić, że
plan i wnioski nierealne, bo przecież sami je uchwa-
lili. Podczas cotygodniowych spotkań księża przedys-
kutują dziesiątki przeróżnych drobnych szczegółów,
mających swą specjalną wagę tylko w danym ośrodku.
Te szczegółiki duszpasterskie składają się na uporząd-
kowaną całość akcji kapłańskiej.

Innym czynnikiem ułatwiającym proboszczowi i je-
go współpracownikom pracę parafialną są regu-
larne spotkania przy posiłku. Cały zespół powinien
okazać dużo dobrej woli, by przyjść na wspólny obiad
czy kolację. Zaistnieją tu przeróżne trudności, ale przy
pozytywnym nastawieniu wszystkich da się je na pew-

no usunąć. Gospodarz plebanii powinien by tę sprawę stawiać zdecydowanie, bo korzyści stąd ogromne. Pomijając już to, że wszyscy zjedzą ciepły posiłek i ułatwią pracę w kuchni, księża znowu mogą omówić na żywo najnowsze sprawy swego ośrodka. Parafia wielkowiejska bez przerwy ukazuje szeroki wachlarz ludzkich spraw: w kancelarii parafialnej, w duszpasterstwie młodzieży i dzieci, chorych itp.

Wspólne spotkanie przy stole może stanowić okazję do załagodzenia i usunięcia ewentualnych zadrażnień i nieporozumień. Zazwyczaj przy posiłku nastrój ludzi się poprawia i wtedy może proboszcz lub wikary wyjaśnić, dlaczego np. przy rannej rozmowie żywiej zareagował. Łatwo w dobrym nastroju uśmiechnąć się, rzec przyjazne słowo, wyjaśnić swe stanowisko, okazać dobrą wolę.

Proboszcz przewodniczący grupie 5—10 księży podobny jest do kapitana statku. Kapitan w pierwszym rzędzie odpowiada za jego kurs. Z natury rzeczy wynika więc, że musi wydawać polecenia i niekiedy zwrócić trafną, fachową uwagę współpracownikom na ich niedociągnięcia, zaniedbania lub braki. Wchodzić tu mogą w grę problemy duszpasterskie, sprawy ogólnej karności kościelnej, porządku na plebanii. Proboszcz musi zdobyć się na zwrócenie uwagi. Gdy chodzi o pracę, to liczni proboszczowie wolą sami pracować, niż uczyć pracy swych wikariuszów. Ale tą drogą można ostatecznie iść tylko tam, gdzie jest jeden wikariusz, a nie cały zespół. W dużej grupie proboszcz winien zwracać uwagę, gdyż sam nie jest w stanie pracować za dziesięciu.

Oczywiście, zwrócenie uwagi powinno mieć charakter braterskiej, koleżeńskiej rozmowy, serdecznej pogadanki. Nie zaczynać jej z wikarym, gdy jest zmęczony, lecz gdy ma humor i jest wypoczęty. Należy to czynić na samym początku niedomagań, w myśl zasady: *principiis obsta*.

Podejmując się trudu, a niekiedy ryzyka zwracania uwagi, proboszcz czyni wszystko, by jemu samemu, jako duszpasterzowi, nie można było nic zarzucić. Dlatego rozplanowuje bardzo dokładnie pracę. Na kilka miesięcy przed terminem ustala poszczególne serie re-

kolekcji i triduów. Plany niedzielnych kazań lub innych przemówień wywiesza na domowej tablicy ogłoszeń kilka tygodni naprzód, bo przecież do przemówienia trzeba się dobrze przygotować. Również ogłoszenia parafialne ma gotowe najpóźniej w sobotę. Nie może zaistnieć taka sytuacja, że proboszcz od ołtarza posyła wikariuszowi na ambonę karteczkę z jakimś ogłoszeniem. Dokładnie również układa plan odwiedzania chorych, udzielania chrztów i ślubów, prowadzenia pogrzebów. Każdy musi wiedzieć, co, kiedy i jak robić. Jednym słowem, przełożony parafii jest w pierwszym rzędzie odpowiedzialny za planowanie funkcji duszpasterskich jak również za ich wykonanie. Musi je, oczywiście, sprawiedliwie rozdzielić.

Biorąc pod uwagę sprawiedliwość przy podziale pracy, proboszcz oprócz kazań i innych funkcji powinien być w miarę możliwości również katechizować, szczególnie wtedy, gdy jest jeszcze młody. Oczywiście, że wyjątkowe obowiązki nie pozwolą mu na większą ilość godzin, niemniej powinien przyjąć choć kilka. Zwalnia go od tego podeszły wiek lub słabe zdrowie. W żadnym jednak wypadku nie może się uchylać od częstego wizytowania ośrodka katechetycznego, współpracy z nim i najściślejszej łączności. Podczas nabożeństw i rekolekcji dyżuruje jak inni przy młodzieży.

Dbając o sprawy duszpasterskie, proboszcz wciąż pamięta o rozwijaniu więzi rodzinnej w swej wspólnocie. Pragnąc wytworzyć i utrzymać nastrój rodzinny, odwiedza księży po sąsiedzku, zaprasza do siebie szczególnie z okazji imienin, świąt itp. Kapłana np. nie posiadającego telewizora należałoby do siebie zaprosić na wartościowy, atrakcyjny program lub samemu delikatnie się wprosić, gdy konfrater ma telewizor. Współpracownik najbardziej zapamięta dobre serce okazane w chorobie lub w nieszczęściu.

Sprawy bytowe — źle ustawione — w każdej społeczności, w rodzinie czy państwie, stanowią źródło konfliktów. Dlatego proboszcz musi zatroszczyć się o to, by plebania czy mieszkania księży nie były zawilgocone lub zaniedbane. Oczywiście, również sprawa zdrowych i dobrze przyrządzonych posiłków też należy do istotnych obowiązków proboszcza.

Atmosfera rodzinna panująca na plebanii wpłynie na to, że kapłani należący do zespołu zawsze będą mówić o sobie dobrze przed ludźmi. Owszem, gdy zajdzie potrzeba, wytłumaczą potknięcia konfratra. Wierni byliby zgorszeni, gdyby było inaczej. Przykład miłości bliźniego trzeba zacząć od siebie, od plebanii.

W specjalnym poszanowaniu u kierownika kapłańskiego zespołu winien być autorytet biskupa. Trudno żądać, by pomocnicy słuchali proboszcza, jeśliby on sam wyrażał się o swej władzy bez należytego szacunku.

W powyższych uwagach starałem się nakreślić sylwetkę proboszcza przewodniczącego grupie swych współpracowników. Zdecydowanie żądając od proboszcza dobrego spełniania kierowniczych i ojcowskich obowiązków, rzecz oczywista, należy również jasno przypomnieć obowiązki jego podwładnych. Wikariusz, który dzisiaj jest trudny dla proboszcza, gdy sam zostanie proboszczem, będzie ciężki dla wikariuszów. Współpraca wikariusza z proboszczem i innymi księżmi stanowi przedmiot osobnego rozważania. Jest ono tym bardziej potrzebne, że konflikt pokoleń występuje również między duchownymi.

KSIĄDZ DZIEKAN PEŁNI SWE FUNKCJE

KONIECZNOŚĆ WSPÓŁPRACY KSIĘŻY DEKANALNYCH

Ludzie należący do różnych grup społecznych i zawodowych powinni odznaczać się umiejętnością wzajemnej współpracy. Odnosi się to również do kapłanów. Tworzą oni przeróżne zespoły, jak np. kurialiści, profesorowie seminariów, proboszczowie z grupą wikariuszów, kapłani danego domu zakonnego, grupa rekolekcyjna, księża diecezjalni i zakonni pracujący w tej samej parafii lub wreszcie księża kondekanalni.

W niniejszym rozważaniu pragnę się zastanowić nad współpracą tego ostatniego zespołu. Przede wszystkim chciałbym nakreślić sylwetkę kapłana, który zespołowi przewodniczy i od którego bardzo zależą wyniki współpracy. Jest nim ksiądz dziekan. Jego pozycję prawną określa Kodeks Prawa Kanonicznego (kan. 445—450) jak również prawodawstwo kościelne po II Soborze Watykańskim. Chodzi tu przede wszystkim o motu proprio „Ecclesiae Sanctae” z sierpnia 1966 r. Warto przy tym podkreślić, że prawodawstwo posoborowe, dowartościowując dziekana, pragnie w nim widzieć przede wszystkim duszpasterza, który umiejętnie organizuje i kieruje współpracą podległych sobie kapłanów. W ten sposób mobilizuje ich i inspiruje do głoszenia Ewangelii w duchu współczesnym.

Pragnę wziąć pod uwagę te przepisy dawnego i obecnego prawa kościelnego, które dziś są najaktualniejsze i do których realizacji dziekan jest szczególnie zobowiązany. One też nastroczają najwięcej trudności i dlatego wymagają wielkiego zaangażowania i uwagi. Patrząc przy tym na dziekana z płaszczyzny duszpasterkiej, praktycznie i konkretnie radzącego sobie w poszczególnych sytuacjach. Zwracam między innymi

uwagę na następujące obowiązki dziekana: uczestniczenie w diecezjalnym zebraniu dziekanów i wicedziekanów, prowadzenie konferencji dekanalnej, wizytowanie, pełnienie roli opiekuna i doradcy swych księży, a także troska, by podległy dekanat stanowił dobrą stację przekąźnikową w głoszeniu Ewangelii.

DZIEKAN UCZESTNICZY W DIECEZJALNYM ZEBRANIU DZIEKANÓW I WICEDZIEKANÓW

Mówiąc o współpracy księży kondekanalnych, trzeba stwierdzić, że często dawne struktury i formy organizacyjne duszpasterstwa również i dziś zdają dobrze egzamin. Należy jednak przekazać przez nie nową, ożywczą i dynamiczną treść. Taką formą, która zdaje egzamin, może być dotychczasowa praca dekanatu, m. in. diecezjalne zebrania księży dziekanów i wicedziekanów oraz konferencje dekanalne.

Aby skutecznie przekazać księżom kondekanalnym materiał omówiony na zebraniu dziekanów i wicedziekanów, odbywającym się zazwyczaj w Kurii, dziekan sam powinien w nim regularnie i uważnie uczestniczyć, by jego treść dobrze odebrać. Trudno to sobie wyobrazić bez skrzętnego notowania. Niech więc tak ustawi swe zajęcia, by na to zebranie nie przychodził zmęczony. W razie niemożności wzięcia osobistego udziału, zawiadamia o tym wicedziekana, polecając, by ten opracował sumienną i treściwą relację z zebrania w Kurii.

Na spotkaniu księży dziekanów i wicedziekanów ordynariusz występuje zazwyczaj z biskupami współpracownikami oraz swymi referentami i specjalistami od różnych zagadnień. Zarząd diecezji, że się tak wyrażę „sztab", przekazuje najpierw dziekanom wszystkie uchwały, spostrzeżenia i sugestie z Konferencji Episkopatu. Zarządzający diecezją mówią też o różnych zagadnieniach aktualnych na własnym terenie. Ale wszystkiego nie da się szczegółowo omówić. Stąd księża dziekani otrzymują różne „pro memoria", odnoszące się do spraw Kościoła w świecie i diecezji, dotyczące spraw liturgicznych, katechetycznych, cha-

rytatywnych, seminarium diecezjalnego, spraw finansowych, administracyjnych, organizacyjnych itp. Współpraca dziekana ze swymi konfratrami polegać będzie również na tym, by wszystkie te „pro memoria” polecił przepisać na maszynie, a potem rozdał księżom na zebraniu, zobowiązując ich do zaznajomienia się z doręczonym materiałem.

Dziekan na zebraniu kurialnym nie tylko słucha sprawozdań i instrukcji biskupów oraz referentów. Byłoby to za mało. Bierze również żywy udział w dyskusji, bez której zebranie pozbawione jest życia. Ponieważ reprezentuje teren, jest duszpasterzem praktykiem, dlatego wnosi swe spostrzeżenia, korygując zbyt teoretyczne niekiedy ujęcia referatów. Przez niego przemawia doświadczenie, stanowiące istotny i konieczny element wszelkiego planowania duszpasterskiego i skutecznej realizacji zamierzeń.

Oprócz diecezjalnych zebrań księży dziekanów i wicedziekanów odbywają się czasem bardziej partykularne zebrania tych księży, a więc jednego dużego ośrodka duszpasterskiego, np. wielkiego miasta. Przedmiot referatu i dyskusji stanowią wtedy problemy duszpasterstwa wielkomiejskiego, m. in. współpraca sąsiadujących ze sobą parafii w dziedzinie katechizacji, określenie jednakowych norm postępowania w kancelarii parafialnej (sprawa rodziców chrzestnych, świadków przy ślubach), koordynacja duszpasterstwa rodzin, jak również współpraca kościołów parafialnych z filialnymi, prowadzonymi najczęściej przez zakony. By powyższe zagadnienia lepiej naświetlić i normy postępowania ustalić, warto np. dwa razy w roku zgromadzić wszystkich duszpasterzy wielkiego miasta.

Nadto ordynariusz zarządza niekiedy zebranie księży kilku dekanatów w celu rozpoczęcia lub pogłębienia jakiejś akcji duszpasterskiej, np. wprowadzenia nowej liturgii. Takie spotkania niektórzy nazywają konferencjami rejonowymi.

Wreszcie, w pewnych diecezjach ordynariusz w trosce o dobrą pracę dekanatu poleca, by mniej więcej co miesiąc dziekan, wicedziekan i notariusz, ewentualnie jeszcze dwu innych księży, zbierali się na swych specjalnych zebraniach. Dobre wyniki wszystkich tych

spotkań w dużym stopniu zależą od osobistego zaangażowania się, od gorliwości i doświadczenia księży dziekanów.

DZIEKAN PROWADZI KONFERENCJĘ DEKANALNĄ

Inną ważną pracą, przez którą dziekan pełni swe typowe funkcje, jest przewodniczenie konferencji dekanalnej. Rzecz oczywista, że samo „odfajkowanie” konferencji nie wystarczy. Zebrania muszą być dobrze przygotowane i interesująco prowadzone, pełne fachowego zaangażowania wszystkich uczestników. Zwłaszcza na poziomie winno być kierownictwo dekanatów. Powinni nimi być księża stanowiący wzór umiejętności duszpasterskich, lubiani przez zespół, komunikatywni, posiadający autorytet. Ważnym przymiotem będzie fachowe prowadzenie zebrań, sztuka kierowania i przewodniczenia, talent organizatorski, umiejętność dialogu.

Konferencje dekanalne odbywają się zazwyczaj co kwartał. Księża już się do nich przyzwyczaili, żyli się z nimi, a nawet je polubili. Weszło im w krew, że cztery razy w roku biorą udział w spotkaniu duszpasterskim pod przewodnictwem dziekana. Do tych czterech zebrań należałoby jeszcze dołączyć co najmniej dwa, szczególnie, gdy warunki komunikacyjne są dogodne. Te dodatkowe zebrania są potrzebne dlatego, gdyż życie płynie coraz szybciej, problemy narastają, Konferencje Episkopatu przekazują wciąż nowe materiały.

W programie powyższych spotkań winna mieć miejsce krótka pogadanka lub konferencja duchowna. Zmierza ona do pogłębienia równowagi duchowej zebranych, do pomnożenia wiary, gorliwości i ufności w Boga. Niektóre ośrodki organizują koncelebrę albo urządają adorację Najświętszego Sakramentu. W pewnych dekanatach ksiądz dziekan ogłasza w niedzielę, że w danym dniu tygodnia będzie w kościele nabożeństwo z okazji konferencji dekanalnej. Warto zaprosić wiernych na to nabożeństwo, polecić obrady ich modlitwom, zapoznać z tematyką zebrania. Niech zaznajo-

mią się i z tym odcinkiem pracy księży. Niech, realizując wspaniałą ideę laikatu, poznają trudności Kościoła i pomagają w ich usuwaniu.

Z referatem na konferencję dekanalną należy zaprosić dobrego prelegenta, doskonale znającego jakieś zagadnienie teologiczne lub duszpasterskie i umiejącego zebranych zainteresować, czegoś nowego nauczyć, łatwo zapoznać ze swą ideą. Warto również poprosić świeckich, mężczyznę lub kobietę, jako specjalistów od różnych zagadnień, np. duszpasterstwa rodzin. Głównym jednak punktem programu konferencji dekanalnej będzie referat dziekana, w którym znajdą się wszystkie zagadnienia omawiane przez kilka godzin w Kurii, na zebraniu księży dziekanów i wicedziekanów.

Po wystąpieniu prelegenta powinni zabrać głos referenci dekanalni, a więc referent liturgiczny, duszpasterstwa rodzin, charytatywny, do spraw trzeźwości, i inni. Zawsze dużo będzie miał do powiedzenia dekanalny wizytator religii, członek rady kapłańskiej lub duszpasterskiej. Wymienieni kapłani specjalizują się w swych zagadnieniach, biorą udział w odpowiednich zjazdach i są zobowiązani dzielić się z konfratrami swą fachową wiedzą i nowoczesnym naświetleniem zagadnień duszpasterskich.

Po wypowiedziach referentów na zebraniu dekanalnym prawie zawsze następuje ożywiona, czasem żarliwa dyskusja. Gdyby jej nie było, świadczyłoby to o marazmie duszpasterskim dekanatu. Bo czyż nie wywołują pasjonującej wymiany zdań przeróżne szczegóły odnawianej liturgii, a więcej jeszcze problematyka współczesnej rodziny, realizacja programu dwóch godzin religii tygodniowo, katechizacja młodzieży szkół średnich i pracującej oraz wiele innych? Prawie każda parafia posiada swe odrębne uwarunkowania socjologiczne, moralne, gospodarcze czy duszpasterskie. Dlatego problemy omówione na zjeździe ogólnopolskim lub diecezjalnym muszą być przeniesione w konkretne warunki danego dekanatu czy parafii. Nic więc dziwnego, że taka dyskusja trwa nieraz bardzo długo.

Na konferencjach dekanalnych duszpasterze powinni się również porozumiewać między sobą w celu nawiązania współpracy. W danej parafii np. wypadły

świetnie głoszone niedawno rekolekcje młodzieżowe, w innej zaś kazania pasyjne. Ktoś zorganizował należycie poradnictwo rodzinne lub pracę charytatywną. Mogą sobie zatem wzajemnie zaoferować pomoc, służyć radą, wymieniać doświadczenia. Z kazaniem można dość łatwo dojeżdżać, komunikacja bowiem jest na ogół możliwa, a wierni skorzystają, gdy zjawi się na ambonie ktoś nowy.

Cennym przymiotem zebrania dekanalnego będzie jego punktualne rozpoczęcie i zakończenie. Czas nasz i naszych bliźnich ma wielką wartość. Doceniani są ludzie, potrafiący tak prowadzić zebrania, by kończyć je o oznaczonej godzinie. Pracowitą konferencję dekanalną warto zakończyć pogwarką w miłym nastroju przy podwieczorku lub innym posiłku. Znajdzie się tam czas i na dobre dowcipy. Księża zazwyczaj spieszą się do swych parafii, skarżą się na brak czasu. Punktualne zakończenie konferencji pozwoli im spełnić życzenie gospodarza i pozostać choć na chwilę.

Zebranie dekanalne dobrze przygotowane i interesująco prowadzone, może i powinno spełniać ważną rolę we współpracy księży kondekanalnych.

DZIEKAN WIZYTUJE PARAFIE DEKANATU

Dziekan przewodniczy swemu zespołowi również przez wizytacje parafii. Najdogodniejszy okres do ich przeprowadzania stanowi jesień i początek zimy, zwłaszcza od końca września do połowy grudnia. W innym czasie zarówno dziekan, który u nas prawie zawsze jest proboszczem, jak i jego kondekanalni konfratry są bardzo zajęci. Biorąc bowiem pod uwagę szczególnie większe parafie, gdzie pracuje kilku księży, na początku września trzeba się podjąć ciężkiego trudu zorganizowania katechetycznego nauczania. Druga połowa grudnia to okres przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia, a potem same święta i odwiedziny koleżeńskie. W przedpościu głęboki oddech przed harówką wielkopostną. W parafiach dużych, lecz mających, jak to się niejednokrotnie zdarza, mały kościół, trzeba urządzać nawet ponad 10 serii różnych rekolekcji, by

wiernych należycie obsłużyć. Potem liturgia Wielkiego Tygodnia i święta wielkanocne. Znowu głęboki oddech i zaraz następują uroczystości I Komunii świętej, bierzmowanie, przygotowania do procesji Bożego Ciała, zakończenie roku dla przeróżnych grup młodzieżowych i przygotowanie parafian do życia religijnego na wakacjach. Najlepszą więc porą do wizytacji jest jesień.

Wizytację trzeba księdzu proboszczowi zapowiedzieć, by się do niej dobrze przygotował. Obecna sytuacja katolicyzmu w Polsce sprawiła, że wizytacje biskupów są coraz dłuższe i dokładniejsze. Stanowią one prawdziwe przyjscie pasterza do ludu. Również i wizytacja dziekańska staje się mobilizującym czynnikiem dla duszpasterstwa danego okręgu. Rzecz jasna, że istnieje zasadnicza różnica między wizytacją biskupa a dziekana. Kodeks nakazuje wprowadzić, by biskup wizytował parafię co pięć lat, ale z powodu przeróżnych dodatkowych prac biskupów w praktyce nie odbywa się ona tak często. Dziekan natomiast wizytuje regularnie przynajmniej raz w roku swój okręg. Biskup podczas wizytacji spotyka się ze wszystkimi grupami wiernych. Dziekan zasadniczo wizytuje tylko księży danej parafii. Jest więc w korzystniejszej sytuacji. Dysponując większą ilością czasu, może podczas wizytacji porozmawiać z księżmi spokojnie, bez pośpiechu, po koleżeńsku, po ojcowsku.

Rzecz oczywista, że wizytujący dziekan musi być wymagający. Jego wizytacja nie może ograniczać się do szybkiego podpisania ksiąg parafialnych i towarzyskiego wypicia kawy. Chcieć i umieć wymagać — to wielki przymiot przełożonego. Warto też dodać, że dziekan nie będąc skrepowany programem wizytacyjnym w tej mierze co biskup, może wiele kwestii duszpasterskich i gospodarczych dokładniej przeanalizować. Stanowią one istotny i właściwy cel jego wizytacji. A oto niektóre z nich.

Kancelaria parafialna, szczególnie w wielkich miastach, nastęrcza duchownym coraz więcej trudności. Wierni często przychodzą do kancelarii już zniecierpliwieni, obarczeni różnymi troskami. Nie bardzo przy tym rozumieją pracę kapłana. Czasem są to ci, którzy

spotykają się z nim raz na kilka czy kilkanaście lat. Duszpasterz w kancelarii parafialnej musi mieć w ręku prawo kanoniczne i przepisy diecezjalne. Ale równocześnie winien mieć dobre, współczujące, ludzkie serce. Zainteresowanym z największą cierpliwością tłumaczy, by się przepisom kościelnym podporządkowali, bo mają one na celu dobro całości.

Udając się do kancelarii dziekan sumiennie skontroluje czy księgi kancelaryjne są dokładnie i skrupulatnie prowadzone, czy pracujący w kancelarii zna odnośne przepisy kościelne. Ileż to po latach wyłania się kłopotów z powodu niedokładnych wpisów do ksiąg ochrzczonych lub do księgi ślubów. Niektórzy dziekani z największą dokładnością, poświęcając temu wiele czasu, przeglądają m. in. protokoły przedślubne.

Katechizacja stanowi fundament naszego duszpasterstwa. Nic też dziwnego, że dziekan zaznajamia się dokładnie z jej stanem. Uczący religii są wdzięczni, gdy dziekan zjawi się na lekcjach katechizacji, gdy z księżmi lub katechetkami podyskutuje o trudnościach w pracy wśród dzieci i młodzieży. Obowiązkiem sumienia są tu szczerze wypowiedzi w sprawie frekwencji i innych trudności w wychowaniu młodego pokolenia. Nie może tu być szkodliwego koloryzowania i ukrywania smutnej często prawdy. Zapewne i ministranci ucieszyliby się z poznania swego dziekana.

Współczesne duszpasterstwo rodzin, wychodzące skutecznie naprzeciw potrzebom i trudnościom dzisiejszej rodziny — to osiągnięcie ostatnich lat w naszej pracy parafialnej. Dziekan interesujący się tymi zagadnieniami w parafiach swego dekanatu może koordynować pracę poradnictwa rodzinnego, okazując w ten sposób cenną pomoc swym konfratom.

Kapłanom głoszącym Ewangelię sprawy administracyjno-gospodarcze nie mogą być obce. Owszem, są one ze sprawami duszpasterskimi nieodłącznie związane, a księżom zajmują sporo czasu. Ponieważ zaś o tych sprawach stosunkowo mało się mówi i pisze, uważam za stosowne poświęcić im nieco więcej uwagi.

Dziekana może tu najpierw interesować kwestia zabezpieczenia budynków sakralnych przed kradzieżą. Choć złodzieje przychodzą na szczęście dość rzadko,

to jednak budynki należy dobrze zabezpieczyć przed wiamaniami. O ile zdarzają się wypadki zbezczeszczenia Najświętszego Sakramentu, to najczęściej z powodu zostawienia kluczyka od tabernakulum w zakrystii. Należy zwrócić uwagę na to zaniedbanie. Proboszcz ma też obowiązek założenia krat lub odpowiednich okiennic w pomieszczeniach, w których okna znajdują się nisko. Ostatnio coraz bardziej rozszerza się u nas specjalny rodzaj złodziejstwa, mianowicie kradzież sakralnych dzieł sztuki. W porównaniu z innymi narodami jesteśmy w nie ubodzy. Stąd specjalna czujność jest bardzo ważna.

Dziekan kontroluje dalej, jak przedstawia się konserwacja budynków sakralnych, a więc kościoła, kaplic, salek katechetycznych i plebanii. Zagląda też do mieszkań sióstr, organisty, kościelnego, grabarza, o ile te mieszkania stanowią własność kościelną. Zainteresuje się również sprawą cmentarza. Dziekan nie może dopuścić do karygodnego niszczenia budynków. Dobry gospodarz wie, że co roku trzeba coś poprawić, stale bronić przed zawilgoceniem. Budynki długo nie konserwowane popadają w ruinę, świadczą o niedbalstwie. Wierni są tym zgorszeni a nawet oburzeni, bo na nich spadną zwiększone koszty remontów. Z drugiej strony parafianie umieją dostrzec i pozytywnie ocenić porządek w kościele i na plebanii. Wikarzy też nieraz słusznie narzekają na marne warunki mieszkaniowe. Będą lepiej pracować, mając odpowiednie mieszkania. W wypadku poważnego nadniszczenia budynków następca ma szczególnie wiele kłopotów. Jeszcze trudniejsza jest sytuacja, gdy duszpasterz musi zajmować się nadto gruntem plebańskim.

Dlatego dziekan, jako wysłannik biskupa, zwraca proboszczowi uwagę na ewentualne zaniedbania lub niedociągnięcia administracyjno-gospodarcze. Gdyby przez kilka lat nie widział zmiany na lepsze, winien złożyć wnioszek o przeniesienie na inne stanowisko kapłana, mającego słabe pojęcie o sprawach codziennej gospodarności, a mogącego przecież na innej placówce bardzo dobrze pracować. Podczas wizytacji warto zasugerować unowocześnienie plebanii czy przebudowę innych obiektów. Obowiązkiem administratora

parafii jest także dbałość o kapliczki, figury i krzyże przydrożne, znajdujące się na jego terenie.

Innym ważnym punktem wizytacji będą sprawy należytego wynagradzania pracowników parafii. Dziekan sprawdza m. in. książeczki ubezpieczeniowe i podpisy pobranych pensji. Przepisy kościelne są tu całkiem jasne. Ale w różnych parafiach różnie te sprawy się przedstawiają. Powstają niekiedy pewne zaniedbania.

Dlatego dziekan musi być tu twardy, nieugięty i nieustępliwy. Pensje muszą być nie tylko regularnie wypłacane, lecz również odpowiednio wysokie. Sprawiedliwość społeczną zaczynamy od plebanii. Tymczasem pracownicy parafii nie zawsze otrzymują należne im wynagrodzenie. By jednak proboszcz miał z czego płacić, winien wiernych delikatnie wychowywać do ofiarności.

Wiemy również, że sprawy finansowe stanowią czasem punkt zapalny między administratorem parafii a wikarym. Dziekan, znając dobrze warunki lokalne, powinien wystąpić jako mediator w przypadku nieporozumień i wzajemnych zarzutów. Obiektywne spojrzenie na tę sprawę pozwoli niekiedy stwierdzić, że wikarzy, zwłaszcza o dłuższym już stażu, nie obarczeni troską o utrzymanie domowników i nie mając licznych obciążeń gospodarczych, niejednokrotnie znajdują się w porównaniu z proboszczem w lepszej sytuacji finansowej.

Dziekan przegląda również liber stypendiorum. Przypomina, by nie gromadzić wielkiej ilości stypendiów mszalnych. Dowiadują się o nich następcy zmarłego kapłana, niestety, czasem zbyt późno. Ileż to potem kłopotu z odprawieniem zaległych intencji. A sprawa Mszy św. binowanych i trinowanych? Nadto jakże trudno czasem dziekanowi doprosić się o sporządzenie testamentu przez księży. Choć proboszcz lub wikariusz są w pełni sił, jednak testament musi być złożony w teczce.

W ciągu wieków przez naszą Ojczyznę przesuwiał się raz za razem niszczący walec wojny. Dlatego liczne nasze biblioteki, muzea, pomniki architektury obróciły się w perzynę. Zadbana i sumiennie prowadzona kro-

nika parafialna stanowi przyczynek do bogactwa kultury religijnej naszego społeczeństwa. Z jaką pasją i zainteresowaniem czytamy kronikę parafialną sprzed dwustu czy trzystu lat, bo i takie się dochowały.

DZIEKAN OPIEKUNEM I DORADCĄ

Dziekan jako wzór i pierwszy duszpasterz okręgu pragnie być prawdziwym przyjacielem i powiernikiem poleconych jego opiece konfratrów. Dlatego na każdym kroku stara się nieść im pomoc. A ponieważ życie wewnętrzne kapłana stanowi zawsze fundament pracy duszpasterskiej, dlatego dziekan usilnie zabiega, by kondekanalni konfratry mieli swego ojca duchownego, do którego w każdej chwili mogliby się udać z całym zaufaniem. Nie jest to jednak prosta sprawa znaleźć mistrza życia wewnętrznego, światłego przewodnika i przyjaciela duchowego. Ten ojciec duchowny mógłby też być stałym spowiednikiem konfratrów. Czasem dwa, a nawet trzy dekanaty mogłyby mieć jednego ojca duchownego, szczególnie gdyby księża w nich było mniej, warunki komunikacyjne były dogodne, a co najważniejsze, gdyby kapłan wybrany na opiekuna duchownego cieszył się ich zaufaniem. Gorliwi księża dość często na przeróżnych spotkaniach postulują ustanowienie dekanalnego ojca duchownego. W licznych diecezjach załatwiono to pozytywnie.

Współpraca duszpasterska księży dekanatu bierze początek w ich życiu towarzyskim i dlatego godne pochwały są te dekanaty, w których księża pamiętają o imieninach swego konfratra. Na tę uroczystość winni zjawić się wszyscy. Udane spotkanie imieninowe łączy, pogłębia koleżeństwo i przyjaźń, daje okazję do dyskusji, również na tematy duszpasterskie. W niektórych diecezjach na Zachodzie, gdzie jest dużo małych parafii, księża gromadzą się co dwa tygodnie na towarzyskie spotkania.

Przy wizytacji, jeśli dziekan zauważy różne braki, poleca je usunąć. W ciągu roku, korzystając ze spotkań, przyjaźnie i serdecznie, z prawdziwą troską i życzliwością zapytuje się czy wierni zakupili już ławki do salki katechetycznej, czy starsza młodzież uczesz-

cza na katechizację, czy nowe wodociągi dobrze działają, czy ogrodzenie cmentarne jest gotowe itp. Przez to zainteresowanie i ponowne przypominanie, przez dobrą radę, współczucie w kłopotach, podniesienie na duchu, pochwałę i uznanie niejako pogłębia i kontynuuje swą pracę wizytacyjną.

W niektórych parafiach jest dobrze zorganizowana i sprawnie działa opieka nad chorymi. Zasługuje to na najwyższe uznanie. Bywa jednak czasem tak, że chorego kapłana nie ma kto odwiedzić. Zatem troska o słabującego konfratra winna być udziałem wszystkich współtowarzyszy, o co ksiądz dziekan szczególnie zadbać powinien. W wielu dekanatach ofiary na caritas sacerdotalis są bardzo sumiennie uiszczane. Księża rozumieją, że ktoś musi dać, by emeryt lub ksiądz chory mógł otrzymać. Niechże sprawa ta u wszystkich cieszy się prawdziwym zrozumieniem. Bo czy może z czystym sumieniem przyjmować pomoc w starości ten, który jej przedtem nikomu nie świadczył, który jej sobie przedtem nie przygotował?

W pewnych diecezjach księża dziekani rozdają aplikaty, czyli pisma ordynariusza o przeniesieniu do innej parafii. Spokojne przejście z jednej placówki na drugą stanowi ukoronowanie dotychczasowej pracy kapłana. Niestety, niekiedy przez opory i zamieszania ksiądz mocno nadwyręża swój dotychczasowy dorobek duszpasterski. W niepotrzebne akcje wciągani są wierni, powstaje wiele zgorszenia, które trudno potem naprawić. Ksiądz dziekan może tu wydatnie wesprzeć biskupa, serdecznie tłumacząc zainteresowanemu konfratrowi, by bez zniechęcenia szedł na nową placówkę i zapobiegał organizowaniu delegacji do Kurii.

Praca dekanatu musi mieć swą ciągłość. Nieodzownym postulatem jest tu archiwum dziekańskie. Znajdą się w nim wszystkie sprawozdania wizytacyjne, odsyłane jednocześnie do kurii i do zainteresowanych proboszczów. Będą tam liczne materiały z zebrań dziekanów, m. in. pro memoria wszystkich wydziałów. Należy też wyszukać dobrego notariusza dekanalnego, który by dokładnie prowadził księgę protokołów konferencji dekanalnych. Protokoły takie stanowią dowód pracy dekanatu i są przyczynkiem do jego historii.

DEKANAT STACJĄ PRZEKAŹNIKOWĄ W GŁOSZENIU
EWANGELII

Kościół nie tylko przechowuje depozyt wiary, lecz zobowiązany jest również ten skarb przekazywać ludzkości. Stałe i niezmiennie prawdy wiary zawarte w Piśmie św. i Tradycji teologowie tak ujmują, by trafiły one do psychiki i sposobu myślenia współczesnych im ludzi. Stąd niezmiernie ważne jest również przekazywanie tej myśli teologicznej. Ona sama, bez skutecznego upowszechniania, podobna jest do świętego, przynoszącego zdrowie lekarstwa, którego jednak choremu nie podano. Chrystus nie tylko przyniósł Boską naukę na ziemię, lecz również osobiście ją głosił słowem i czynem.

Historia uczy, że niektóre kraje katolickie miały wybitnych teologów, liczne seminaria duchowne, dobrze rozwinięte organizacje kościelne, a jednak doczekały się krwawej, wrogiej także Kościołowi rewolucji. Wina leżała nie tylko w niesprawiedliwym podziale dóbr materialnych, ale także w niedostatecznym przekazywaniu Ewangelii wszystkim warstwom społecznym.

Na soborze, na synodach, na przeróżnych licznych zjazdach, wysokiej klasy specjaliści wygłaszają bardzo dobre referaty. Piszą też znakomite dzieła i rozprawy na temat Bożego Objawienia. Ale to nie wystarczy. Musi również istnieć skuteczny przekaz tego Objawienia, czyli sprawnie działające duszpasterstwo. Zadanie to spoczywa na biskupie i jego pomocnikach, na zespole dekanalnym, na pracownikach parafii. Oni mają to zadanie wypełniać. Po to są posłani. Dla dobra ludzkości winni, za wzorem św. Pawła, czynić to z największym poświęceniem i entuzjazmem, możliwie najskuteczniej. W tych wspaniałych wysiłkach rola dziekana jest niepoślednia.

WYJAZDY NASZYCH KSIĘŻY ZA GRANICĘ

Do bardzo charakterystycznych zjawisk okresu powojennego należy masowa turystyka. Ruch ten coraz bardziej przybiera na sile. Co roku dziesiątki milionów ludzi z różnych krajów opuszcza swe domy, by podróżować, zwiedzać, odpoczywać. Wśród turystów zdecydowaną większość stanowią biali z zamożnych krajów.

W celu sprostania wymogom turystyki buduje się setki luksusowych hoteli wraz z całym zapleczem, nowe autostrady, drogi, lotniska itp. Turystyka staje się źródłem wielkich dochodów. Już przed kilkunastoma laty turyści przynieśli Italii większy zysk niż cały włoski przemysł metalowy wraz z zakładami Fiata. Na turystyce dorabiają się miliardów Hiszpania, Meksyk, Jugosławia (w roku 1974 — 700 milionów dolarów wpływów), Austria, Grecja i każdy kraj, w którym nie ma trudności z wyżywieniem i pomieszczeniem dla odwiedzających.

Podróże są dziś bardzo modne. Znane porzekadło: „podróże kształcą” nic nie straciło na swej aktualności. Istotniejszy jednak może jest fakt, że turystyka zbliża do siebie ludzi. Usuwa wiele przesądów, uprzedzeń i fałszywych opinii, które dzielą narody i społeczeństwa. Czarni, żółci czy biali, spotykając się dochodzą do przekonania, że ten czy ów, o innym kolorze skóry, jest też porządnym człowiekiem. W ten sposób ludzie coraz bardziej czują się braćmi i wielką Człowieczą Rodziną. Zacierają się różnice rasowe, narodowościowe czy kulturowe. I w tym właśnie widać wielką wychowawczą rolę turystyki.

W czasie ostatniej wojny setki milionów ludzi pracowały dla dzieła nienawiści. Zatrudnieni w fabrykach

i innych gałęziach gospodarki produkowali środki niszczenia i zabijania. Miliony innych walczyły na frontach. Dziś masy ludzi przyjemnie spędzają czas na wozach przynoszących relaks, zwiedzają muzea, kościoły, uprawiają sport, zdobywają górskie szczyty. Tak właśnie ma być. Do tego należy zmierzać.

Również i nasza ojczyzna włącza się powoli w ogromny ruch turystyczny: my wyjeżdżamy i do nas zaczynają przyjeżdżać. Nasi duchowni nie stanowią tutaj wyjątku. Jeżdżą dość często. W ostatnich latach w widocznym stopniu zmniejszyła się ilość księży, szczególnie młodych, zgłaszających się do różnych domów wypoczynkowych w kraju, prowadzonych przez siostry. Nasi kapłani udają się za granicę jako studenci, jako odwiedzający swych krewnych (chodzi głównie o USA) i przede wszystkim jako turyści. Tym ostatnim właśnie pragnię poświęcić nieco uwagi.

Jako turyści księża wyjeżdżają za pośrednictwem biur turystycznych lub indywidualnie. Biura turystyczne takie jak Orbis, PTTK i inne, urządząc wycieczki i wczasy, korzystają z samolotów, jak również komunikacji kolejowej czy autobusowej. Księża również są klientami tych biur. Wycieczki te są na ogół drogie, ale zapewniają wiele wygody. Nie trzeba się starać o mieszkanie czy utrzymanie. Nadto w planie z reguły przewidziane jest zwiedzanie interesujących obiektów. Kapłan podczas tego rodzaju wczasów zazwyczaj dobrze wypoczywa. Dość liczni księża wyjeżdżają za granicę samochodem, biorąc ze sobą namioty. Noclegu w takim wypadku trzeba szukać w campingach.

Faktem jest, że jako turyści odnoszą księża korzyści duchowe i zdrowotne. Są jednak narażeni na różne niebezpieczeństwa, przed którymi warto przestrzec. Dobry duszpasterz zawsze interesuje się, gdzie i jak jego wierni spędzają urlopy. Przed wyjazdem w odpowiednich kazaniach i pogadankach przygotowuje ich do życia religijnego na wakacjach. Rzecz oczywista, że biskupowi i przełożonemu zakonnemu tym bardziej nie może być obojętne, w jakich warunkach konfratry należący do ich wspólnot spędzają swe wakacje.

Nasi kapłani wyjeżdżając na Zachód obserwują bardzo wysoką stopę życiową. Wpadają wprost w cen-

trum materializmu praktycznego, a jest on wyjątkowo atrakcyjny. Wszystko wokół woła, przekonuje i kusi, by życie ułożyć sobie jak najprzyjemniej, jak najwygodniej. A na tym właśnie bazuje minimalizm duszpasterski.

Równocześnie nasi duchowni wchodzą w świat zlaicyzowany. Rozmawiają z księżmi, którzy — jakże często — są zniechęceni i czują się niepotrzebni społeczeństwu. Wspominał o tym Ojciec św. Paweł VI w niejednym ze swych przemówień. Bardzo często widzą puste kościoły. Słyszą nawet o sprzedawaniu świątyń z powodu braku wiernych. Zwiedzają pustoszejące klasztory i seminaria duchowne. Fakty te na jednostki o słabszej formacji duchowej lub mniej odporne psychicznie mogą wpływać defetystycznie, demobilizująco, podcinać zapał do pracy.

W zachodnie społeczeństwa wkorzenił się również panseksualizm. Swoboda obyczajowa jak również nudyzm zataczają coraz szersze kręgi. O encyklice „*Humanae vitae*” tamtejsi księża mówią bardzo nieśmiało. Dość powszechne jest również kwestionowanie celibatu. Te fakty na pewno nie wpływają krzepiąco na naszych duchownych. Niektórzy wracając do kraju ztracają swój pierwotny zapał i entuzjazm duszpasterski, stają się mniej gorliwi, czasem nawet obojętni. Zdarzają się wypadki zachwiania w powołaniu.

Jak wiadomo, wobec wyjazdu naszych księży za granicę, kurie biskupie zajmują stanowisko dość ostrożne. Na studia wyjeżdżają najbardziej zrównoważeni. Podobnie przedstawia się sprawa z odwiedzinami krewnych i wyjazdami wakacyjnymi. Nie powinny przy tym mieć miejsca wypadki, by w celach turystycznych opuszczano kraj bez zezwolenia władzy duchownej. Wyjazdy należy również planować tylko w ramach urlopu, aby przeróżne działy duszpasterstwa w kraju nie poniosły żadnego uszczerbku.

Ważnym problemem jest konieczność wzajemnego wychowania się naszych księży do dojrzałego poglądu na społeczeństwo zachodnie. W świadomości naszej musi tkwić fundamentalne rozeznanie, że w krajach zachodnich dawniej i obecnie działają trochę odmienne, często nawet zupełnie odmienne procesy i zjawi-

ska społeczne, polityczne i ekonomiczne. Wpłynęły one hamująco na religijne wychowanie młodego pokolenia i przez to stały się zasadniczą przyczyną odchodzenia od Boga.

Materializm praktyczny, laicyzacja, panseksualizm — powinny oddziaływać na naszych duchownych w kierunku przeciwnym. Muszą otrzeźwiać. Nie możemy dopuścić, by pod względem religijnym zaistniał u nas ten stan, co na Zachodzie. Zaobserwowane tam negatywy powinny jeszcze bardziej mobilizować i pobudzać do wszechstronnego, zwielokrotnionego wysiłku duszpasterskiego.

Pobyt za granicą musi spowodować głęboką refleksję. Winien być ostrzeżeniem. My mamy szansę, by uniknąć katastrofalnej — jak to niektórzy oceniają — obojętności na sprawy życia religijnego.

O ile zatem czas i okoliczności pozwolą polskiemu kapłanowi na wyjazd za granicę, zwłaszcza na Zachód, zobowiązany jest wykorzystać dobrze spostrzeżenia i doświadczenia w codziennej pracy, by ustrzec Kościół w Polsce przed smutnym stanem zaobserwowanym na Zachodzie. Podróż uwieńczona takimi postanowieniami będzie naprawdę pożyteczną nie tylko w aspekcie wypoczynku i uzupełnienia wiedzy, ale i pogłębienia pracy duszpasterskiej.

CZY ZUPEŁNIE ODRZUCIMY STRÓJ DUCHOWNY?

STAN ZAGADNIENIA

W jednym z polskich miast, do kapłana idącego ulicą w sutannie — podeszła w czasie juwenaliów grupa roześmianych studentów mówiąc: „Skądżeś to do-rwał?” Sądziłem bowiem, że to jeden z kolegów ubrał się dla zabawy w sutannę i byli ciekawi, gdzie ją zdobył. W tej postawie studentów nie powinno nic dziwić, bo kapłan w sutannie na ulicy większości naszych parafii należy dziś do rzadkości.

Strój duchowny przekazały nam w spuściźnie poprzednie pokolenia. Odrzucanie go przez naszych księży staje się obecnie faktem. Czy mamy się z tym faktem pogodzić i dać nań całkowitą aprobatę? Wydaje mi się, że nie. Pragnę odezwać się tu jako duszpasterz.

Długo zastanawiałem się, czy zabrać głos w tej sprawie. Jest to bardzo ryzykowne. Licznym można się narażać. Wiem dobrze, że odzywając się w obronie stroju duchownego, przez wielu uznany zostanie za zacofanego, konserwatystę, uparcie i niepotrzebnie tkwiącego w okopach św. Trójcy. Często jednak historia jak również praktyka dnia codziennego zaświadcza, że nie zawsze konserwatyzm jest synonimem zacofania. Owszem, zdrowy konserwatyzm to postęp wysokiej klasy.

Inni znowu, mając na uwadze strój duchowny, powiedzą, że nie czas myśleć o różach, gdy lasy płoną. W chwili, gdy teologowie natrafiają na duże trudności ze współczesnym wyjaśnianiem zasadniczych prawd wiary, a postanowienia Soboru nie zawsze są we właściwy sposób realizowane, zwracanie uwagi na to, jak się kapłan ubiera, pozbawione jest większego sensu. Powołują się przy tym na kraje zachodnie, gdzie nawet

niektórzy biskupi podczas lata przyjmują interesantów w koszulkach.

A jednak wydaje mi się, że w ojczyźnie naszej nie możemy zrezygnować ze stroju duchownego. Dla jasności dodaję, że przez strój duchowny rozumiem sułtanę lub ubranie i koloratkę, ale tak noszone, by spotykający kapłana wiedzieli, kogo mają przed sobą. Przyznaję przy tym całkowitą słuszność zasadzie, że *habitus non facit monachum* — strój nie czyni człowieka zakonnikiem. Mamy przecież miliony ludzi, którzy w świetnie skrojonym garniturze lub modnej sukni prowadzą życie uczciwe, nieraz wprost święte. A mogą też w szaty duchowne ubierać się jednostki pod względem etycznym bardzo przeciętne.

Uważam, że noszenie stroju duchownego wskazane jest ze względu na kapłana i na wiernych.

ZE WZGLĘDU NA KAPŁANA

Stawiam sprawę tak, jak widzi ją większość konfratrów. Otóż nie ma dwóch zdań, że strój duchowny stanowi dla noszącego pewne umartwienie. Żadna to przyjemność być jakby stale na cenzurowanym. Ludzie w ogóle, a zwłaszcza wierni słusznie są przekonani, że duchowny, szczególnie katolicki, zawsze i wszędzie powinien dawać jak najlepszy przykład. A przecież kapłan też jest człowiekiem. Czasem może być zmęczony, przepracowany, zdenerwowany. Ale strój duchowny wciąż przypomina, że nie wolno mu ulec żadnej słabości. Często, zwłaszcza u nas w Polsce, musi sobie odmówić dozwolonej przyjemności, np. wypicia napoju chłodzącego, bo gdy stanie w kolejce, to oczy wszystkich są zwrócone na niego. A to krępuje.

Noszenie stroju duchownego stanowi więc umartwienie dla kapłana. I tu wchodzimy w sedno zagadnienia. Chrześcijaństwo, będąc religią radości, jasno stwierdza, że cierpienia i umartwienia nie da się nikomu uniknąć. Trzeba więc przypomnieć, że za wzorem Kapłana Chrystusa również kapłan człowiek musi być umartwiony i to więcej niż inni wierni. To umartwienie potrzebne jest w naszej pracy duszpasterskiej.

Owszem, wraz z modlitwą stanowi jej fundament. Można, oczywiście, w różny sposób się umartwiać. A właśnie ta forma, ze względów duszpasterskich, jest bardzo celowa i wskazana.

Strój duchowny pomaga i ułatwia nam głoszenie Ewangelii. Jeden z kardynałów rzymskich przypomina, że strój ten stanowi znak konsekracji kapłana. Ksiądz we właściwym swym ubiorze, poważny lub wesoły, ale godnie się sprawujący, wielu ludziom na ulicy, w sklepie, teatrze, urzędzie, autobusie czy samolocie — przypomina Boga, Kościół, przykazania, życie wieczne. Dlatego ci, którzy weszli w konflikt ze swym sumieniem, mogą duchownemu rzucić nawet uszczypliwe słowo. Większość natomiast wiernych patrzy na kapłana z szacunkiem. Wielu wprost okazuje mu życzliwość. Wydaje mi się, że kapłan w stroju duchownym wszędzie daje świadectwo Chrystusowi i wszędzie Go głosi. Zapewne tym przekonaniem należy tłumaczyć rozporządzenie Kemala Attatürka, przeciwnika każdego wyznania chrześcijańskiego, zabraniające kapłanom po I wojnie światowej noszenia w państwie tureckim stroju duchownego.

Strój duchowny pomaga w zachowaniu celibatu. Kapłan w sutannie na pewno mniej jest narażony na okazje przeciwko cnocie czystości. I sam musi się więcej pilnować, i mniej jest wystawiony na zaczepki. Notujemy niekiedy bolesne wypadki porzucenia kapłaństwa. Ci, którzy to uczynili, jakżeż często elegancko ubrani udawali kawalerów.

Niektórzy pobożni księża sądzą innych według siebie samych. Oni, jako dobrzy, w każdej sytuacji również bez stroju duchownego zachowują się odpowiednio. Niepotrzebny im stróż. Sądzą, że to sprawa bez znaczenia, czy kapłan nosi swój strój, że w tym względzie trzeba duchownym zaufać. Choć bardzo dużo słuszności zawiera ten pogląd, to jednak życie uczy, że wielu potrzebuje pewnego hamulca i jakby widzialnego anioła stróża. Jest nim często kapłański strój. Niektórzy właśnie dzięki niemu nie popadli w kłopoty.

ZE WZGLĘDU NA WIERNYCH

Nasi wierni chętnie widzą swych kapłanów w stroju duchownym i cieszą się z tego. Jako proboszcz wielkomijskiej parafii przeprowadziłem przed kilku laty sondaż opinii (również wśród młodzieży akademickiej) na ten temat. Zdecydowana większość jasno oświadczyła, że pragnęłaby widzieć swych kapłanów w ich właściwych strojach. Zaznaczali tylko, by były one praktyczne, higieniczne, nie powodowały nadmiernego zmęczenia itp.

Kapłani chodzący w stroju duchownym spotykają wiernych, dzieci, młodzież i starszych. Niektórzy z nich chętnie przy tej okazji pozdrawiają Pana Boga. Mają w ten sposób okazję przyznać się do społeczności religijnej. Szczególnie dzieci z katechizacji wprost z radością biegną do swego kapłana. Czasem zagraniczni turyści zazdroszczą nam tego rodzaju scen. Duchowni i zakonnice, spotykani na ulicach naszych miast, są dowodem, że laicyzacja nie poczyniła jeszcze u nas tak wielkich postępów.

W USA opowiadały mi dwie siostry, że gdy znalazły się w Vancouver (Kanada), pewien pan uklęknął przed nimi na ulicy i ze czcią ucałował ręce. Dał w ten sposób wyraz radości, że nareszcie spotkał zakonnice w ich właściwym stroju. W naszej ojczyźnie siostry zakonne, dzięki Bogu, nie porzuciły swego habitu. I nikt z tego powodu nie uważa ich za niepostępowe i zacofane. Owszem, społeczeństwo i duchowni otaczają je wielkim szacunkiem. Gdy w Stanach Zjednoczonych mówiłem o tym przywiązaniu naszych sióstr do habitu zakonnego, publiczność sal parafialnych często biła gorące brawa.

Kilka lat temu na moło sopockim spacerowałem z klerykiem pewnego zagranicznego seminarium. Był to gorliwiec w stylu św. Pawła. Gdy ujrzał trzy siostry, pełen radości pobiegł do nich i zaznaczył, że w jego ojczyźnie takiego widoku się nie spotyka. Stąd ze wszech miar słuszny jest apel Księdza Prymasa, dość często powtarzany, by zakonnicy nie pozbawiali wiernych widoku habitu zakonnego na ulicach naszych miast.

NIE SUGEROWAĆ SIĘ PRZYKŁADEM ZACHODU

Wielu przeciwników noszenia stroju duchownego powołuje się na Zachód. Pewien zakonnik po kilkuletnim pobycie za granicą wrócił jako zdecydowany zwolennik wszelkich zachodnich nowości. W wyborach kandydował na przełożonego klasztoru. Ale współbracia nie głosowali na niego. Większość bowiem mówiła, że gdyby został wybrany, trzeba by wnosić pismo z prośbą o pozwolenie noszenia habitu zakonnego. Nie jest to wcale anegdota.

W każdym razie Europa Zachodnia ze swymi przypadkami sprzedaży kościołów i zamykania seminariów, co idzie w parze z powszechnym zrzucaniem sutanny i kwestionowaniem celibatu, wcale nam tu nie powinna imponować. Dlatego przy wysyłaniu na studia trzeba dobrze dobierać kandydatów i ostrzegać ich rzetelnie, by nie przyjęli minusów Zachodu i nie ulegli wpływom laicyzacji. Owszem, niech przyswajają sobie dobro, którego również jest tam bardzo dużo.

Część naszych kapłanów, kierując się nadmierną wygodą i snobizmem, idzie w sprawie ubioru za modą panującą na Zachodzie. Warto tu przypomnieć świetny felieton Kisiela, który wykpił publicystów hołdujących w naszym kraju indyferentyzmowi religijnemu właśnie dla mody.

Niektórzy próbowali u nas ująć to zagadnienie w normy prawne. Ale sprawa okazała się niełatwa ze względu na różne zwyczaje, na inną praktykę noszenia stroju duchownego na ziemiach byłych zaborów rosyjskiego, pruskiego czy austriackiego. Na pewno jednak wskazane są sugestie ascetyczne i pastoralne o zachowaniu duchownego stroju.

CO ROBIĆ W OBECNEJ SYTUACJI?

Analizując zagadnienie stroju duchownego, nie trzeba sądzić, że sprawa jest już całkowicie przegrana i pędu do całkowitego zrzucenia tego ubioru nie da się zatrzymać. Nie należy, oczywiście, zasugerować się postawą pewnej grupy, która zdecydowanie prag-

nie wziąć rozbrat z dotychczasowym strojem. Angielscy mężowie stanu trzymają się zasady: „Dotąd nie przegrałem, dopóki sobie nie powiedziałem — przegrałem”. Wyjątkowe znaczenie posiada wypowiedź Ojca św. Pawła VI. Przemawiając do kaznodziejów rzymskich przypomniał kapłanom, by nie czuli się sfrustrowani. Współczesnemu światu są bowiem bardzo potrzebni. Muszą jednak pozostać sobą. Nie mogą między innymi tak dostosowywać się do świeckich, aby ich nie można było odróżnić (wg. „Kathpress” nr 51, r. 1973).

Obronę stroju duchownego należy zacząć od seminariów duchownych. Nigdy łatwiej alumn nie nauczy się nosić i kochać swój strój duchowny jak właśnie w czasie przygotowywania do kapłaństwa. Dobrze by było, gdyby nim była sutanna. W diecezjach jednak, gdzie w seminariach i poza nimi istnieje zwyczaj noszenia ubrania i koloratki zamiast sutanny, sprawa jest już ustawiona. Chodzi przede wszystkim o to, by ten zwyczaj zachować.

Do kurii biskupich duchowni powinni przychodzić w stroju kapłańskim. Odnosi się to również do różnych zjazdów, zebrań, kursów, kongresów, spotkań. W czasie rekolekcji kapłańskich czy kongregacji dekanalnych można dużo zrobić dla tej sprawy.

KIEDY MOŻNA NIE NOSIĆ STROJU DUCHOWNEGO?

Rzecz oczywista, iż kapłan występuje w stroju duchownym podczas wszystkich funkcji duszpasterskich. Nadto jest rzeczą bardzo wskazaną, by nosił go również przy innych spotkaniach z ludźmi.

Zrozumiałe, że istnieje wiele takich sytuacji, kiedy można chodzić po świecku, a nawet jest to wskazane. Przede wszystkim na wszelkiego rodzaju wycieczkach. Również w miejscowościach uzdrowiskowych oraz wypoczynkowych i w ogóle tych sytuacjach, w których dyktuje to zdrowy rozsądek.

Habity zakonne są czasem niewygodne. Można by je, dla pomnożenia sił w pracy duszpasterskiej, trochę

uprościć, zreformować. Uczyniły to już, z dobrym skutkiem, siostry zakonne.

Warto w końcu dodać, że warunki społeczne, ekonomiczne i polityczne, tradycja duszpasterska w naszej ojczyźnie jak również wiele innych czynników — korzystnie wpływają na to, by w Polsce nie zagubić stroju duchownego. Mamy tu znacznie mniej trudności niż na Zachodzie.

DUSZPASTERSKIE SPOSTRZEŻENIA NA MARGINESIE BISKUPIEJ POSŁUGI

ODPOWIEDNIE WARUNKI NABOŻEŃSTW

a. Wprowadzenie wiernych do świątyni

W niedzielne przedpołudnie duchowni dobrze się napracują. W programie ambona, konfesjonał, salka katechetyczna i inne zajęcia. Biskup, rzecz zrozumiała, też udaje się z duszpasterską posługą. I wówczas najłatwiej może zaobserwować pewne zjawisko, którego nie wszyscy mogą być świadkami tak często jak on. Przejeżdżając przez liczne miejscowości widzi na drogach szeregi wiernych, idących z kościoła lub zmierzających do niego. Są tam dzieci, młodzież, dorośli, starzy. Idąc drogą jedni za drugimi, podobni są z dala do jakiegoś kolorowego, poruszającego się węża. Ten widok wiernych, tak licznie spieszących do świątyni, należy już do bardzo rzadkich w krajach Europy.

Niestety, radość przeżywana na drodze mija dość szybko. Bo oto w niektórych świątyniach jest jeszcze dużo miejsca, a liczni wierni, szczególnie mężczyźni i młodzież, blokują główne wejście, i co gorsze, stoją przed kościołem, przed bramą, siedzą na murkach. Stary to, lecz niestety, nadal aktualny problem. W niektórych parafiach udało się go zlikwidować i wprowadzić wiernych do kościoła. Wymagało to, rzecz oczywista, wielkiego wysiłku duszpasterzy, jak również ich taktu i zmysłu pedagogicznego. Księży, którzy szczęśliwie rozwiązali ten problem, warto naśladować. I nigdy nie wolno załamywać rąk. Przy pomocy wszystkich dostępnych środków trzeba poszczególnym grupom tłumaczyć niewłaściwość ich zachowania. Wierni mając miejsce w kościele, nie mogą stać poza jego murami. Proboszcz powinien prosić również rekolekcjonistów,

jak i innych kaznodziejów-gości o uwrażliwienie wier-
nych na tę sprawę.

Tej opieszałości pewnych parafian nie wolno lekce-
ważyć ani jej pobłażać. To się mści. Bo ochrzczeni,
obojętnie, zimno i bez zaangażowania duchowego sto-
jący poza kościołem w naszych wioskach czy mia-
steczkach, przyszedłszy do mieszkania blokowego w
osiedlu miejskim, nie wieszają tam krzyża. Mało też
interesują się katechizacją dzieci i życiem nowego
ośrodka duszpasterskiego. Podczas wizytacji kołędowej
udają, że ich nie ma w mieszkaniu lub zamykają przed
księdzem drzwi. Szybko się laicyzują.

Problem jest ważny. Wiąże się z całokształtem wia-
ry człowieka. Stanie przed kościołem wymownie
świadczy, że ci ludzie naprawdę nie rozumieją czym
jest Msza św. i Eucharystia. Zjawili się przed świąty-
nią z tradycji, nie chcieli może starszym robić przy-
krości, lub po prostu pragnęli się przejść i pogwarzyć
ze znajomymi.

Powinni zrozumieć swój zasadniczy błąd. Muszą
wreszcie przyjąć i pokochać tę wielką prawdę naszej
wiary, że w czasie Mszy św. na ołtarzu uobecnia się
męka Chrystusowa. Bóg, jako byt wszechmocny, do-
konuje cudu — w sposób bezkrwawy, poprzez tysiące
lat, w niezliczonych punktach globu uobecnia Swą
ofiara krzyżową. Wierni powinni być podobni do Mat-
ki Najświętszej, św. Jana i innych, którzy stali tuż przy
cierpiącym Zbawicielu. Niestety, znajdujący się poza
kościołem, przypominają obojętny tłum spod krzyża.
Gdyby nasi wierni posiadali żywą wiarę w Eucharystię,
rozumieliby, że uczestniczenie w niedzielnej ofierze
musi stanowić najważniejsze przeżycie tygodnia.

b. Dobre nagłośnienie

Sprawa dobrego odbioru słowa jest bardzo istotna.
Nasi wierni słuchają zazwyczaj audycji radiowych
i oglądają programy telewizyjne. Słowo jest tutaj naj-
częściej znakomicie oddane.

Tymczasem przyszedłszy do świątyni często muszą
się dobrze wysilić, by uchwycić treść czytań biblij-
nych i głoszonych kazań. Przyczyną są różne. Bardzo

ważną stanowi złe nagłośnienie kościoła. W niektórych świątyniach, choć jest to konieczne, w ogóle nie założono instalacji głośnikowej. W innych działa ona źle. Zamiast czystego, łatwo słyszalnego głosu, do wiernych docierają słowa zniekształcone, przy akompaniamencie pisków i całej gamy hałasów.

Tu tkwi nie tylko techniczne, lecz przede wszystkim duszpasterskie zaniedbanie, a tego nie można sobie darować. Nasi kapłani często wkładają wiele wysiłku w sumienne przygotowanie kazań. Ale któż odnosi z nich korzyść, gdy wiernym na skutek złych mikrofonów i głośników nie przekazano treści tych opracowań, rezultatów długich nieraz przemyśleń i przeżyć.

Przemawiający w świątyni często mogą ulec złudzeniu, że odbiór ich słów jest dobry i poprawny. Widzą bowiem zazwyczaj tylko pierwsze szeregi słuchaczy, utrzymujących kontakt myślowy z kaznodzieją. Ale ci, stojący po bokach, pod chórem, za filarami, przed kościołem, często gubią łączność z mówcą lub w ogóle jej nie nawiązują. Należy się też liczyć z tym, że niektórzy z naszych słuchaczy, szczególnie starsi, mają przytępiony słuch.

Dlatego sprawa dobrego nagłośnienia budynku kościelnego musi należeć do istotnych zadań duszpastersko-gospodarczych rządcy kościoła. Wydatku na ten cel nigdy nie można kwestionować. Trzeba porozumieć się z proboszczami, którzy znaleźli dobrych fachowców i u siebie ten problem należycie rozwiązali.

Specjalne trudności wiążą się z nagłośnieniem dużych i nieakustycznych świątyń. W takich wypadkach tym bardziej trzeba szukać specjalistów, bo przecież chodzi o wiele tysięcy ludzi, którzy przesiąkają laicyzacją również z tego powodu, że nawet przy tak rzadkiej okazji słuchania słowa Bożego, jaką stwarza nabożeństwo niedzielne, odchodzą prawie z niczym.

W wielu kościołach przy głównym ołtarzu jest tylko jeden mikrofon. Podawanie go co pewien czas innym przemawiającym powoduje u wiernych rozproszenie. Dlatego przyklasnąć trzeba tym duszpasterzom, którzy zainstalowali na ołtarzu, przy pulpicie, na ambonie i gdzie indziej tyle mikrofonów, ile potrzeba.

Tam gdzie jest dużo miejsca w świątyni podczas na-

bożeństwa, nie należy głośnika umieszczać na zewnątrz nad drzwiami wejściowymi, bo wierni mają obowiązek przeżywać Mszę św. wewnątrz kościoła, patrząc na ołtarz. Świadczyłoby to o braku odwagi u duszpasterzy podjęcia trudnej pracy na rzecz wprowadzenia ludzi do świątyni. W niektórych kościołach głośniki zaprowadzono również na plebanii, a więc w mieszkaniu proboszcza, wikarych, w hallu czy w kuchni. I to również przynosi pewne usprawnienie w pracy. Kapłan wpadłszy na śniadanie lub na krótki relaks doskonale wie, co w danej chwili dzieje się w świątyni.

Istnieje przy tym wielkie niebezpieczeństwo ulegania złudzeniom, że się posiada dobre nagłośnienie, gdy w rzeczywistości pozostawia ono wiele do życzenia. Ileż to razy duszpasterz z całym przekonaniem zapewnia przed uroczystością o dobrej instalacji głośnikowej. Ale przyjeżdża rekolekcjonista lub biskup z własną zadbaną, dobrze działającą aparaturą nagłośnieniową i dopiero wtedy, mając możliwość porównania, zainteresowany kapłan przekonuje się jak niedostateczna jest instalacja, którą on dysponuje.

Dość modne są obecnie przeróżne festiwale piosenek. Warto zwrócić uwagę na to i uczyć się, jak blisko ust śpiewający trzymają mikrofon, by słuchacze nie urognili żadnego tonu z ich śpiewu. Kapłani, którzy w każdą niedzielę binują i trinują, głoszą przy tym kilka kazań, zapominają często i o tym istotnym warunku dobrej emisji. A przecież głos ich powinien posiadać naturalne, przyjemne i czyste brzmienie.

Prawidłowy, nie zniekształcony przekaz głosu ma dla każdego mówiącego kapitalne znaczenie. Tym bardziej dla duchownego, którego w ciągu roku słuchają dziesiątki i setki tysięcy wiernych. Stanowi on żywą księgę Ewangelii. Wierni są zadowoleni i wdzięczni, gdy w spokoju, bez zdenerwowania mogą przejmować słowo Boże.

c. Więcej tlenu podczas nabożeństw

Innym, ważnym czynnikiem, mającym niebagatelny wpływ na przeżywanie nabożeństwa i wytworzenie

ściślejszej jedności z Bogiem, jest odpowiednia ilość tlenu w kościele. Chodzi tu o wprowadzenie świeżego powietrza. Nadmiar dwutlenku węgla czyni człowieka ospałym, niezdolnym do głębszego skupienia i duchowej koncentracji. Nasze kościoły są najczęściej ciasne i niskie. Podczas nabożeństw o większej frekwencji jest w nich duszno i parno, samo tylko przebywanie w nich jest męczące. Wierni zatem nie są w stanie łączyć się z Bogiem poprzez doskonałą modlitwę.

Należy więc dobrze przewietrzać kościoły. Okna winny być tak zrobione i umieszczone, by można je było z łatwością otwierać. Cóż to niekiedy za sensacja podczas nabożeństwa, gdy kościelny bezskutecznie próbuje otworzyć okno zabite gwoździami od szeregu lat. Nie wszędzie jednak wystarczy samo otwarcie okien. Potrzebne są specjalne wentylatory. Muszą one pracować w miarę możliwości cicho i szybko, by np. w ciągu kilku minut wymieniać powietrze. Najlepsze byłyby urządzenia klimatyzacyjne. Niestety, dotychczas nie było u nas w kraju dobrych instalacji wentylacyjnych. Ostatnio niektóre firmy oferują swe usługi i warto zainteresować się ich propozycjami.

W wypadku wielkiej ciasnoty w kościele, liczni duchowni przy sprzyjającej pogodzie odprawiają nabożeństwa na terenie przykościelnym, przy ołtarzu polowym. Korzyść duszpasterska stąd ogromna. Ludzie nie tłoczą się w dusznej, pełnej dwutlenku węgla świątyni. Nie przeszkadzają sobie wzajemnie. Niezmiernie również ważne jest to, że w komórkach mózgowych, w takich warunkach, znacznie łatwiej kodowane są prawdy Boże, głoszone przez kaznodzieję.

Chrystus nazywa Siebie światłością świata. Tej Światłości nie wolno ukrywać pod korcem. Światło Chrystusowe mieści się w Ewangelii i w całym depozycie wiary Kościoła katolickiego. Niestety, wnikliwe czasem przemyślenia teologów, bardzo często nie docierają do adresatów, nie stają się udziałem ludu Bożego. Z wymienionych wyżej powodów, często mechanicznych i prozaicznych. Jednak światła nie wolno przed innymi ukrywać. Ono musi świecić.

a. Eucharystii należy się Boska cześć

W zdecydowanej większości domów Bożych urządzono ołtarze twarzą do ludu. Okazuje się, że zastrzeżenia niektórych kapłanów okazały się niesłuszne. Tam gdzie ołtarzy centralnych dotychczas nie ma, należy je jak najrychlej zbudować. Nie wolno zwlekać z tą sprawą. W niektórych jednak dużych świątyniach ołtarz centralny umieszczono prawie w środku świątyni. W rezultacie znowu do pewnej grupy wiernych kapłan odwrócony jest tyłem. Oczywiście, ołtarz taki należy ustawić jak najbliżej balustrady.

We wszystkich prawie świątyniach i kaplicach tabernakulum pozostawiono na dawnym miejscu. I dobrze, że tak jest. Umieszczenie go gdzieś w miejscach mało widocznych, wcale nie przyczynia się do pogłębiania kultu Najświętszego Sakramentu. Powoływanie się na zwyczaj pierwszych wieków nie stanowi tu przekonującego argumentu. Przecież na przestrzeni stuleci nastąpił nie tylko rozwój dogmatów, lecz i liturgii. To właśnie głęboka wiara i wyrosła z niej pobożność przeniosły tabernakulum na najbardziej eksponowane miejsce w prezbiterium.

Poprzednie pokolenie nauczyło nas dziękczynienia po Komunii św. Obecnie zwyczaj częstej Komunii św. coraz bardziej u nas się rozpowszechnia. Wierzymy, że Chrystus obecny jest w Najświętszym Sakramencie prawdziwie, rzeczywiście i istotnie. Sobór Trydencki określa: *vere, realiter et substantialiter*. Niestety, zaczyna szerzyć się niedobry, częściowo z Zachodu przenikający, zwyczaj szybkiego opuszczania świątyni po przyjęciu Komunii św., bez odpowiedniego dziękczynienia. Dlatego dobrze by było, o ile pozwala na to czas (w niektórych kościołach jest to praktykowane), by po rozdaniu Komunii św. w kościele panowała kilkuminutowa, całkowita cisza. W tym czasie kapłan i wierni prowadzą z Bogiem swój serdeczny dialog. Dziękczynienie po Komunii św. stanowi dla nas źródło wielkiej radości.

W wielu jednak świątyniach nabożeństwo może

trwać tylko 50 minut, bo odprawianych jest tam kilka czy kilkanaście Mszy św. Brak więc czasu na dziękczynienie. Wierni muszą opuszczać kościół szybko, po 4 czy 5 minutach od momentu przyjęcia Komunii św. Wówczas należy ich przy końcu ogłoszeń uwrażliwić, by po drodze lub w domu dokończyli dziękczynienia, gdyż teraz muszą opuścić świątynię, pragnąc innym zrobić miejsce.

Sprawa przekazywania znaku pokoju różnie mimo istniejącego przepisu, jest realizowana. Plenarna Konferencja Episkopatu na nowo tę sprawę przypomniała i określiła. Celebrans kieruje do wiernych wezwaniem: „Przekażcie sobie znak pokoju”. Odpowiadają kapłanowi: „Pokój nam wszystkim”. Nie podają sobie przy tym rąk, nie uśmiechają się, nie rozglądają czy poklepują, słowem nie robią zamieszania. Zachowują się poważnie.

Z okazji zakończenia różnych nabożeństw śpiewamy hymn „My chcemy Boga”. Ponieważ nabożeństwo się przedłużyło, organista lub duszpasterz intonują hymn wówczas, gdy wierni już wychodzą. Ale pieśń „My chcemy Boga” jest właśnie hymnem kościelnym, a nie zwykłą pieśnią religijną. O ile więc brakuje czasu, lepiej go nie zaczynać. Gdy się go jednak śpiewa, wszyscy powinni stać na miejscach.

Nie trzeba udowadniać olbrzymiego znaczenia śpiewu w życiu duchowym człowieka. Przez stulecia wybitni artyści wypowiadali się na ten temat. U nas obserwujemy dużą pobożność tam, gdzie wierni w czasie nabożeństwa są rozśpiewani. A czasem śpiewają wspaniale. W niektórych parafiach udział w nabożeństwie to prawdziwa uczta duchowa. W znacznej mierze dzięki śpiewowi.

Współczesna pieśń religijna zdobyła sobie prawo obywatelstwa w wielu kościołach. Szczególnie tam, gdzie dbają o to katecheci i wikariusze, proboszczowie i organiści. Coraz rzadziej (jak mało obecnie czasu i miejsca na śpiew...) śpiewane są dawne, poważne pieśni, np. „Pod Twą obronę” czy „Serdeczna Matko”. Ich miejsce zajmują takie utwory jak: „Dziękujemy Ci Ojczy”, „Przykazanie nowe”, „Gdyby Bóg nie kochał

nas", „Gdy idziemy poprzez świat”, „Była cicha i piękna". Wnoszą one dużo życia i radości.

Na podniesienie poziomu śpiewu decydujący wpływ ma mistrz organów. Czasem nie rozumiejący dobrze swego zadania organista nieświadomie hamuje wiernych i nie dopuszcza, by dali wyraz swym uczuciom i serdecznie się rozśpiewali. Chodzi o akompaniament. Obowiązkiem organisty jest poderwanie ludzi do śpiewu, do wzlotu, i niezwłoczne wycofanie się, z przestaniem na delikatnym akompaniamentcie. Nie wolno mu tłumić i przygłuszać śpiewu organami. Gdy wierni słyszą własny głos, wtedy chętniej śpiewają. Dobrzy organiści świetnie to rozumieją. Duszpasterz musi i tej sprawy dopilnować. Pożałowania godna to parafia, gdzie ludzie kiepsko śpiewają.

Ostatnio przyjął się u nas urząd lektora. W większych ośrodkach jest z czego wybierać. Nietrudno tam o odpowiednich kandydatów. Gorzej jest w mniejszych ośrodkach. Lektorom duszpasterze muszą jednak poświęcić więcej uwagi. Chodzi o to, by czytali ze zrozumieniem. Niekiedy tak czytają, że pożał się Boże. W takim wypadku lepiej będzie, gdy celebrans sam odczyta teksty Pisma św. Warto tu przytoczyć słowa z Ceremoniału powołania ministrantów do służby lektorów: „Przez usta lektora rozbrzmiewa się Słowo Boga samego. Święta i zaszczytna jest więc wasza funkcja. Starajcie się o to, aby czytać lekcje z Pisma św. głośno, wyraźnie i jasno, aby wszyscy w kościele wierni mogli was dobrze słyszeć. Przygotowujcie się więc starannie i pilnie do czytania Słowa Bożego".

b. Ukazanie celebransa wiernym

Specjaliści przeprowadzając reformę liturgiczną, zapragnęli mieć celebransa podczas czytania i wygłaszania słowa Bożego nie na ambonie, lecz blisko ołtarza. Na ołtarzu bowiem sprawuje się Najświętsza Ofiara. Słuszny to postulat, by kapłan stał blisko ołtarza. Niestety, w większości świątyń wierni nie widzą celebransa lub widzą tylko jego głowę. Po prostu dlatego, że stanowczo za nisko ustawiono pulpit i ołtarz central-

ny. Rezultat zaś jest taki, że zaledwie ci najbliższej stojący, przy balustradzie lub ci z chóru, dobrze widzą przewodniczącego nabożeństwu. A to jest niedopuszczalne. Przecież mówca, pragnący oddziaływać na słuchaczy, staje na podwyższeniu, z którego wszyscy widzą go dobrze. Tym bardziej celebrans, sprawujący tak istotną rolę przy uobecnianiu męki Chrystusa i głoszący dobrą nowinę, musi być dobrze widoczny. Należy zatem pulpity i ołtarze centralne ustawiać znacznie wyżej, by wiernym stworzyć jak najlepsze warunki potrzebne do zjednoczenia się z kapłanem i ołtarzem. Trzeba dokonać tu przeróbek, choćby one były kosztowne. Niektórzy skarżą się, że liturgiści sprowadzili kapłana z ambony, ale nie dali mu odpowiedniego miejsca przy ołtarzu. W kaplicy, gdzie w nabożeństwie uczestniczy kilkanaście czy kilkadziesiąt osób, celebrans nie musi stać na podwyższeniu, ale musi na takim się znaleźć, gdy jak to bywa w naszych warunkach, udział w nabożeństwie biorą setki i tysiące ludzi.

Sprawa właściwego ustawienia się mówcy przed słuchającymi wcale nie jest nowa. W księdze Nehemiasza czytamy: „Pisarz Eздzasz stanął na drewnianym podwyższeniu, które zrobiono w tym celu. Eздzasz otworzył księgę na oczach całego ludu — znajdował się bowiem wyżej niż cały lud”. (Neh. 8, 4 n.).

W nowej liturgii źle również ustawiono krzesło dla biskupa. Przy ogólnej prostocie wewnątrz naszych obecnych kościołów nie powinno ono być barokowe czy renesansowe. Dawne ozdobne siedzenia dla biskupów (zwane tronami) z powodzeniem może dziś zastąpić najzwyczajniejsze krzesło, ale przecież, dalibóg, nie wolno go ustawiać na posadzce czy podłodze prezbiterium. Jest to sprzeczne z elementarnymi zasadami duszpasterskimi i psychologią tłumu. Przecież biskupa, który niekiedy po dłuższym czasie zjawia się w parafii, wierni chcą widzieć. Często bywa, że ten duchowny po dłuższej, wyczerpującej pracy w Kurii udaje się po południu z różnymi posługami do odległych niekiedy parafii. Prawie wszyscy duszpasterze, doceniają rolę wychowawczą tzw. przywitania biskupa i dlatego urządzają je w swoich parafiach. Wierni chcą zobaczyć bi-

skupa. On też powinien ludzi objąć wzrokiem i nawiązać z nim duchowy kontakt. Pomaga to znakomicie w czasie przemówienia, stanowi źródło natchnienia. Niestety, tak nisko ustawiono biskupowi krzesło, że widzą go tylko ci stojący najbliżej balustrady. Naturalnie, biskup rozumiejący sytuację duszpasterską i nie chcąc jej zmarnować, stoi przez cały czas powitania. Chętnie by jednak odpoczął na odpowiednio, dość wysoko ustawionym krześle. Przed południem miał bowiem kilka godzin uciążliwej pracy, potem nie zawsze krótką podróż i wreszcie perspektywę nie tak znów łatwego zajęcia, jakim jest każda biskupia posługa.

Dodam, że w gorączce usuwania wszystkiego, co dawne, niektórzy postulowali zlikwidowanie „sedia gestatoria”, na której przez całe wieki noszono Ojca Św. na uroczyste nabożeństwa przez bazylikę św. Piotra. W tym zwyczaju na pewno nie chodziło o wygodę papieża, lecz o pielgrzymów, którzy, przybywając często z bardzo odległych regionów globu ziemskiego, tylko dzięki temu, że niesiono Ojca Świętego na specjalnym podwyższeniu, mogli go zobaczyć. Sam, będąc po raz pierwszy w Rzymie z okazji beatyfikacji O. Kolbego, doznałem głębokiego wzruszenia, patrząc z bliska na Ojca chrześcijaństwa. W tym dniu tysiące pielgrzymów mogły go zobaczyć dzięki „sedia gestatoria”.

Po wyborze papieża Jana Pawła II wprowadzono tu pożyteczną nowość. Ten nasz polski Ojciec św. jest, jak Go określają Włosi, papieżem otwartym, il papa aperto. Z każdym, o ile to możliwe, chce porozmawiać, uśmiechnąć się, pobłogosławić. Czyni to oczywiście przechodząc przez bazylikę św. Piotra. Ale wszyscy pragną Go ujrzeć. Dlatego, co kilkadziesiąt metrów, Ojciec św. wchodzi po schodkach na specjalnie zbudowane podwyższenie. Wówczas, gdy jest dobrze widziany, radość i entuzjazm pielgrzymów dochodzą do zenitu, o czym mógł się przekonać każdy będący na ogólnej audiencji.¹

¹ W pierwszych miesiącach 1979 r. wzrosła bardzo liczba pragnących bezpośrednio wiedzieć i słyszeć Ojca św. na śródowych audiencjach ogólnych. Dlatego trzeba było urządzać po trzy audiencje, mianowicie w bazylice św. Piotra, na podwórzu św. Damazego i w auli Pawła VI. Wnet i te miejsca nie mogły pomieścić ludzi. Audiencje ogólne przeniesiono więc na plac św. Piotra przed bazyliką, gdzie papież porusza się wśród pielgrzymów w otwartym samochodzie. Można widzieć Go dobrze.

Gorliwy kapłan cały swój czas poświęca głoszeniu słowa Bożego i sprawom duszpasterskim. Rozumiejąc w ten sposób powołanie duchownych, władcy świeccy zabezpieczali materialny byt duchowieństwa. Prawie każdy ośrodek duszpasterski otrzymywał w posiadanie ziemię. Przez setki lat ziemie te stanowiły źródło utrzymania. Ale warunki społeczne zasadniczo się zmieniły. Dziś nie ma kto na kościelnej roli pracować. Budynki gospodarcze przy plebaniach, obszerne stodoły, stajnie, spichrze, idą w rozsypkę, przedstawiają smętny, a nieraz nieprzyjemny widok. Plebańskiego pola nie ma nawet kto dzierżawić, nie ma kto kupić. Wieś się wyludniła. Również liczne indywidualne gospodarstwa ulegają likwidacji, domostwa często zamknięte na kłódki. Gdyby zresztą chodziło o te tylko przemiany społeczno-polityczne, to nie wyszły one głoszeniu Ewangelii na złe. Zdarzało się dawniej, że proboszcz był właściwie agricola cum potestate celebrandi. Obecnie księża, nie zajmując się sprawą roli, mają więcej czasu na właściwą działalność duszpasterską.

Dręczą ich jednak wspólne kłopoty. Ludzi brakuje nie tylko na roli czy budowach. Również na plebaniach nie ma kto prowadzić gospodarstwa domowego. Zdarza się czasem, że ksiądz jest jedynym mieszkańcem dużej plebanii. Śniadania i kolacje przyrządza sobie sam. Obiady przynoszą mu do domu lub stołuje się u sąsiadów. Bardzo często gosposia plebańska to osoba schorowana lub zniedołężniała staruszka. Na probostwach, gdzie mieszka kilku księży, personel gospodarczy łatwiej jest zorganizować. Sprawy nie przedstawiają się tak źle.

Odwiedzając chorych biskup ma możliwość zobaczyć jak ludzie mieszkają. Otóż, jak na nasze warunki, już wiele mieszkań jest na poziomie. Piękne ogrodzenia posesji, zadbane ogródki z kwiatami. Wewnątrz czyste pokoje z nowoczesnymi łazienkami. Wracając na plebanie widzi się coś innego. Są zaniedbania lub duże braki w urządzeniu mieszkania. Przyczyny takiego stanu rzeczy są różne. Czasem ksiądz nie ma zmysłu gospodarczego, ale najczęściej jest zapracowany. Nie ma

czasu na odpowiednie urządzenie swego mieszkania. Na pewno należy pochwalić kapłana, który zajęty sumiennym wyposażaniem kościoła lub salek katechetycznych, mniej dba o swe mieszkanie. Ale z drugiej strony nie może dojść do tego, by przez długie lata budynek plebański przedstawiał obraz zawinionego ubóstwa, lub co gorsze, szedł w ruinę. Mamy niestety jeszcze wiele plebanii, których standard mieszkaniowy jest bardzo niski.

ZE SZLAKU MEJ KANONICZNEJ WIZYTACJI

ROZKAZ CHRYSTUSA

„Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody” (Mt 28, 19). Te słowa skierował Chrystus Pan do Apostołów, ich następców oraz ich współpracowników duchownych i świeckich. Apostołowie pilnie posłuchali wezwania Mistrza. Już za ich życia wielu ludzi, mieszkających w krajach rejonu morza Śródziemnego, przyjęło naukę Chrystusa. Po Apostołach Ewangelię głosili uczniowie Apostolscy. A potem ich następcy i tak aż do dzisiaj.

Stare kroniki diecezjalne, klasztorne czy parafialne dość często zawierają opisy różnych wizytacji biskupich, przeprowadzanych w ciągu setek lat. Wielu rządców diecezji gorliwymi i sumiennie przeprowadzanymi wizytacjami podnosiło stan religijny i moralny swych diecezji. Należał do nich m. in. św. Karol Boromeusz. Biskupi, przemierzając tereny swych diecezji, w wielkim utrudzeniu spełniali swój obowiązek. Spotykały ich też różne przygody. Kronika parafii Sanka (mająca najstarszy zapis w r. 1764) podaje, że w Paczółkowicach podczas ostatniej wojny na plebanię w nocy w czasie wizytacji napadli bandyci. Biskup Stanisław Rospond śmiało jednak do nich podszedł i sprawił, że spokojnie odeszli, oddali mu nawet z powrotem skradziony pierścień biskupi. W drugiej połowie XIX wieku jeden z biskupów krakowskich, udając się na wizytację w okolice Gdowa, próbował przejechać wezbraną rzekę. Niestety, wartki nurt rozerwał na dwoje powóz. Biskup wraz z towarzyszącymi osobami wpadli do wody i ledwie z życiem uszli.

W kronice parafii Niepołomice odnajdujemy taki zapis:

„W czerwcu 1914 odbył Księżę Biskup Krakowski Adam Stefan Sapieha wizytację Dekanatu Niepołomickiego poczynając od Bodzanowa — poczem zwiedził Łazany, Gdów, Niegowic, Gruszów, Tarnawę, Łapanów, Brzeziny, Niepołomice i Zabierzów, wszędzie witany z entuzjazmem i odprowadzany z banderyami, jednając sobie miłość i wdzięczność duchowieństwa i ludu. W ostatnim dniu zwiedził nowo zbudowany kościółek w Kłaju — przyczem na skrócie do kościoła z gościńca jakiś koń z banderyi uderzył Księdza Biskupa kopytem w brzuch, oprócz jednak chwilowego przestachu i lekkiej kontuzji gorszego skutku Bogu dzięki nie było”.

Wizytacja nazywa się kanoniczną, nakazują ją bowiem przepisy prawa kanonicznego. Powinna się odbywać raz na 5 lat, ale z kronik wynika, że z tą częstotliwością różnie bywało. Na przeszkodzie stawały sprawy polityczne, gospodarcze, duszpasterskie. Dawniej wizytacja miała charakter raczej prawn-administracyjny, dzisiaj przede wszystkim duszpasterski. Dawniej biskup kontrolował, wizytował, badał, przyglądał się. Dzisiaj przede wszystkim bezpośrednio pomaga w duszpasterstwie. Dawniej biskup najczęściej słuchał kazań kapłanów, dzisiaj bardzo często sam je głosi, a kapłani i wierni słuchają.

Ksiądz biskup wcześniej dokładnie omawia program wizytacji z proboszczem, który wypełnia również obszerną zazwyczaj ankietę wizytacyjną. Stawia się niekiedy pytanie, czy potrzebna jest długa ankieta. W niektórych parafiach rzeczywiście nie jest wskazana. Ale w diecezji są parafie najróżnorodniejsze i ankieta powinna je wszystkie w pytaniach uwzględnić. W wielu ośrodkach nie prowadzi się pewnych zaznaczonych w ankiecie działów duszpasterstwa. Ksiądz proboszcz wypełniając ją, uświadamia sobie, czy nie należałoby danego rodzaju duszpasterstwa w jego parafii wprowadzić.

W wielu diecezjach przed przybyciem biskupa zjawiają się w parafii przedstawiciele kurialnych wydziałów: administracyjno-gospodarczego, charytatywnego, organistowskiego i innych. Biskup, przed udaniem się w teren, poznaje sprawozdania tych wydziałów. Na

miejscu w parafii interesuje się stanem budynków sakralnych. Ponieważ jednak wizytację administracyjno-gospodarczą wykonali w imieniu biskupa przedstawiciele Kurii, on sam może więcej czasu poświęcić problematyce duszpasterskiej, czyli budowaniu świątyni Boga w duszach i sercach ludzkich. Istotnym bowiem celem wizytacji jest lepsze ukazanie Boga wiernym, doprowadzenie ich do Niego. Wizytujący pasterz czyni to przez różne spotkania z ludem Bożym, grupowe, indywidualne lub masowe, w czasie których modli się i przemawia, odwiedza i błogosławi.

PRZYWITANIE

Pierwsze z tych spotkań, to przywitanie, czasem banderią. Radość na twarzach, uśmiechy, życzliwe spojrzenia. Banderia... Polacy lubowali się w koniach. Chlubę naszą stanowiła husaria, doskonała siła zbrojna, która m. in. wspinała atakowała pod Chocimem (r. 1673) i pod Warszawą (r. 1656). Potem przyszli szwoleżerowie i ułani. Któż z Polaków nie wie o Samosierze? Jeszcze we wrześniu 1939 roku kawaleria właściwie użyta wprowadzała zamieszanie w szeregach nieprzyjaciela.

Ta przyjaźń Polaka z koniem widoczna jest również w czasie wizytacji kanonicznej. Nasi wierni lubią witać lub żegnać biskupa banderią. Wprawdzie koni jest coraz mniej, a młodzik nieobeznany z kunsztem jeździeckim tak się podczas występu napoci, że to długo pamięta, niemniej parafianie dumni są z tego, że biskupa witała banderia. Czasem towarzyszą jej, lub ją zastępują, szeregi samochodów, motocyklistów czy rowerzystów. Ludzie stawiają też niekiedy bramy, zdobią drogi lub mieszkania. Strój ludowy często można oglądać w całej jego krasie.

Wyrażam publicznie uznanie tym, którzy podtrzymują tradycje narodowe i również na uroczystość religijną ubierają się w strój regionalny. Świadczy on przecież o bogactwie naszej kultury. Wierni witają biskupa chlebem i solą, przedstawiciele poszczególnych grup parafialnych wygłaszają przemówienia i wiersze.

Uzdolnieni poeci ludowi prezentują swą twórczość. Wierni przynoszą dużo kwiatów.

Przywitanie biskupa trwa 20 minut, czasem i 40. Niektórzy stawiają w związku z tym pytanie, czy tego zewnętrznego przywitania nie należałoby znieść. Czy to wszystko nie trąci myszką?

Niewątpliwie, cały ten ceremoniał zabiera biskupowi i duchownym cenny czas. Z drugiej jednak strony przemówienia wiernych zawierają w sobie dużo cennych i trafnych myśli teologicznych i religijnych. Związane są zazwyczaj z tym, co podczas wizytacji powinna przeżywać parafia. Głoszone przez wszystkich przedstawicieli ośrodka duszpasterskiego, poczynając od najmłodszych do najstarszych, wraz z całą oprawą folklorystyczną, stanowią również wspaniałe nieraz kazanie wiernych skierowane do wiernych. Dlatego wydaje mi się, że zniesienie uroczystego przywitania i pożegnania biskupa, byłoby niemałą stratą duszpasterską.

Poza tym z setek rozmów z ludźmi wynika, że wysiłek włożony w zewnętrzne przywitanie uważają za przejaw swej religijności, owszem, za akt żywej wiary. Często biskupa widzą po raz pierwszy, nie znają jego nazwiska, ale jedno dobrze wiedzą, że reprezentuje i uzewnętrznia Kościół katolicki wraz z dobrą Nowiną Chrystusową. I dlatego chcą go witać uroczyście.

BIERZMOWANIE

Często podczas wizytacji kanonicznej ma miejsce udzielenie sakramentu bierzmowania. Biskup spotyka się z grupą młodzieży nastoletniej. Zjawiają się i starsi, ale młodzież przeważa. Każdy z nich ma obok siebie świadka bierzmowania.

Na Zachodzie kładzie się duży nacisk na tzw. katechizację okazjonalną. Chodzi o to, by z racji I Komuni św., bierzmowania i zawarcia związku małżeńskiego, dzieci czy młodzież pogłębiali znajomość i przeżywanie prawd wiary. W tym celu dla kandydatów organizuje się odpowiednią ilość godzin katechizacji. Ma miejsce również egzamin. U nas w niektórych diecezjach przy-

jeżdżają delegaci biskupa, by zbadać wiadomości religijne młodzieży, mającej być bierzmowaną. Ale niejednokrotnie biskup czyni to osobiście. Lubię te spotkania, ten dialog, katechizację, czy jak niektórzy mówią, lekcję religii przed bierzmowaniem. Uczniowie i uczennice podchodzą w małych grupach na podwyższenie przed wielkim ołtarzem. Twarzami zwracają się do wiernych, by byli widoczni. Na stawiane przez biskupa pytania odpowiadają do mikrofonu, by wszyscy dokładnie słyszeli. Cisza w świątyni całkowita. Do udziału w dialogu zaproszeni są wszyscy obecni w kościele. Niekiedy świadkowie bierzmowania lub matki pomagają w odpowiedzi, w wyjaśnieniu prawd wiary. Czynią to nawet chętnie. Wrażenie jest bardzo wielkie. Liczni wierni włączeni są w katechizację całkowicie, przeżywają ją i długo pamiętają.

W takim dialogu można się dowiedzieć ciekawych szczegółów o życiu religijnym wiernych. Chłopcy lub dziewczęta bez zająknięcia wyliczą 14 stacji Drogi Krzyżowej i 15 tajemnic różańcowych. Są rodziny, w których pani domu krzając się rano po kuchni śpiewa, czasem z domownikami, godzinki, tak jak to czyniła jej matka i przodkowie. Niektóre rodziny uczęszczają na Drogę Krzyżową, Gorzkie Żale lub według domowego zwyczaju odmawiają codziennie przynajmniej dziesiątkę różańca. Dziewczęta w maju śpiewają pieśni maryjne przy figurkach i krzyżach. Dawna wspaniała tradycja religijna przetrwała tam do dziś. Bywają wypadki, że parafianie przychodzą myć i sprzątać kościół.

Duszpasterze winni się troszczyć o to, by młodzież z małej parafii miała możliwość przyjęcia sakramentu bierzmowania co roku. Taką niedużą grupę młodych można posłać do wyznaczonej parafii w dekanacie.

SPOTKANIE Z LUDEM BOŻYM

Kronikarz parafii Gdów zapisał: „Dnia 11 czerwca 1888 przybył Najprzewielebniejszy Książe Kardynał Ks. Biskup Krakowski Albin Dunajewski z wizytą kanoniczną z Łazan do Gdowa, gdzie zabawił półtora

dnia — udzielił św. Sakramentu Bierzmowania wier-
nym około 2 tysięcy".

Ta krótka notatka jasno mówi, jak inne były warunki duszpasterskie i społeczne wizytacji kanonicznej przed 100 laty. Dziś biskup, chcąc udzielić sakramentu bierzmowania 2000 osób w ciągu półtora dnia, nie miałby czasu na kontakty z poszczególnymi grupami wier-
nych. Trzeba też przypomnieć, że ówczesną wizytację kanoniczną bez najmniejszych trudności można było przeprowadzać w dzień powszedni.

Dziś sprawy przedstawiają się inaczej. Liczni nasi wierni pracują w różnych fabrykach i przedsiębior-
stwach. Nieliczne są parafie, i to wyłącznie wiejskie, w których wizytacja kanoniczna może być przeprowa-
dzana w dzień powszedni. W zdecydowanej większości ośrodków duszpasterskich nabożeństwa wizytacji moż-
na urządzać dopiero w sobotę wieczorem, a przede
wszystkim w niedzielę. Niedziela jest dla biskupa
dniem bardzo pracowitym. Bywa, że głosi słowo Boże
nawet 10 razy. To prawdziwy maraton, olbrzymi wy-
silek psychofizyczny.

Biskup na wizytacji spotyka się, nawiązuje kontakt z różnymi grupami parafialnymi. A więc z małymi dziećmi (do 7 roku życia), z dziećmi szkół podstawo-
wych, z młodzieżą szkół średnich wszystkich typów, z młodzieżą pracującą, z młodzieżą akademicką. Za-
prasza na nabożeństwa małżonków w jednej, dwóch
a nawet trzech grupach, zależnie od wielkości parafii. Osobno gromadzi w kościele osoby w podeszłym wie-
ku, chore, samotne.

Nabożeństwo dla każdej z tych dużych grup obej-
muje Mszę św., kazanie i błogosławieństwo. W słowie
Bożym nie można pominąć obecnych wad naro-
dowych, jakim są pijaństwo, rozprężenie rodziny,
usuwanie ciąży, brak życzliwości, zaniedbywanie
praktyk religijnych. Powyższe tematy sugeruje bisku-
pom Konferencja Plenarna Episkopatu. Koniecznym
elementem wizytacji jest również dokładne przypom-
nienie obowiązków stanowych. Biskup musi poruszyć
sumienia, budzić twórczy niepokój, przekonywać i za-
chęcać do konkretnych postanowień i postaw kato-

lickich. Tkwienie w wadach grozi duchową i społeczną ruiną społeczeństwa a nawet jego zagładą.

Warto na wizytacji tak gospodarować czasem, by go zdobyć na indywidualne błogosławienie wiernych. W Starym i Nowym Testamencie wiele powiedziano na temat błogosławienia ludzi przez ludzi. Nasi praojcowie i rodzice błogosławili swe dzieci przed Pierwszą Komunią św., przed ślubem, przed pójściem do szkoły, przed wyjazdem w świat i przy wielu innych ważnych wydarzeniach życiowych.

Wiernych z poszczególnych grup można indywidualnie błogosławić po nabożeństwach. Są za to bardzo wdzięczni, szczególnie gdy w tę ceremonię odpowiednio się ich wprowadzi. Rodzice bardzo się cieszą, gdy biskup małemu dziecięciu kreśli znak krzyża na czole. Małżonków błogosławi, gdy podali sobie ręce, serdecznie patrzą w oczy, a przedtem odnowili przysięgę małżeńską. I błogosławieństwo młodzieży. Zazwyczaj w kościele jest ciasno, więc są proszeni o wyjście na zewnątrz i ustawienie się szpalerem wokół świątyni. Młodzi otrzymują błogosławieństwo, by w życiu wiodło im się dobrze, by jak najlepiej się uczyli, by uniknęli wypadku przy pracy, by założyli szczęśliwy związek małżeński. Rzecz ciekawa, nigdy nie zdarza się, by młodzi (szkoły średnie, młodzież pracująca i akademicka) poszli do domu i nie czekali na błogosławieństwo. Owszem, cierpliwie i ze skupieniem stoją lub klęczą, aż biskup podejdzie do nich i pobłogosławi każdego indywidualnie. Prace wizytacji są bardzo męczące, ale niosą ze sobą również wiele radości.

Wizytujący pasterz oprócz spotkań w kościele z dużymi grupami (rozpoczęcie wizytacji, jej zakończenie, nabożeństwo dla dzieci, młodzieży, małżonków i chorych) nawiązuje już bardzo bezpośredni kontakt, zazwyczaj w jakiejś salce, z małymi grupami. Przede wszystkim ze służbą liturgiczną ołtarza, a więc z ministrantami, lektorami, scholą, ewentualnie z chórem. Rozmawia z grupą charytatywną, która opiekuje się chorymi, ubogimi, opuszczonymi. Ci ostatni są wszędzie. Myliłby się duszpasterz, który by twierdził, że w jego parafii ich nie ma. Zjawia się też młodzież grupy synodalne, należący do żywego różańca lub

dawnych bractw. Te dwa ostatnie zespoły stanowią najczęściej resztki potężnych dawniej ugrupowań o charakterze modlitewnym i ascetycznym. Ale i dzisiaj, choć nieliczni, modlitwą swą wypraszają Bożą łaskę parafii, Ojczyźnie, wszystkim ludziom.

SPOTKANIE Z DUCHOWNYMI

W wolnych chwilach wizytujący duszpasterz składa wizytę (oficjalną) księdzu proboszczowi, księżom wikariuszom, katechetom i innym pracownikom parafii, mieszkającym niekiedy poza plebanią. Na pewno te spotkania, a szczególnie z proboszczem i wikariuszami, posiadają wyjątkową wagę. Niewiele co prawda zostaje na nie czasu, jeśli ze świeckimi wiernymi chce się nawiązać żywszy kontakt. Ale przed wizytacją biskup mógł z księdzem proboszczem długo omawiać problematykę jego ośrodka duszpasterskiego, a czego jeszcze nie dokonał w pełni przed i w czasie wizytacji, może później uzupełnić w Kurii.

Z księżmi parafii i dekanatu jest okazja towarzyskiego spotkania się przy stole, szczególnie z racji rozpoczęcia wizytacji i jej zakończenia. Nie można na to żałować czasu. Dzielimy się wówczas swoimi radościami i smutkami, osiągnięciami i przegranymi duszpasterskimi. Wieczera spożyta w miłym nastroju pogłębia jedność i wzajemne zaufanie braci kapłańskiej.

Rozmowa z księdzem emerytem mieszkającym na plebanii, w której gospodarował kilkanaście czy kilkadziesiąt lat, nasuwa głębokie refleksje. Między dawnym a nowym proboszczem, pozostającymi w tej samej parafii, powinno być podobnie jak między ojcem a synem na tej samej gospodarce, czy w tym samym zakładzie pracy.

Już w seminariach tak trzeba młodych wychowywać, by za rzecz normalną uważali pozostawienie dawnego proboszcza na plebanii. Może to okazać się dobre i korzystne nie tylko dla poprzedniego duszpasterza, lecz również dla nowego i dla wiernych. Niekiedy dotychczasowy proboszcz jest de facto twórcą parafii pod

względem gospodarczym, a przede wszystkim duchowym. Przed 20 czy 30 laty nie było nic, lub prawie nic, a teraz jest prawie wszystko. Kościół, plebania, salki. W licznych Mszach i innych nabożeństwach uczestniczą tłumy wiernych. Tysiące dzieci i młodzieży poprzez katechizację coraz ściślej stają się Mistycznym Ciałem Chrystusa. Parafia tętni życiem. Gdziekolwiek organizator parafii spojrzy, wszędzie widzi owoce swego wysiłku i trudu. Daje mu to wiele radości.

I z racji psychologicznych nie należy wykorzeniać człowieka, który tak bardzo wrósł w duszpasterską glebę. Dlatego rządzący diecezją, przysyłając tam nowego administratora pytają, czy potrafi znaleźć wspólny język z dotychczasowym proboszczem, tak bardzo zasłużonym. Kandydat na takie probostwo, wybierając dobrowolnie, zazwyczaj czyni potem wszystko, by współzycie z poprzednikiem ułożyło się jak najprzyjaźniej. I bardzo często tak jest. Dawny i nowy proboszcz żyją w najlepszej przyjaźni. Starsuszek zazwyczaj spowiada, może pojechać do chorego lub zastąpić w dyżurze, pomagając w ten sposób nowemu gospodarzowi. Obydwom jest dobrze. Wierni też są zadowoleni z dalszej obecności swego starego pasterza i ojca duchownego, z którym tak wiele ich łączy. Jakże często na wizytacji jestem świadkiem budującego rozwiązania problemu między tymi, którzy musieli odejść, a tymi, którzy przyszli. W pewnych wypadkach dawny proboszcz po uzgodnieniu z nowym, opuszcza plebanie, przenosi się do innego mieszkania na terenie parafii. Tak też może być dobrze.

Ale nie zawsze tak bywa. Święci i sprawiedliwi mają różne temperamenty, charaktery, sposoby bycia i przyzwyczajenia. Stąd zdarza się, że zasłużony proboszcz opuszcza parafię, przenosząc się do swych krewnych, przyjaciół lub do domu emerytalnego. Każda diecezja powinna mieć taki dom spokojnej starości, jak to się dzisiaj eufemistycznie określa.

Po tej dygresji wracam na szlak kanonicznej wizytacji. Wypada, by biskup złożył choć krótką wizytę (co za wyścig z czasem!) kościelnemu i organiście.

Niekiedy zakrystia i kościół naprawdę świadczą o kościelnym. Porządek i elegancja widoczne wszędzie.

Sumienny kościelny zaoszczędza administratorowi parafii dużo cennego czasu.

W małych parafiach organista pracuje zawodowo. Zajęcie w kościele stanowi dla niego uboczną pracę. Stąd jego przygotowanie muzyczne pozostawia niekiedy dużo do życzenia. Ale warto podjąć trud i ułatwić mu studia. Czasem natura obdarzyła go znakomitym słuchem. Doskonale prowadzi śpiew odrodzonej liturgii. W niedużej parafii na Podhalu lud śpiewa cudownie. Czysto, dźwięcznie, równo, z wiarą i przejęciem. Mam ten śpiew nagrany. Wyjątkowo dobrze wychodzi im „Chwała na wysokości”. Chciałbym na drugi świat przechodzić przy tym śpiewie.

NA TERENIE PARAFII

W pewnym momencie biskup opuszcza kościół i plebanię, by udać się na teren parafii.

Wizytuje w pierwszym rzędzie punkty katechetyczne. Gromadzą się przy nich dzieci i starsi, mniej lub bardziej licznie, zależnie od tego, czy są jednocześnie zajęci w szkole lub zakładach pracy. Program bywa różny, czasem bogaty i urozmaicony, w zależności od osobowości księdza katechety. Często ma miejsce modlitwa, śpiew, wiersze, kwiaty, czasem katecheza. Biskup m. in. dziękuje właścicielom domu za użyczenie pomieszczeń na katechizację. Wspomnienia z tym związane nie zawsze są pocieszające. I u nas materializm praktyczny, konsumpcyjny styl życia coraz bardziej się uwidaczniają. Niektórzy bowiem mają na wsiach czy w osiedlach nowoczesne, obszerne, piękne domy, ale izby dla celów katechetycznych nie użyczą. Dlatego nauczanie religii odbywa się w pomieszczeniach raczej skromnych, czasem ubogich. Przypomina się tu trochę wędrówka Maryi i Józefa, którzy nie mogli dla siebie znaleźć miejsca w Betlejem. Jak to często bywa, najubożsi są najofiarniejsi. W Wierzbanowej, w parafii Wiśniowa, ojciec dziewięciorga dzieci odstąpił izbę na katechizację, a sam z rodziną zadowala się dwoma niedużymi pomieszczeniami. Najstarsza z córek jest w klasztorze i jako zakonnica pracuje w katechizacji.

W swej wędrowce po parafii biskup odwiedza również chorych. Oczywiście tych obłożnie chorych, którzy nie mogą opuścić mieszkania. Lżej chorych parafianie mają obowiązek przywieźć lub przyprowadzić do kościoła na specjalnie dla nich przeznaczone nabożeństwo. Biskup oraz księża parafialni mocno podkreślają wobec dzieci, młodzieży i starszych tę akcję wizytacyjną na rzecz chorych. Chodzi o dowartościowanie, o zwrócenie uwagi na tych naszych braci, którzy fizycznie czy umysłowo nie mogą już pracować. Znaleźli się poza kręgiem ludzi aktywnych i normalnie pracujących. A różnie tu bywa. W pierwszych tygodniach czy miesiącach obłożnej choroby na ogół rodzina pamięta o cierpiącym. Ale powoli przychodzi zobojętnienie na los człowieka sparaliżowanego lub, z powodu innych chorób, nie mogącego nawet przejść się po pokoju. Warunki higieniczno-sanitarne nierzadko są fatalne, nawet wtedy gdy biskup i sąsiedzi się zjawiają. Takie są realia życia. Na nowo potwierdza się przysłowie, że starość (czy choroba) to nie radość. Ale systematyczna i cierpliwa praca chrześcijaństwa musi eliminować znieczulicę i obojętność na los człowieka cierpiącego, upośledzonego.

Ludzie w chorobie lub starości na ogół są takimi, jakimi byli w życiu, gdy cieszyli się zdrowiem. A więc pogodni lub przygnębieni, władczy lub spokojni. Niektórzy chorzy jak tylko mogą pomagają otoczeniu do ostatniej chwili. Duszpasterze, życzącym sobie tego, roznoszą Komunię św. szczególnie z okazji pierwszego piątku. Niekiedy słyszy się zdanie, że odkąd chory zaczął prowadzić głębsze życie religijne, charakterologicznie zmienił się bardzo na korzyść. Żywo utkwily mi w pamięci odwiedziny u pewnej chorej na terenie parafii Wszystkich Świętych w Krakowie. Po urodzeniu córki, od 19 już lat przykuta jest do wózka. Idąc do chorej razem z ks. proboszczem, z zakonną opiekunką i dwoma klerykami wprawiającymi się w praktyczne duszpasterstwo, zastanawiałem się nad tym, co by jej pogodnego powiedzieć. Ale od pierwszej chwili to właśnie ona nas rozweselała i zabawiała. Wyszliśmy od niej pod wrażeniem jej osobowości, uradowani i podniesieni na duchu. Wskazała na pięć modlitewni-

ków podarowanych jej przez bliskie, najdroższe sobie osoby. Wyraźnie podkreślała, że modlitwa i myśl o Bogu dają jej radość życia.

Na terenach naszych parafii można znaleźć wiele miejsc, uświęconych krwią bohaterów narodowych. Odwiedzam je zawsze, idę tam z modlitwą. Np. w parafii Niepołomice, w puszczy o tej samej nazwie, znajdują się dwie zbiorowe mogiły. W pierwszej z nich spoczywa ok. 1000 Polaków, zamordowanych przez hitlerowców w r. 1943. Tego mordu dokonali oprawcy po kryjomu, a na mogile posadzili młody las. W drugim miejscu zbrodni znajdują się szczątki ok. 700 Żydów, zamordowanych w r. 1942. Tej zbrodni hitlerowcy specjalnie nie ukrywali. Niedaleko stąd w Staniątkach blisko toru kolejowego przy wiadukcie mogiła kryje kości 50 Polaków. Rozstrzelano ich jako odwet za zamach tajnej organizacji na pociąg, którym Generalny Gubernator Frank udawał się na Wschód.

Mogiły zbiorowe są też w Liszkach, w Radwanowicach, w Kaszowie, Wiśniowej, Woli Justowskiej oraz setkach innych miejscowości diecezji krakowskiej, podobnie jak w całej Polsce. Gestapowcy przy dokonywaniu morderstw mieli wypracowany i wypróbowany proceder. Otóż najpierw w nocy otaczali wieś. Nikt nie mógł się wymknąć. Nad ranem szli od domu do domu. Mieszkańców spędzali na jedno miejsce, zazwyczaj na jakąś łąkę. Kazali im leżeć. Mieli też listę, a na niej dokładnie wypisane nazwiska członków tajnej organizacji oraz numery ich domów. Lista obejmowała kilkunastu czy kilkudziesięciu mężczyzn. Najczęściej w jakiejś stodole torturowano ich straszliwie, by wydobyć z nich dane dotyczące organizacji. A potem kładziono ich równo rzędem i strzałem w tył głowy pozabawiano życia. W końcu rzucono do dołu i zalewano wapnem. Rozmawiałem z matkami i żonami, które w ten sposób straciły swoich synów i mężów. Mówiły mi te kobiety, że gestapowcy aresztowali według listy, na skutek donosu. Modląc się za pomordowanych, nie mogłem się wyzbyć natrętnej myśli o człowieku-zdrajcy, który może za marny ochłap przygotował swym braciom tak okrutny los.

W ramach akcji budzenia powołań, biskup odwiedza

rodziny kapłanów, zakonnic i kleryków. Wypada przecież okazać im szacunek, wdzięczność i uszanowanie. Ich pobożność zrodziła i przekazała Kościołowi głosiciela lub głosicielkę Ewangelii.

Wobec stałego starzenia się narodu polskiego, a równocześnie lekceważenia a nawet pogardy ze strony niektórych dla rodzin wielodzietnych, trzeba podkreślać ważność takich właśnie komórek społecznych i odwiedzając podziękować za trud wychowania gromadki młodych obywateli dla Ojczyzny i Kościoła.

Prawie nigdy nie opuszcza biskup domów sióstr zakonnych. Pracują one w parafii jako katechetki, kancelistki, opiekunki chorych i ubogich, zakrystianki, organistki. Pragnąc proboszcza odciążyć trochę w trudzie wizytacji kanonicznej, zapraszają go wraz z księdzem biskupem i księżmi współpracownikami na obiad czy kolację. Okazuje się, że niektóre z nich, jako dawne kierowniczkki lub nauczycielki szkół gospodarczych, są niedościgłe w sztuce kulinarnej. W konkursie tej sztuki zdobyłyby nie złotą, ale platynową patelnię.

Niekiedy zgłaszają się do biskupa delegacje (zjawiają się one również w Kurii) z prośbą o utworzenie w ich osiedlu czy w dzielnicy nowego ośrodka duszpasterskiego — rektoratu lub parafii. Prośbę swą uzasadniają najczęściej dużą odległością do obecnego kościoła, która wynosi 3—8 kilometrów.

Trudność tkwi w braku duszpasterzy. Często bowiem taka wioska liczy 400 do 600 wiernych. Stanowiłoby to pewnego rodzaju luksus, by tak mała grupka miała własnego kapłana. Z punktu widzenia duszpasterstwa byłby to bardzo dobry stan. W praktyce bywa tak, że jeden duszpasterz obsługuje 2 do 4 takich punktów. Nie jest to dobre ani dla kapłana, ani dla wiernych. Władze diecezjalne odpowiedzialne za tworzenie nowych punktów duszpasterskich muszą brać pod uwagę odległość, warunki komunikacyjne, ilość wiernych, ich zaangażowanie, perspektywy rozwojowe miejscowości i inne jeszcze elementy. Decyzję trzeba dobrze wyważyć, bo od właściwej lub nieodpowiedniej lokalizacji świątyni tak dużo zależeć będzie w duszpasterstwie przez całe dziesiątki lat.

Model opisanej pracy wizytacyjnej bardzo dobrze nadaje się do parafii wiejskiej i małego miasta, do ośrodków liczących do 10 tysięcy ludzi, gdzie pracuje jeden, dwóch lub kilku księży. W parafii miejskiej i wielkowiejskiej wizytacja przybiera nieco inny charakter, choć niewiele odbiega od poprzedniego.

Nasze obecne parafie miejskie i wielkowiejskie są podwójnego typu. Jedne z nich liczą dziesiątki a nawet setki lat. Inne, a jest ich niemało, obejmują nowo powstające osiedla mieszkaniowe. W dawnych parafiach istnieje dobra, duszpasterska tradycja i opinia katolicka, choć nie tak żywa jak w parafiach małych miast i wiosek. Natomiast w nowych osiedlach, a nawet w poszczególnych blokach, ludzie znają się bardzo mało, słabo ze sobą się kontaktują. I stąd nie można tu mówić o oddziaływaniu środowiska, o wzajemnym przykładzie życia religijnego. Nowo osiedlający się tu wierni są wykorzeni z swego naturalnego środowiska duszpasterskiego, w którym przyjęli I Komunię św., uczęszczali na katechizację, na nauki przed bierzmowaniem czy małżeństwem, gdzie mieli przykład rodziny, kolegów czy sąsiadów. W nowych osiedlach blokowych są ludzie, którzy żyją bez ślubu kościelnego, choć nie mają żadnych przeszkód, by stanąć na ślubnym kobiercu. W środowisku, gdzie istnieje tradycja i opinia katolicka, zapewne zawarliby ślub kościelny.

Dlatego przebieg wizytacji kanonicznej nie jest tu tak spontaniczny i uzewnętrzniiony. Powitanie czy pożegnanie mają dość szczupłe ramy. Niemniej wierni przeżywają swą wizytację. Ich religijność bowiem pochodzi z całkowicie wolnego wyboru. Jest wynikiem przemyśleń a nie oddziaływania społecznego. W ośrodkach wielkowiejskich, bardzo często wśród inteligencji, ludzie w sposób autentyczny i niekiedy wzruszający poszukują Boga, wiedzeni wewnętrzną potrzebą swej duszy i serca. Ich katolicyzm jest dojrzały i więcej pogłębiony, niż tych, którzy wypełniali obowiązek Mszy św., by nie sprawić przykrości rodzicom. Obser-

wujemy przykłady wspaniałego, religijnego zaangażowania.

Z czasem i w nowych osiedlach, gdy ludzie poczują się stałymi już mieszkańcami, gdy trochę ze sobą się zaprzyjaźnią, a kapłani gorliwie pracują, wytwarza się wspólnota religijna, parafialna, poczucie więzi i jedności.

Wśród wiernych parafii wielkowiejskich, którzy czekają na swego biskupa i pragną pogłębić wiarę w Boga, biskup i tu musi odprawić wizytacyjny maraton. I tak np. kardynał K. Wojtyła, obecnie miłościwie nam panujący Ojciec św., wizytował w Krakowie w roku 1969 parafię p. w. Matki Boskiej Lurdeńskiej. Według notatki „Tygodnika Powszechnego” z dn. I. II. 1970 r. w czasie tej wizytacji, trwającej cały grudzień „Ksiądz Kardynał odprawił lub wziął udział w 43 nabożeństwach i spotkaniach, podczas których wygłosił 22 kazania i konferencje oraz spowiadał. Kardynał Wojtyła wizytował Ośrodek Katechetyczny; kilka razy spotkał się z młodzieżą, która po brzegi wypełniała kościół. Błogosławił małżonków w trzech grupach. Wziął udział w nabożeństwie dla osób chorych i starych oraz odwiedził 35 obłożnie chorych. Odbyły się też osobne spotkania z inteligencją. Do każdej z tych grup wygłosił przemówienie. Spotkał się z ministrantami, z grupami różańcowymi oraz chórem parafialnym. Odwiedził domy zakonne, mieszkania księży i pracowników parafialnych. Ksiądz Kardynał zaprosił do katedry na pierwszy dzień Bożego Narodzenia wiernych wizytowanej parafii i odprawił Mszę św. koncelebrowaną z księżmi tej parafii”. Notatka powyższa nie wylicza wszystkich prac, które ksiądz Kardynał wykonał.

Parafie wielkowiejskie mają swoją specyfikę. Większość kościołów znajduje się w centrum, niekiedy nawet w rejonie dawnych murów obronnych. W Krakowie, na terenie Starego Miasta wznoszą się 24 kościoły. Sześć z nich pomieści po kilka tysięcy ludzi. Ale na tym teretorium mieszka tylko około 50 tysięcy ludzi. Wyłania się problem kosztownej konserwacji tych niepowtarzalnych w naszej architekturze obiektów budownictwa sakralnego. Dobrze gdy wierni finansowo współpracują z urzę-

dem konserwatorskim w zachowaniu dla kultury narodowej zabytków, których historia niewiele nam zostawiła. Podobnie przedstawia się sprawa rozmieszczenia starych świątyń w Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu, Gdańsku czy Lublinie.

W związku z budową nowych osiedli, na obrzeżach wielkich miast, wyłania się też bardzo ważny problem duszpasterski. Wierni z odległych dzielnic nie mają ochoty pokonywać dłuższych odległości, by dostać się do świątyń w centrum miasta. Trzeba temu zaradzić.

ODSZEDŁ PASTERZ DOBRY

(Wspomnienie o śp. ks. Stanisławie Słonce)

I

Za chwilę parafianie poniosą ze świątyni na cmentarz doczesne szczątki swego duchownego Ojca. Wierni dopisali. Kościół nabity. Plac między świątynią a ulicą wypełniony. Na chodnikach po obydwu stronach jezdni w kierunku Soły na przestrzeni kilkuset metrów mrowie ludzi. Było ich tysiące. Skupione twarze mówiły, że to nie przygodni gapie i ciekawscy, lecz ci, którzy przyszli oddać ostatnią przysługę swemu Pasterzowi. Mimo że nabożeństwo trwało dość długo, prawie wszyscy udali się na cmentarz.

Gdy kondukt ruszył, na ruchliwym szlaku komunikacyjnym spontanicznie stanęły wszelkie pojazdy, choć ich nikt nie zatrzymywał. Balkony i schody oblepione ludźmi. Gdzieś z boku odezwała się syrena. Na wielu twarzach dyskretnie ocierane łzy.

Turysta lub przybysz z daleka, widząc te masy ludzkie skupione, poważne, rozmodlone, na pewno pomyślał sobie, że odchodzi ktoś zasłużony i kochany. I gdyby turysta zapytał uczestnika pogrzebu, kto to odbywa tak dostojnie swą ostatnią drogę, usłyszałby odpowiedź: to nasz proboszcz, ks. prałat Stanisław Słonka.

Zmarł w sobotę, dnia 5 lipca 1975 r., w 77 roku życia. Był proboszczem w parafii Żywiec-Zabłocie i dziekanem dekanatu Żywiec 2. Przeniesienie śp. Zmarłego z plebanii do kościoła odbyło się w poniedziałek, dnia 7 lipca o godz. 16. Nabożeństwu żałobnemu przewodniczył ks. bp Jan Pietraszko w asyście ks. bpa Albina Małysiaka. Właściwe uroczystości pogrzebowe miały miejsce dnia następnego, również o godz. 16. Przewodniczył im J. Em. Ks. Kardynał K. Wojtyła, obecny Ojciec

św., w asyście ks. bpa A. Małysiaka. Mimo iż była to pełnia urlopów i niektórzy księża dopiero później dowiedzieli się o śmierci ks. Słonki, na eksportę przybyło ich ponad 70, a na pogrzeb 126.

II

Przestało bić gorące serce, przestał pracować wielki umysł. Z ks. Słonką spotkałem się po raz pierwszy jako neoprezbiter w r. 1941. Przeprawiwszy się z Generalnego Gubernatorstwa przez zieloną granicę do tak zw. Reichu, chciałem w Zabłociu odprawić Mszę św. Ksiądz proboszcz przeglądając dokładnie me dokumenty, równocześnie kierował ku mnie życzliwe spojrzenia. Ponieważ nie było już ministranta, sam z największą pobożnością posłużył do Mszy św. Zaraz też bardzo serdecznie poprosił na śniadanie. Na plebanii z miejsca uderzyła mnie jego ogromna gościnność, dobroć, prostota. I tak już odtąd było przez 33 lata. Odwiedzałem go w ciągu tych lat dość często i nie zdarzyło się, by nie prosił do siebie. Starał się osobiście prowadzić na plebanie. Gdy czasem musiałem się wyśmówić od śniadania, był wyraźnie nierad. Wiem, że tak samo przez całe życie odnosił się do wszystkich, którzy w Zabłociu celebrowali. A kapłanów zgłaszało się tam wielu, bo blisko plebanii znajduje się ruchliwy dworzec kolejowy i autobusowy.

W czasie okupacji hitlerowskiej, przed lub po Mszy św. przychodziły do zakrystii lub na plebanie kobiety z płaczem, że syna gestapo aresztowało, że mąż w obozie zginął. Prosiły o modlitwę, o Mszę św. A ks. Słonka modlił się całą żarliwością swego serca. Odprawiał Msze św. o zmiłowanie Boże. I pocieszał. A umiał On to czynić wspaniale. Po ojcowsku, serdecznie, ciepło, z cierpliwością. Uczył w prostych słowach wiary w Boga, wszczepiał ufność. Napęłniał serca pogodą tak, że skrzywdzeni ludzie ocierali łzy, spoglądali jaśniej w przyszłość.

Kto te czasy pamięta, dobrze wie, jak ciężka była czarna noc okupacji hitlerowskiej. Urzędowa propaganda bardzo mocno podkreślała, że Polska raz na zawsze została wykreślona z mapy Europy, a siedzibą

wszystkich Polaków jest Generalne Gubernatorstwo pod protektoratem Niemiec. Jednak kto z ks. Słonką rozmawiał o sprawach Ojczyzny, odchodził z niezłomnym przekonaniem, że Ona jeszcze nie zginęła i na pewno żyć będzie. Zabłociański duszpasterz wraz ze swymi wiernymi szczególnie podczas nabożeństw, w sposób oczywisty zaświadczał, że Polska jeszcze istnieje.

Ks. Słonka często odwiedzał chorych. To osobna, piękna karta w jego duszpasterskim życiu. Zdarzało się, że niekiedy towarzyszyłem Mu w odwiedzinach chorych. Jechaliśmy przez Zabłocie bryczką. Ubrani w sutanny łatwo zwracaliśmy na siebie uwagę. I wtedy Polacy, stanowiący zdecydowaną większość na ulicy, gremialnie kłaniali się polskiemu kapłanowi. A ks. Słonka wszystkich pozdrawiał, do każdego się uśmiechał. Niemcy patrzyli na to z największą irytacją. Nie podobała im się ta manifestacja polskości, ta popularność polskiego kapłana. Zwracał na siebie baczność okupanta. Dlatego musiał uciekać w okolice Sandomierza. Był zresztą generalnym kapelanem AK na Górny Śląsk.

III

Ks. Słonka przez długie lata budował materialną świątynię Bogu. Budował kościół materialny.

Do Zabłocia przyszedł w r. 1937. Jego poprzednik ks. Michał Trzop wyciągnął mury powstającej świątyni do połowy. Nowemu rektorowi Ks. Słońce do wybuchu wojny udało się podciągnąć mury do właściwej wysokości, zespolić je stropem, przykryć dachem. Później położył tynki, posadzkę, założył instalację głośnikową i wiele pomniejszych urządzeń w kościele i zakrystii. Po zakończeniu wojny zbudował wysoką wieżę. Pochloneła ona tyle materiałów budowlanych, ile cały kościół. Ale ks. proboszcz mówił z uśmiechem: „niech strzela w górę, niech przypomina nam Boga i niebo”. Wieżę wzbogacił trzema dzwonami i zegarem. Sprawił nowe, wspaniałe, trzydziestogłosowe organy, również nowe ołtarze, witraże, polichromię. Zbudował salki katechetyczne. A jak pięknie urządził cmentarz. Powięk-

szyl plebanie budujac w niej mieszkania dla ksiezy wikarych. Kochal zieleń i kwiaty. Juz w czasie okupacji zagracony plac przykościelny zmienil w piękny park. Wychowywal wiernych do ofiarnosci. Urzadzal loterie fantowe w celu zdobycia pieniedzy na budowe. Na zewnetrznych scianach kościelnych sa liczne tablice z nazwiskami ofiarodawcow.

Przed wojna znakomicie prowadzil organizacje katolickie. Opiekowal sie straza poezarna. Ukochal folklor ludowy. Czesto zachecal, by nie zarzucać pięknego stroju zywieckiego, bo ubogaca on nasza polska kulture. Wiernych ubranych w stroj zywiecki wysylal na majowa procesje z Wawelu na Skalkę. Zywczanki w swych strojach towarzyszyly mu w ostatniej drodze na cmentarz.

IV

Najintensywniejszy wysilek wkladal jednak ks. Slonka w budowanie Królestwa Chrystusowego w duszach ludzkich.

Podprowadzal ludzi do Boga i przyblizal im Go przykladem swej wielkiej, autentycznej poboznosci. Odprawianie Mszy sw. stanowilo dla niego wielkie przezycie. Nigdy sie nie spieszyl. Z kazdego slowa i ruchu emanowalo skupienie i zywa wiara w sakramentalna obecnośc Chrystusa na naszych oltarzach. Konfesjonalu pilnowal wyjatkowo sumiennie. Przez dziesiatki lat, prawie do swej smierci, przed i po Mszy sw. zasiadal do spowiadania. Byl stalym spowiednikiem i wytrawnym ojcem duchownym dziesiatkow dusz, ktore szukaly wyzszego szczebla doskonałości. Jego kazania byly proste, przepojone uczuciem, podbudowane zdrowym rozsadkiem, oparte na wiedzy teologicznej. Przemowieniami swymi wywieral glęboki wplyw na sluchaczy. Byl dobrym i cenionym przez nich kaznodzieja. Do gloszenia slowa Bozego przygotowywal sie sumiennie, co niejednokrotnie zaznaczal w rozmowach. W trosce o dobre wyniki rekolekcji czy misji, juz na dwa lub trzy lata przed terminem zamawial kaznodziejow.

Kochal mlodzię i lubil prace katechetyczna. Tu rowniez posiadal wybitne doswiadczenie, umiejetności pe-

dagogiczne i wprawę. W kancelarii parafialnej każdy interesant widział w nim nie urzędnika, lecz kapłana i prawdziwego ojca. Był nim szczególnie dla tych, którzy przychodzili z wiadomością o śmierci swych najbliższych i w sprawach pogrzebowych. Na jego kancelarii parafialnej nie widziało się dodatkowego ogłoszenia o duszpasterskiej, psychologicznej poradni. Niemniej wierni Zabłocia jakżeż często otwierali przed nim swe serca z pozazdrosczenia godnym zaufaniem i szczerością. A ks. Słonka dla każdego umiał znaleźć właściwe słowo i dobrotliwe spojrzenie. Rozmawiając z interesantami używał często zdrobniałych imion np.: „niechże kochany Franiu, niechże Haneczka się nie smuci, Pan Jezus na pewno pocieszy”.

Przykładem swej pobożności i pracy dopełniał wychowania kilkudziesięciu swych współpracowników, wikariuszów kolejnie do niego przeznaczonych. Był dla nich prawdziwym ojcem. Wielką przyjaźnią otaczał też kapłanów rodaków i cieszył się nimi. Utrzymywał z nimi korespondencję, zapraszał na uroczystości parafialne, ze słowem Bożym lub w celach towarzyskich. Serdecznie odnosił się też do kleryków pochodzących z jego parafii. Również liczni księża-goście już po kilku minutach orientowali się, że jego plebania, to dom staropolskiej gościnności, a proboszcz szczerze cieszy się z ich przybycia. Był przy tym pogodny i dowcipny. Szybko wytwarzał nastrój rodzinny. Także rodzice kapłanów rodaków i ich krewni byli wysoko cenieni przez ks. proboszcza. Cieszyli się jego specjalnymi względami.

Umiał docenić pracę sióstr zakonnych. Dzięki ich zapobiegliwości wiele czasu i energii mógł poświęcić bezpośredniej pracy duszpasterskiej. Zmarł prawie na rękach sióstr. One podały mu krzyż do ostatniego ucałowania. Gdy z sił opadał, stały przy nim wiernie na wzór niewiast przy krzyżu Chrystusowym.

Z parafianami swymi prowadził olbrzymią korespondencję. Pismo miał wyraźne. Listy wysyłał prawie do końca swego życia. Z życzeniami imienninowymi, świątecznymi lub kondolencje. Wiernych-cierpiących lub szczególnie zasłużonych dla parafii zaszczycał swymi odwiedzinami.

Ks. Słonka wart jest osobnej monografii. Na powierzonych sobie placówce był postacią wybitną i niezwykłą. Ówczesny Ks. kardynał K. Wojtyła w swym przemówieniu stwierdził, że odszedł prawdziwy ojciec parafii i człowiek wielkiego serca, który Ziemię Żywiecką pokochał miłością gorącą i uczynną. Oddał jej wysiłek prawie całego życia. W ogóle odznaczał się wielką pracowitością. Ona to, mówił Ks. Kardynał, kazała mu pełnić obowiązki do ostatnich prawie godzin, choć już sił brakowało. Włączywszy się raz w rytm Bożej pracy, niełatwo mógł się z niej wyłączyć.

Ksiądz dziekan Stanisław Szlachta, w pełnej uczucia mowie, nakreślił potrójną drogę Śp. Prałata: radosną, bolesną i chwalebą. Mówił o jego odważnym patriotyzmie. Przedstawiciel laikatu i bliski współpracownik Zmarłego wołał ze łzami: „Módl się za nami do Boga”.

W dniu przeniesienia ciała do Kościoła wierni aż do 21 godziny modlili się w świątyni, śpiewali, trwali przy swym Pasterzu. W dniu pogrzebu, mimo wielkiego upału, musiano otworzyć trumnę, gdyż ludzie po raz ostatni chcieli spojrzeć w twarz ukochanego Ojca.

Pogrzeb powiedział nam wiele. Ludzie żywieccy nie są skłonni do zbyt żywiołowego wyrażania emocji. A jednak dopisali wspaniale. Szybko bowiem zapomnieli o fizycznym niedołęstwie swego duszpasterza, szczególnie podczas ostatnich miesięcy. Przypomnieli sobie natomiast Jego wspaniałe życie. Spontanicznie przyszli, by żegnać Go serdecznie, by oddać Mu ostatnią przysługę. Przyszli manifestacyjnie. Wielu duchownych zauważyło, że rzadko który kapłan miał tak wspaniały pogrzeb.

Niełatwa to sprawa być ojcem i wodzem duchownym grupy społecznej. Ks. Słońce to się udało.

Ks. Prałat przez całe życie przyciągał ludzi swą duszpasterską osobowością. Na ostatnią swą drogę też ich sprowadził. Wygłosił w ten sposób jeszcze jedno kazanie o konieczności życia z wiary.

PEWIEN STYL ŻYCIA

I

Droga z Krakowa na Zakopane prawie pusta, jakby wymieciona. Nic dziwnego. W telewizji przecież transmisja olimpijskiego meczu piłki nożnej Polska — RFN. Pomyślałem sobie, że w niezbyt właściwym czasie zaplanowaliśmy posługę biskupa w parafii Leńcze. Gdy jednak zjawiłem się w świątyni była wypełniona po brzegi. Zadziwiła mnie pobożność tych ludzi. Niedługo potem, w czasie wizytacji kanonicznej tej parafii, byłem również świadkiem znakomitej frekwencji wiernych na wszystkich nabożeństwach. Przeżywali wizytację. Razem z proboszczem stwierdziliśmy wielki wpływ, jaki na tę parafię wywarł poprzednik. Kapłan bardzo prosty i głęboko pobożny.

Ś.p. ksiądz Kacper Puchalski, bo o nim tu mowa, urodził się w roku 1908 w Wawrzeńczycach. Święcenia kapłańskie otrzymał w roku 1938. Zmarł 20 kwietnia 1978 r. Przed przyjściem do Krakowskiego Seminarium Duchownego ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, zdobywając stopień magistra. Był najpierw wikariuszem w krakowskich parafiach św. Kazimierza i św. Szczepana. Obowiązki administratora parafii w Leńczach spełniał od roku 1946 do 1972. Następnie przebywał jako rezydent w Przytkowicach. Stąd też odszedł do Pana.

Z konfesjonału wychodził ostatni. Na spowiedziach rekolekcyjnych czy odpustowych przystępują do sakramentu pokuty setki, czasem tysiące ludzi. Spowiednicy widząc, że czas wyznaczony na spowiedź już skończony i nie mając już penitentów, opuszczają zazwyczaj konfesjonał. Spóźnialscy jednak zawsze się znajdują. I wówczas do kapłana, który jeszcze spowiada

dochodzą następni opóźnieni penitenci. W rezultacie spowiednik taki pozostaje w konfesjonale znacznie dłużej. Tak zawsze czynił ksiądz Puchalski. Przyszędłszy na plebanię do zgromadzonych księży, miał minę przepraszającą za spóźnienie, a przecież on pracował, również za innych.

Czytał bardzo dużo. Orientował się dobrze w bieżących świeckich problemach, biegły był w zagadnieniach teologicznych, a przede wszystkim w sprawach życia ascetycznego. Nigdy tego nie zaznaczał, nie podkreślał, nie narzucał swego zdania. Kazania pisał do końca życia. Czynił notatki z odprwianych przez siebie rekolekcji, z życia wewnętrznego, zapisywał postanowienia. Kontaktował się z zakonnikami klasztorów kontemplacyjnych.

Miłosierdzie stanowiło jego szczególnie umiłowaną cnotę. Miejscowy lekarz opowiadał, że ksiądz Kacper co pewien czas doręczał mu pieniądze z prośbą, by odwiedził wskazanych przez siebie ubogich parafian. Bezwzględnie zastrzegał sobie sekret. Odwiedzał chorych księży, gdy tylko dowiedział się o ich niedomaganiach. Wspomagał ich finansowo. Po wizytacji kołodowej zanosił jakąś kwotę do klasztoru na kształcenie kleryków.

Przede wszystkim jednak był mężem umartwienia. Pracując do ostatniej minuty w kościele, często spóźniał się na posiłki. Ale i wtedy zamiast usiąść i pożywić się, z radosną miną starał się innym usłużyć, podać wazę czy półmisek. Uśmiechał się przy tym i żartował. Zachwalał jedzenie, że doskonale, że smaczne i podchodząc do kolegów zachęcał do posiłku. Sam jadł bardzo mało, udawał, że nabiera na talerz, odwracając przy tym od siebie uwagę. Dziękował w kuchni za dobrze przyrządzony obiad, z czego personel był zadowolony. Wszystko to było u niego bardzo proste i naturalne, bez najmniejszego cienia sztuczności.

Umartwienie jego przekraczało zwykłą normę. Było też doskonale ukryte. W niedzielę, dnia 23 kwietnia 1978 r. zakończyłem w Kalwarii Zebrzydowskiej wizytację kanoniczną wcześniej, by udać się do położonych niedaleko Przetkowic na uroczystości pogrzebo-

we ś.p. ks. Kacpra Puchalskiego. O godzinie 18-tej wierni wypełnili szczerze świątynię. W uroczystej procesji żałobnej przenieśliśmy zmarłego z plebanii do kościoła. Księża zjawili się licznie.

Dziekan z Kalwarii, ks. Stanisław Szlachta prosił, by mógł krótko przemówić do ludzi na początku Mszy św. Gdy zabrał głos powiedział wiernym, że pragnie na trumnie Zmarłego umieścić pewne odznaczenia. Ale są to odznaczenia nadane mu nie przez władzę kościelną lub państwową, lecz takie, które sam zdobył i wypracował. To rzekłszy ksiądz dziekan wziął z ołtarza w ręce nieduże zawiniątko i pokazał wiernym mieszczące się tam przedmioty. Były to: włosiennica, dyscyplina (przyrząd do biczowania) i metalowy pas z gwoździami.

Wierni zastygli w całkowitej ciszy. Dużo czytałem w księgach ascetycznych o włosiennicy, ale nigdy jej nie widziałem. I teraz dobrze się jej przypatrzyłem. Był to materiał podobny do grubego koca, z którego uszyto jakby mały sweterek bez rękawów. Dotknąłem włosiennicy dłonią. Każdy człowiek na dłoni ma twardszą skórę. Ale ja głaszcząc tę włosiennicę pokłułem się. Przyrząd do biczowania stanowił krótki, cienki drążek, do którego przymocowanych było pięć biczy. Pas metalowy składał się z drobnych kóleczek, o wielkości mniej więcej złotówki. Kóleczka zachodziły za siebie. Do każdego z nich dopasowane były trzy gwoździe, długości od trzech do pięciu milimetrów. Niektóre gwoździe były tępe, inne dość ostre. Te narzędzia pokuty znajdują się w zakrystii, w Przytkowicach.

Ksiądz Kacper Puchalski w 70 roku życia zachorował nagle na wylew. Stracił szybko przytomność i właściwie już jej nie odzyskał. Do jego pokoju weszło trzech księży, by jak to zwykle bywa w takich wypadkach, uporządkować sprawę człowieka odchodzącego na drugi świat. I właśnie ci księża znaleźli w szafie to zawiniątko. Ksiądz do swojego pokoju nie wpuszczał nikogo. Sam sobie sprzątał. Będąca w pokoju pielęgniarka dziwiła się, że ksiądz chorował tylko trzy dni, a już miał na ciele odleżyny. Wówczas ksiądz

dziekan pokazał jej przedmioty znajdujące się w zawiniątku. Pielęgniarka się rozpląkała.

Teraz dopiero zrozumiałem dlaczego ksiądz Puchalski chodził z pewnym trudem. Widząc go niekiedy w Kurii myślałem, że cierpi na reumatyzm lub ischiasz. Zapytałem się księdza dziekana, czy ksiądz Puchalski zawsze poruszał się z takim trudem. Odpowiedział mi, że w pewnych dniach chodził całkiem swobodnie. Przedmioty umartwienia wszystkich zaskoczyły, a przede wszystkim jego przyjaciół i kolegów. Nigdy nie przypuszczali, że prowadzi tego rodzaju styl życia. Zawsze był raczej pogodny i absolutnie nie zdradził się ze swoją tajemnicą.

I co charakterystyczne: wszystko było u niego bardzo naturalne. Pogodny za wzorem św. Franciszka okazał się człowiekiem wielkiego umartwienia. Wsporniale zespalał pracę duszpasterską z ukrytą pokutą.

Głaz wrzucony w jezioro wytwarza fale rozchodzące się daleko. Czyn błogosławionego Maksymiliana poznały setki milionów ludzi. Swym heroizmem i osobowością wpłynął i wpływa na etyczne postawy wielu ludzi. Ksiądz Kacper Puchalski swym umartwieniem budzi głębokie refleksje. Pobożność wiernych, nad którymi pracował, ma zapewne powiązanie z jego postawą życiową.

II

Kraków posiada siedem żeńskich klasztorów kontemplacyjnych. Są to: Bernardynki przy ul. Poselskiej, Dominikanki na Gródku, Klaryski przy ul. Grodzkiej, Karmelitanki przy ul. Kopernika, Karmelitanki przy ul. Łobzowskiej, Norbertanki przy ul. T. Kościuszki, Wizytki przy ul. Krowoderskiej. W Lesie Wolskim za Kopcem Kościuszki i za Sowińcem znalazł swe pomieszczenie erem Kamedułów — męski klasztor kontemplacyjny.

W jednym z żeńskich Klasztorów dnia 7.VIII.1978 r. oglądałem archiwalia. Między innymi klasztor ten przechowuje w specjalnej kasecie:

1. Szeroki pas włosiennicy z grubego, końskiego włosienia — od strony zewnętrznej podszyty materiałem wełnianym.
2. 7 pasków drucianych, kolczastych — różnej długości — o szerokości od 2.5 do 4.7 cm. Pięć pasków na tasiemki do zawiązywania. Dwa paski mają haczyki.
3. 2 krótkie paski kolczaste — może części pasków długich lub naramienników, 3 naramienniki z tasiemkami do wiązania.
4. 1 serce zrobione z drutu kolczastego z krzyżem.
5. 1 dyscyplina rzemienna z guzami.
6. 1 dyscyplina druciana z 8 łańcuszkami.
7. 1 dyscyplina druciana z 5 łańcuszkami zakończonymi kolcami.
8. 1 dyscyplina druciana z 5 łańcuszkami — 2 łańcuszki mają po 14 kolców.
9. 1 dyscyplina druciana z 5 łańcuszkami, z których każdy ma po 8 kolców.

W życiorysach świątobliwych sióstr z XVII w. pt. „Ozdoby nasze” kronikarka s. M. Andrusikiewicz doskonale znająca najstarsze kroniki i tradycje napisała m.in. w życiorysie s. Heleny Bobrownickiej: „Jak wszystkie panny zakonne, prowadziła Helena żywot swój na ustawicznej służbie Bożej, dziennej i nocnej, w częstych postach, paskach, włosiennicach, dyscyplinach...”.

Wiek XVII przysporzył klasztorowi kilkanaście świątobliwych sióstr. Można przyjąć, że w większości te narzędzia pokutnicze pochodzą z XVII w. Obecnie nadal jest w użyciu dyscyplina sznurkowa. Włosiennice noszono jeszcze w XX wieku. Jedna z sióstr niedawno zdjęła włosiennicę (miała szkaplerz włosienicy na plecach). Siostry w ostatnich czasach nosiły też paski druciane.

Warto tu dodać, że wg ostatnich danych mamy na globie 3.200 klasztorów kontemplacyjnych. Prowadzi w nich surowe życie około 100 tys. zakonnic. Najliczniejsze są Karmelitanki (15 tys.), następnie Klaryski (14 tys.), Benedyktynki (10 tys.) i Dominikanki (4.600). Najwięcej klasztorów kontemplacyjnych posiada Hiszpania. Jest ich tam 926.

Po śmierci księcia Kardynała Adama Stefana Sapiehy w biurku jego znaleziono druciany pasek z przygiętymi kolcami do opasywania się i podobne dwa małe paski do nakładania na ręce lub nogi. Obecni byli przy tym księża: Wit Brzycki, Rudolf Schmidt i Jan Pochopień.

III

Styl życia zakonów kontemplacyjnych i innych osób dobrowolnie się umartwiających jest bardzo odmienny od życia wielu ludzi. Budzi niekiedy zdziwienie, niezrozumienie, czasem gniew a nawet nienawiść. Tym chyba należy tłumaczyć fakt, że w czasie różnych zamieszek czy rewolucji bezmyślny tłum podpałał klasztory i mordował niewinne mniszki czy mnichów.

Chrystus powiada: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje. Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je. Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł? Albo co da człowiek w zamian za swą duszę?” (Mt 16, 24 nn). Pan Jezus rozpoczął głoszenie dobrej nowiny od 40-dniowego postu na pustyni (Mt 4, 1 nn). Gdy apostołowie pytają, dlaczego nie mogli wyrzucić złego ducha odpowiada im: „Ten rodzaj można wyrzucić tylko modlitwą i (postem)” (Mk 9, 29) Święty Paweł pisze: „Oto czego uczę: pozwólcie się kierować duchowi, a nie pójdziecie za pożądliwością ciała. Ciało bowiem do czego innego dąży niż duch, a duch do czego innego niż ciało, i stąd nie ma między nimi zgody, tak że nie czynicie tego, co chcecie” (Gal 5, 16 n).

Zachowanie przykazań Bożych, a szczególnie przykazania miłości bliźniego wymaga od człowieka wysiłku, trudu, umartwienia, często cierpienia.

Cierpienie ma wyjątkową wartość u Boga i u ludzi. Gdy człowiek musiał opuścić bramy raju, bo popełnił grzech, Bóg w nieskończonej mądrości — Twórca mikro i makrokosmosu — uznał, że tylko cierpieniem

może go odkupić. Dlatego by mógł cierpieć, przyjmuje postać człowieka i pozwala się przybić do krzyża. Cierpieniem odkupił Bóg miliardy ludzi. Cierpienie posiada więc jakąś wyjątkową cenę, tajemniczą wartość i siłę.

Również dla człowieka cierpienie jest czymś jedynym, co może on Bogu ofiarować. Wszystko inne otrzymał darmo. Tylko ofiarę, dar cierpienia może przekazać Absolutowi. Cierpienia należy, o ile to możliwe, unikać. Ale są często cierpienia, od których człowiek żadną miarą uciec nie może. I właśnie o to chodzi, by wtedy ofiarował je Bogu. Należy też zwrócić uwagę na to, że wyjątkową ofiarę człowieka dla Boga stanowi cierpienie dobrowolnie obrane i zadane sobie.

Chrześcijaństwo ma najbardziej logiczną koncepcję człowieka i świata. Musi więc oczywiście wypowiedać się i na temat najtrudniejszy dla ludzkości, mianowicie na temat cierpienia. I wypowiada się jasno. Każe je ofiarować Ojcu, który jest w niebie. Tym poglądem różnimy się od wszystkich innych koncepcji mających ambicje dociekać ostatecznego sensu życia i celu istnienia. Wielu autentycznych chrześcijan prowadzi z własnego wyboru właściwy im, szczególny styl życia. Odrzucają cierpienie dla samego cierpienia, lecz z rezygnacją przyjęte lub całkowicie dobrowolnie podjęte ofiarują Bogu z miłości ku Niemu.

I trzeba tu koniecznie dodać — że trudy życia dźwigane i ból znoszony z myślą o Bogu stają się źródłem prawdziwego pokoju a nawet radości i szczęścia. Pan Jezus mówi: „Albowiem moje jarzmo jest słodkie, a moje brzemie lekkie” (Mt 11, 30).

Dobrze, że są tacy, którzy przez cierpienie świadomie przyjęte zdobywają się na miłość ofiarną ku Bogu i ludziom. Bardzo możliwe, że dzięki nim choć przez pewien czas nie spada na świat kataklizm. Zapewne należą do rzędu tych biblijnych 10 sprawiedliwych, którzy gdyby istnieli, dwa starożytne miasta nie byłyby spalone ogniem z nieba.

W Podgorze, wypoczynkowej miejscowości na wybrzeżu Dalmacji, spędzało urlopy przed kilku laty 6.000 ludzi z Europy zachodniej. Sama Podgora liczy

ponad 2.000 stałych mieszkańców. W tym pięknym kurorcie znajduje się nieduży kościółek w formie namiotu. W niedzielę uczestniczyło tam we Mszach św. około 70 osób. Tysiące innych tuż obok świątyni spędzało czas na plaży, w wodzie, na boiskach, w restauracjach i kawiarniach. Nie zdobyli się nawet na tak drobny wysiłek, by pomodlić się w kościele choć przez pół godziny. Podobnie jest w setkach innych pięknych miejscowości turystyczno-wczasowych naszego kontynentu.

Ludzi nie stać na ten niewielki trud, na małe wyrzeczenie. A tymczasem inni zadają sobie dobrowolnie ciężkie umartwienia. Prowadzą zupełnie odrębny styl życia.

Helder Kamara ma wiele racji w tym, gdy mówi, że w sprawach społecznych nie wzięliśmy chrześcijaństwa na serio. Ale nie biorą go na serio również ci, którzy nie chcą poświęcić Bogu nawet chwili czasu na modlitwę, na bezpośredni z Nim kontakt. Pochłania ich całkowicie konsumpcyjny model życia.

Chylimy czoło przed tymi, którzy prowadzą życie pełne wyrzeczeń i umartwienia, nosząc nawet włosienicę. Przy tym stylu życia nie można oczywiście zapomnieć o słowach świętego Pawła: „I gdybym rozdał na jałmużnę całą majątność moją, a ciało wystawił na spalenie, lecz miłości bym nie miał, nic mi nie pomoże”. (I Kor 13, 3).

SPRAWA POWOŁAŃ DO ZAKONÓW ŻEŃSKICH

ILOŚĆ SIÓSTR GWAŁTOWNIE SIĘ ZMNIEJSZA

Stan powołań w naszych diecezjalnych seminariach duchownych nie jest najgorszy. Niektórym diecezjom przydałoby się więcej alumnów, ale są i takie, które mają ich w zasadzie wystarczającą ilość.

Gorzej przedstawia się sprawa w seminariach zakonnych. Jeszcze do niedawna korzystały one z wielkiego rezerwuaru powołań, jakim były niższe seminaria duchowne. Dzisiaj pewną liczbę powołań, choć nie całkiem wystarczającą, mają przede wszystkim te zgromadzenia, które pracują w duszpasterstwie. Ogólnie rzecz biorąc, stan jest niezadowolający. Dlatego m. in. trudny obowiązek misji zagranicznych winny stopniowo przejmować również diecezje bogate w powołania.

Najgorzej jednak sprawa powołań przedstawia się w zakonach żeńskich. Prawie połowa zakonnic w klasztorach i domach zakonnych to siostry, które ukończyły ponad 50 lat życia. W jednej z zakonnych prowincji na ogólną liczbę 600 sióstr — w r. 1974 zmarło 13, a nowych przybyło tylko 7. W diecezji krakowskiej liczba sióstr wynosi ponad 3 tysiące. Praktycznie jednak siostry nowych prac podejmować nie mogą, bo bardzo wiele z nich jest w podeszłym wieku i chorych. Od czasu do czasu dochodzą też z różnych okolic wiadomości o likwidacji domów z wyżej wymienionych powodów. Sytuacja za 10 czy 15 lat okaże się jeszcze gorsza.

Liczba sióstr szybko się więc zmniejsza, a są one przecież coraz bardziej potrzebne. Do samej tylko katechizacji, dla zrealizowania programu dwóch godzin tygodniowo dla dzieci szkół podstawowych, potrzeba nam w skali ogólnopolskiej ponad 5 tysięcy kateche-

tek. Nadto w wielu parafiach, nawet do utrzymania na właściwym poziomie jednej tylko godziny katechizacji tygodniowo, przydałaby się pomoc siostry zakonnej. W setkach bowiem naszych parafii pracuje tylko jeden kapłan. Często jest już po pięćdziesiątce. I musi obsłużyć ambonę, konfesjonał, salkę katechetyczną, kancelarię parafialną, odwiedzać chorych, pilnować spraw gospodarczych i wielu jeszcze innych. Jest rzeczą fizycznie niemożliwą, by wszystkie te prace wykonał dobrze. Zazwyczaj najwięcej na tym cierpi katechizacja. Subiektywnie taki duszpasterz jest nawet w sumieniu spokojny, bo do większego wysiłku brak mu po prostu sił. Ale obiektywnie rzecz biorąc, katechizację przez niego prowadzoną trzeba ocenić na dostatecznie, niekiedy nawet z minusem. I w takich właśnie przypadkach potrzeba nam wielu katechetek. Nauczanie religii przedstawiałoby się tu znacznie lepiej, gdyby np. dojeżdżająca siostra wzięła choćby 10 godzin tygodniowo. Wpłynęłoby to również dobrze na zdrowie księdza proboszcza.

W duszpasterstwie poszukiwane są siostry zakrytiani, organistki, opiekunki chorych i inne. Równocześnie państwowe domy specjalne, prowadzące opiekę nad nieuleczalnie chorymi i upośledzonymi — zgłaszają zapotrzebowanie na setki sióstr.

Specjalny problem to misje zagraniczne. Poza granicami naszej ojczyzny, szczególnie w Afryce, Ameryce Południowej, Azji, potrzeba aktualnie dziesiątki tysięcy sióstr.

PRZYCZYNY SPADKU POWOŁAŃ

Niestety sióstr brakuje. Różne są tego powody. Istotny wpływ na spadek powołań ma kryzys, jaki obecnie przeżywa nasza rodzina. Pod względem ilości rozwodów jesteśmy w smutnej czołówce światowej. W rodzinach naszych jest również bardzo mało dzieci. Dlatego też matki czy ojcowie czynią wszystko, by przypadkiem jedyna córka nie poszła do klasztoru. Wanda Półtawska przeprowadziła w Krakowie ankietę wśród 500 sióstr. Okazało się, że aż 90% pochodzi z rodzin

liczących przynajmniej pięcioro dzieci. Jeszcze raz sprawdza się zasada, że wielodzietna rodzina stanowi znakomitą szkołę społecznego wychowania.

Do spadku powołań przyczynia się również laicyzacja i panseksualizm, którego ostrze skierowane jest przede wszystkim przeciwko dziewczętom. Są w naszym kraju parafie (Ochotnica Dolna, Kamienica, Lipnica Wielka), które pewnym zgromadzeniom zakonnym dały kilka, kilkanaście, a nawet ponad 20 kandydatek. Wspaniałe oazy powołań to ośrodki duszpasterskie odznaczające się bardzo żywą tradycją religijną. Głęboka pobożność rodzin i całej parafii zrodziła te powołania. Pobożność stanowi też skuteczną zapórę przeciw materializmowi praktycznemu i seksualizmowi.

Również sytuacja społeczna nie sprzyja zgłaszaniu się dziewcząt do klasztoru. Matki ewentualnych kandydatek i one same chętnie widziałyby pracę w szpitalach, przedszkolach czy szkołach. Zajęcia w domach specjalnych, gdzie obecnie zaangażowanych jest bardzo wiele naszych sióstr, uważane są, zresztą zupełnie słusznie, co najmniej za bardzo ciężkie.

Ważnym powodem braku powołań do zakonów żeńskich jest również postawa pewnej grupy księży. Rzecz to pewna, że niektóre siostry zawdzięczają swe powołanie kierownictwu duchowemu spowiednika, zachęcie proboszcza, radzie wikarego czy kapelana. Równocześnie, niestety dość często, mistrzynie nowicjatu skarżą się, że księża odradzają kandydatkom pójście do zgromadzenia zakonnego. Powiadają im m. in., że poza klasztorem też można się zbawić, że będą miały trudne życie, że w świecie też można się dla drugich poświęcać itp. Podobnych wypadków można by znaleźć niemało. Ze smutkiem i żalem wielokrotnie stwierdzają to przełożone prowincjalne i generalne.

JAK ZACHĘCIĆ MŁODZIEŻ ŻEŃSKĄ DO ŻYCIA ZAKONNEGO?

Odpowiedzi, choć nie łatwych, może tu być wiele. Chciałbym zwrócić uwagę tylko na pewne aspekty tej

sprawy. Jest rzeczą jasną, że księża, którzy odradzają dziewczętom pójście do zakonu, bezwzględnie muszą zmienić stanowisko. Powinni również naprawić swój błąd i tym gorliwiej pracować nad budzeniem powołań.

Wielu duszpasterzy cieszy się z tego, że doprowadzili do kapłaństwa jednego, kilku lub nawet kilkudziesięciu młodych ludzi. Jest to powód do słusznej radości i szlachetnej dumy. Tę postawę należy zajmować również wobec powołań do zakonów żeńskich. Duszpasterze powinni bez przerwy stawiać sobie pytanie, ile osób z ich środowiska poszło do zakonów żeńskich.

Kapłan, który by odradzał młodej osobie pójście do klasztoru, budzi wprost zdumienie. Tego rodzaju postawa jest nie do przyjęcia. Przecież nie wolno odradzać stopnia wyższej doskonałości, do której według założeń ma prowadzić i rzeczywiście prowadzi życie zakonne.

Poza tym struktura Kościoła i mechanizm przekazu Ewangelii domagają się pracy sióstr. W tej strukturze jest miejsce nie tylko dla kapłanów i laikatu, lecz również szczególnie dla sióstr.

Jakżeż często pretensje do przełożonych zakonnych z powodu odmówienia wysłania sióstr do parafii mają właśnie ci księża, którzy stanowczo odradzają kandydatkom wstąpienie do zakonu. Tego rodzaju postawa to podcinanie gałęzi, na której się siedzi. Co więcej, niejedną też raz siostry wykazały wiele poświęcenia i ofiarności nie tylko w szpitalach, lecz również przy pielęgnowaniu chorych kapłanów.

Wewnętrzne przekonanie o konieczności zachęcenia do życia zakonnego jest niezmiernie ważne. Stanowi podstawę wszelkiej akcji.

Siostronom trzeba pomóc. Może ktoś powiedzieć, że one również są katechetkami i jako takie powinny w pierwszym rzędzie same pilnować sprawy powołań. Ale siostry są katechetkami najczęściej niższych klas szkół podstawowych. Natomiast młodzież ostatnich klas tych szkół oraz młodzież szkół średnich katechizują przeważnie księża. A właśnie w tym przede wszystkim okresie dziewczęta decydują o swej drodze życiowej. Rozbudzona niekiedy przez siostrę katechetkę w niższych klasach chęć wybrania tej szczególnej drogi

musi być, o ile nie przemawiają przeciw temu ważne okoliczności, podtrzymywana w okresie szkoły średniej przez księdza katechetę. Wiadomo też, ile niebezpieczeństw czyha w tym czasie na kiełkujące powołanie.

Niektórzy duszpasterze wiedzeni troską o powołania — zapraszają do ośrodków katechetycznych siostry prelegentki z pogadankami o życiu zakonnym. Dobrze to wypada szczególnie wtedy (lecz nie tylko), gdy przed młodzieżą zjawią się nasze misjonarki z Afryki czy Ameryki Południowej. Niekiedy opowiadają zebranym o swej pracy misyjnej, o szpitaliku bardzo skromnym, lecz prowadzonym samodzielnie, o salce katechetycznej, do której dzieci dochodzą nawet z odległości 20 km, o kapliczce zbitej z desek, a pokrytej słomą. I mówią również o gorących sercach nowo ochrzczonych, którzy z płaczem żegnali odjeżdżające na urlop opiekunki. Zainteresowanie młodych słuchaczy tego rodzaju prelekcją jest z reguły bardzo duże. Po jednej z takich pogadanek młodzi mówili, że praca w stacji misyjnej mogłaby stanowić akcję dobrego filmu. Widać było wyraźnie uznanie, podziw i sympatię młodych dla misjonarki.

W akcji budzenia powołań siostry słusznie oczekują pomocy od księży. Ich bowiem możliwości i zasięg oddziaływania na wiernych jest bez porównania większy niż zakonnic.

Właśnie kapłani powinni często głosić pochwałę życia zakonnego na ambonach, w konfesjonałach, w salkach katechetycznych, w prywatnych czy towarzyskich spotkaniach.

Należy organizować dni modlitw. Uwzględnić ten temat na rekolekcjach z okazji przeróżnych akcji duszpasterskich.

Pracę tę trzeba bardzo dobrze przemyśleć, zorganizować, przygotować i przeprowadzić. Akcja bowiem na rzecz powołań do zgromadzeń żeńskich jest trudniejsza od akcji powołań do kapłaństwa. Wiadomo bowiem, że kapłaństwo pod względem socjologicznym (to również trzeba brać pod uwagę) jest znacznie atrakcyjniejsze od pracy zakonnic.

Cała ta praca musi być przepojona szacunkiem dla

dziewictwa i nacechowana jego właściwą oceną. Posiada ono wyjątkową wartość. Bez szacunku dla dziewictwa współczesna dziewczyna nie wybierze drogi życia zakonnego. Bo właściwie w imię czego? Gdy jednak przekona się, że rezygnacja z życia rodzinnego i małżeńskiego jest przejawem żywej wiary i głębokiej miłości do Boga, może wybierze zakon. Wielu bowiem młodych owianych jest idealizmem. Imponuje im wysiłek i trud, praca dla innych, poświęcenie.

Niektóre z naszych diecezji przeżywały kryzys powołań do kapłaństwa. Gdy jednak rozpoczęto akcję modlitewną i odpowiednią pracę duszpasterską, sytuacja się poprawiła. Należy sądzić, że i w sprawie powołań do zakonów żeńskich osiągniemy pewne rezultaty. Wydaje się jednak, że nie czekając na jakąś (na pewno potrzebną) akcję ogólnokrajową, każdy kapłan i każda parafia, każdy dom zakonny i każda zakonnica — powinni sobie uświadomić obowiązek budzenia modlitwą i czynem powołań do służby Bożej w zakonach żeńskich, i obowiązek ten realizować na codzien.

O POMOC DLA KLASZTORÓW KONTEMPLACYJNYCH

I

W duszpasterstwie masowym czy indywidualnym, katechetycznym, młodzieżowym czy rodzin, stoją często przed nami trudności nie do pokonania. Mimo naszego zaangażowania w dzieło głoszenia Ewangelii jesteśmy wobec nich bezradni. I wtedy jasno zdajemy sobie sprawę, że pracy duszpasterskiej opartej na naszej osobistej modlitwie potrzebne jest jeszcze inne, osobne zaplecze modlitewne. Wiedząc o tym dobrze liczni biskupi i inni organizatorzy życia duszpasterskiego czynili w ciągu wieków wielkie wysiłki, których rezultatem było sprowadzenie do diecezji zakonów o ostrej regule. Budowali im niekiedy duże klasztory, zapewniali byt materialny, środki do życia, by zakonnice i zakonnicy mogli poświęcić się tylko kontemplacji.

Chrystus uczynił modlitwę fundamentem Swej działalności i założonego przez siebie Kościoła. Bez przerwy towarzyszą nam Jego słowa: „Proście, a będzie wam dane, szukajcie a znajdziecie, kołaczcie, a otworzą wam” (Łk 11, 9). Św. Paweł pisze: „Ja siałem, Apolos podlewał, lecz Bóg dał wzrost” (I Kor 3, 6). Rozumienie modlitwy i jej umiłowanie znajdowało swój właściwy oddźwięk i mocny wyraz w powołaniach zakonnych. Już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa tysiące młodych ludzi, m. in. w górnym Egipcie, wybierało życie modlitwy i umartwienia. A potem w ciągu stuleci powstawały setki i tysiące klasztorów, również kontemplacyjnych. Stanowią one specjalne oazy modlitwy. Społeczeństwa wierzące słusznie się nimi chlubią. Sobór Watykański II tak się tu wypowiada:

„Instytuty całkowicie poświęcone kontemplacji, tak że ich członkowie w odosobnieniu i milczeniu w ustawicznej modlitwie i ochoczej pokucie zajmują się jedynie Bogiem, zachowują zawsze, choćby nagliła konieczność czynnego apostołstwa, wyborną część w Mistycznym Ciele Chrystusa”. (PC § 7).

Siostry klauzurowe (męskich klasztorów tego typu jest obecnie w świecie katolickim o wiele mniej niż żeńskich) znaczną część dnia poświęcają modlitwie. Absolut, Boga najpotężniejszego, najpiękniejszego i najlepszego, wielbią słowami psalmów, modlitwami papieży, zakonodawców, pobożnych dusz. Odmawiają pacierze ustne i odprawiają medytacje. Jednym słowem funkcją mniszki kontemplacyjnej w Kościele jest przede wszystkim modlitwa. By to lepiej zrozumieć, można powiedzieć, że modlitwa to nie tylko powołanie mniszki, lecz niejako jej „praca zawodowa”.

II

Głęboka wiara chrześcijańskiej społeczności staje się źródłem powołań kapłańskich i zakonnych. Pobożność wiernych w sposób duchowy rodzi te powołania. W wyraźny sposób świadczą one o życiu religijnym chrześcijan. Niektóre społeczności mogą się poszczycić wyjątkowym owocowaniem pod tym względem. Oto w r. 1974 bawił w Polsce arcybiskup Fernandez z New Delhi. Przekazał nam niektóre dane o życiu religijnym swego kraju. Katolicy stanowią tam niewiele ponad 1% ludności, licząc 7 mln wiernych. Niemniej posiadają oni 10 tys. szkół podstawowych, 200 kolegiów, 12 tys. kapłanów, 36 tys. zakonnic. W całych Indiach wyjątkowo duża ilość pielęgniarek szpitalnych to zakonnice katolickie. Należy podziwiać wiarę i wielką żywotność religijną tamtejszej społeczności katolickiej, która wydała aż 36 tys. zakonnic. U nas jest pod tym względem znacznie gorzej.

Gdyby chodziło o klasztory kontemplacyjne, to najnowsze dane np. z Hiszpanii (o podobnej jak w Polsce ludności ponad 35 mln mieszkańców) mówią że są tam 922 klasztory kontemplacyjne, w których żyje 15.700

zakonnice, w tym 4.300 klarysek, 2.600 karmelitanek i 1.900 dominikanek.

W naszej ojczyźnie (według stanu z 1. IX. 1976 r.) w 54 klasztorach modli się 1.380 zakonnice kontemplacyjnych. Należą one do 11 zakonów a swe siedziby mają w 21 diecezjach. Rozmieszczone są nierównomiernie, niektóre bowiem diecezje posiadają po 1 tylko klasztorze, a w jednej z diecezji jest ich 10. Męskich klasztorów kontemplacyjnych mamy tylko dwa. W Krakowie na Bielanach, z liczbą 17 mnichów i w Bieniszewie k. Konina, z 11 mnichami.

Dane statystyczne dotyczące zakonów, szczególnie kontemplacyjnych, bardzo rzadko są publikowane przez prasę. Opracowane przez Komisję Episkopatu d/s Zakonnych, przedstawiają się następująco:

STAN LICZBOWY ZAKONÓW ŻEŃSKICH W POLSCE
(na 1 stycznia każdego roku)

Rok	Profeski			Nowicjuszki			Postulantki		
	ogółem	czynne	klauzurowe	ogółem	czynne	klauzurowe	ogółem	czynne	klauzurowe
1970	26.867	25.546	1.321	723	683	40	538	515	23
1971	26.633	25.326	1.307	709	665	44	473	442	31
1972	26.280	24.989	1.291	725	676	49	497	466	31
1973	26.169	24.881	1.288	796	759	37	484	464	20
1974	25.902	24.632	1.270	767	730	37	596	570	26
1975	26.022	24.751	1.271	730	694	36	587	555	32
1976	25.577	24.321	1.256	721	678	43	434	416	18
1977	25.504	24.257	1.247	745	698	47	441	421	20
1978	25.313	24.058	1.255	823	770	53	450	424	26
1979	25.076	23.830	1.246	852	803	49	501	486	33

III

Klasztory kontemplacyjne zawsze otoczone były opieką swych społeczeństw, które świadczyły im pomoc materialną i duchową.

W dobie dzisiejszej przez pomoc duchową rozumiemy przede wszystkim ułatwienie klasztorom kontemplacyjnym odnowy soborowej oraz akcję budzenia powołań.

Odnowa soborowa stanowi niełatwe zagadnienie. Napotyka tu na duże trudności. Widzimy co się dzieje w Europie Zachodniej. U nas nie jest tak źle. Niemniej nasze męskie i żeńskie zakony czynne nie mała mają problemów z tą odnową. Ileż to było dyskusji choćby tylko z powodu stroju zakonnicy.

Rzecz oczywista, że w kontemplacyjnych klasztorach odnowa soborowa przychodzi ze znacznie większymi trudnościami. Najpierw z tego powodu, że wszystko co nowe dociera tam z wielkimi oporami. Wynika to zresztą z konstytucji. Poza tym obecna zachodnia odnowa nie zawsze odpowiada psychice polskich zakonnic. Często kapituła i przełożone muszą się dobrze zastanawiać jaką drogę wybrać. Mimo to również i do kontemplacyjnych zakonów odnowa musi dotrzeć.

Historia świadkiem, że reformę nakazaną przez sobory w klasztorach kontemplacyjnych najczęściej przeprowadzano z wielkim opóźnieniem. W jednym z klasztorów na terenie swej diecezji biskup krakowski kardynał Jerzy Radziwiłł dopiero po wielu latach starań wprowadził dekrety Soboru Trydenckiego.

W r. 1971 odbyło się w Krakowie spotkanie ludzi zainteresowanych zagadnieniem kontemplacyjnych zakonów żeńskich. Uczestników zjawilo się 25. Powiedziano wtedy bardzo wiele na temat trudności związanych z odnową soborową. Obraz przedstawiany przez dyskutantów, ludzi znających problematykę, którzy czasem weszli za klauzurę, jasno ilustruje niepokoje i problemy wynikające ze spotkania dwóch prądów, tego co było i jest, z tym co ma być.

Dostosowanie dawnych przepisów ascetycznych sprzed kilku czy kilkunastu stuleci do dzisiejszego życia, to sprawa kapituł generalnych i przełożonych. Zagadnieniem tym w kościołach lokalnych mają obowiązek interesować się również rządcy diecezji, przełożeni pokrewnych zakonów męskich, kuratorzy poszczególnych klasztorów. Ostatnio działa Komisja Episkopatu

d/s Zakonnych, zakonne Konsulty, Podkomisja d/s Zakonów Kontemplacyjnych.

Akcja na rzecz powołań w ramach pomocy klasztorom kontemplacyjnym posiada swe niepoślednie znaczenie. Jest rzeczą pewną, że mniszki modlą się o stałe trwanie swych klasztorów. Potrzebna jednak jest tu również informacja o ich życiu kontemplacyjnym i zachęta do wyboru takiego życia. Prowadząc akcję powołań do kapłaństwa i zakonów czynnych, trzeba równocześnie uwzględniać klasztory kontemplacyjne. Wszyscy głoszący słowo Boże, a więc spowiednicy, katecheci, kaznodzieje, rekolekcjoniści, duszpasterze mają tu piękne pole do pracy. Zakony kontemplacyjne nie przechodzą obecnie jakiegoś głębszego kryzysu powołań, niemniej jednak podobnie jak zgromadzenia czynne, męskie i żeńskie, potrzebują tych powołań znacznie więcej. Należy podejmować takie akcje budzenia powołań (przede wszystkim modlitewne), bo obserwacja życia katolickiego w naszej ojczyźnie w ostatnim trzydziestoleciu wykazuje, jak już wspomniano, że diecezje ubogie w powołania wydatnie pomnożyły ilość kapłanów, organizując odpowiednie akcje duszpasterskie.

Warto w tym miejscu przypomnieć częste, gorące prośby sióstr, by niektórzy księża nie odradzali młodym osobom pójścia do zakonu. Teza o możliwości zbawienia się w każdym stanie, a więc i poza klasztor, byłaby tu niewłaściwie przez tych duchownych rozumiana. Matkom należy również tłumaczyć, że z punktu widzenia nadprzyrodzonego ich córki robią wspaniałą karierę, wybierając drogę trudniejszą, ale na pewno miłszą Bogu.

Bogactwo, głębia, sens i cel życia kontemplacyjnego dawniej były i również dziś są nie rozumiane, niejednokrotnie wręcz fałszywie pojmowane. Rodzi się konieczność ukazywania idei monastycznej we właściwym świetle. Zamykający się w klasztorach, absolutnie nie wybierają łatwiejszego i wygodniejszego życia. Wręcz przeciwnie. A czynią tak, bo ich wybór wypływa z głębokiej wiary i chęci okazania Stwórcy specjalnej miłości.

Pomoc materialna dla klasztorów kontemplacyjnych stanowi obowiązek całego społeczeństwa katolickiego, a w pierwszym rzędzie duchownych.

Przez setki lat kontemplacyjne klasztory, posiadając potężne nieraz latyfundia, były bardzo dobrze materialnie wyposażone. Ale już w okresie międzywojennym te posiadłości nie przynosiły prawie żadnych dochodów. Po II wojnie światowej klasztory kontemplacyjne straciły u nas prawie wszystkie majątki ziemskie i często żyły nawet w skrajnej biedzie. Zdarzało się, że zakonnice przymierały głodem, a reumatyzm z powodu zawilgoconych, nieogrzanych pokojów wykrzywił im palce. Warunki mieszkaniowe mniszek były trudne, niekiedy wręcz prymitywne. W tych domach przez setki lat bardzo mało się zmieniło. Np. w jednym klasztorze zakonnice do niedawna musiały chodzić po wodę do odległej studni i na mrozie ciągnąć wiadro na łańcuchu.

Przez długie lata po wojnie biskupi, kler diecezjalny i zakonny mieli własne kłopoty z organizacją duszpasterstwa w nowej sytuacji, z seminariami, z katechizacją. Z tego powodu niektórzy tylko mogli interesować się bliżej zakonami kontemplacyjnymi. Obecnie można mówić o zielonym świetle dla tej problematyki. Wielu duchownych i świeckich zaczyna dostrzegać te sprawy.

Niosąc pomoc materialną, musimy wziąć pod uwagę konserwację budynków klasztornych i zapewnienie utrzymania osobom w nim mieszkającym.

Budynki klasztorne to często duże obiekty mieszkaniowe. Budowano je przed setkami lat. Niejednokrotnie byłoby bardziej opłacalne zburzyć je, a siostrą postawić nowe mieszkania. Któż jednak byłby takim barbarzyńcą i nie konserwował budowli, których na skutek wojen i różnych kataklizmów dziejowych pozostało nam tak niewiele, a które stanowią chlubne świadectwo naszych dziejów i kultury narodowej. Konserwacja tych zabytków jest jednak bardzo kosztowna. Trzeba zakładać tysiące metrów kwadratowych dachów, nowe stropy i rynny. Trzeba przeprowadzać odwilgacanie i odgrzybianie murów i fun-

damentów. Przywracać im pierwotny styl a przy tym modernizować kuchnie i pralnie, wprowadzać instalację grzewczą i sanitarną.

Budynek klasztorny stanowi niejednokrotnie kompletny obiekt muzealny. Można tam również znaleźć stare, bezcenne kancjonały, księgi, rzeźby, obrazy. Wielką rewelacją stanowiło np. odkrycie w klasztorze imbramowickim obrazu Breughla Starszego „Matka Boża w girlandzie” z XVII w.

W konserwacji zabytków klasztornych pomagało niekiedy Państwo. Była też pomoc z zagranicy. Jednak pilne potrzeby remontowe nadal wymagają dziesiątek i setek milionów złotych. I tu konieczne jest wzmożenie ofiarności katolickiego społeczeństwa, gdyż konserwacja dużych obiektów absolutnie przekracza możliwości finansowe sióstr kontemplacyjnych.

Opieka katolickiego społeczeństwa nad klasztorami kontemplacyjnymi musi im również zapewnić najkonieczniejsze środki do życia.

Ta opieka zapewne będzie skuteczniejsza, gdy wszyscy bez wyjątku i nieustannie będą sobie zdawać sprawę z faktu, że klasztory kontemplacyjne to specjalne ośrodki modlitwy. Istotnym celem i niejako, jak już podkreślałem, „pracą zawodową” mniszki jest modlitwa. Każdy jednak z tytułu swej pracy zawodowej otrzymuje zapłatę na środki do życia. I tak profesor wyższej uczelni ma kilka wykładów tygodniowo. Równocześnie pogłębia swą wiedzę, pracuje nad nowymi, nierozwiązanymi dotąd problemami, publikuje. Każdy rozumie, że z tytułu jego pracy należy mu się wynagrodzenie, a więc utrzymanie świadczone przez społeczeństwo. Podobnie i kapłan z okazji odprawiania Mszy św. i wykonywania przeróżnych posług duszpasterskich otrzymuje stypendium i ofiary, pokrywające najczęściej jego potrzeby. Nadto cała jego praca i przygotowanie do niej z natury rzeczy pogłębiają jego osobiste życie religijne. Tymczasem — rzecz paradoksalna — służba zlecona osobom klauzurowym przez Kościół, jako ich podstawowa, „zawodowa” funkcja, nie wiąże się dziś z żadnym stypendium.

Jak już wspomniałem, w ostatnich latach otrzymały siostry z zagranicy pewną, dość zresztą w sto-

sunku do swych potrzeb skromną, pomoc. Ale świadczący tę pomoc postulują przeznaczenie jej w pierwszym rzędzie na urządzenie warsztatów pracy, cieplarni, itp., w których mniszki pracując, zabezpiecząby sobie utrzymanie. Korzystając z pozwolenia Stolicy Apostolskiej, by w niektórych wypadkach udzielać zgody na prowadzenie przez mniszki pracy zarobkowej (Konstytucja Apostolska Piusa XII „Sponsa Christi” z 1950 r.), poczyniono w tym kierunku wysiłki. Zmarły niedawno O. Karol Winiarski, redemptorysta, okazał się prawdziwym charyzmatykiem w dziele niesienia pomocy sioström kontemplacyjnym przez organizowanie im warsztatów pracy. Niestety, siostry najczęściej nie mogą podjąć się cięższych prac fizycznych, bo większość z nich jest w podeszłym wieku i brak im sił do pracy.

I choć w zakonach brak siostr sprawnych i zdolnych do pracy w większych warsztatach, to jednak nawet starszki chętnie stają przy mniejszych i prostszych narzędziach pracy. Grupa osób mających dobre rozeznanie w sprawach klasztorów kontemplacyjnych w swym „Pro memoria” do Komisji Episkopatu d/s Zakonnych pisze tak: „Nasze klasztory klauzurowe w Polsce już od rozpoczęcia II wojny światowej z konieczności musiały głównie własną pracą zapewniać sobie byt. I do dziś prowadzą one różnego rodzaju prace zarobkowe jak wypiek hostii i komunikantów, pracownie paramentów liturgicznych, przygotowywanie pomocy katechetycznych i duszpasterskich, przepisywanie na maszynie, prace literackie, wyrób przedmiotów artystycznych, ogrodnictwo, nawet praca na roli, dziewiarstwo, kołderstwo itp.”

IV

Zwiększa się więc ilość godzin koniecznej pracy, szczególnie gdy chodzi już nie tylko o utrzymanie, lecz o konieczność przeprowadzenia kosztownych remontów. Już dawniej surowa zazwyczaj reguła zakonna wypełniała wszystkie godziny dnia zajęciami. Dzisiaj więc skraca się sen, ogranicza studium i lekturę du-

chowną, wreszcie i sam czas modlitwy. Siostry ofiarnie znoszą te nowe warunki, stanowiące przyczynę przepracowania i wyczerpania nerwowego. Taki stan jest jednak sprzeczny z istotą życia kontemplacyjnego.

W cytowanym już „Pro memoria” czytamy: „Brak dostatecznego czasu na modlitwę osobistą oraz stan zmęczenia, który ją utrudnia, osłabić może w końcu siły duchowe... Powstaje wreszcie konflikt wewnętrzny — poczucie niewierności zasadniczemu swemu powołaniu — pytanie o sens takiego życia... Pragnące się poświęcić życiu modlitwy młode osoby o jakiejś kulturze duchowej czy intelektualnej, nie mają często odwagi zdecydować się na życie w takich warunkach. Dopływu nowych sił trzeba, stąd pokusa słabszej selekcji kandydatek — i koło błędne zaczyna się zamykać”. I wreszcie alarmujące ostrzeżenie z „Pro memoria”: „Jeśli sytuacja takiego przeciążenia pracą i warunki ekonomiczne nie ulegną polepszeniu, klasztory klauzurowe wygasną w naszym kraju, bo powołań do nich nie będzie”.

Ludzie wierzący doskonale wiedzą, że klasztory kontemplacyjne, w których dokładnie zachowywana jest reguła i duch założyciela, to perły i klejnoty Kościoła. Wszyscy należący do religijnej wspólnoty mają ścisły obowiązek dbać o nie, interesować się nimi, a w szczególności wspomagać je materialnie przez składanie ofiar.

Częsty kontakt z mniszkami mają księża. Siostry kierują do nich gorącą prośbę, by powierzając im prace liczyli się z ich możliwościami. Siostry nie zawsze są w stanie wykonać pracę w żądanym terminie. Niekiedy w ogóle przyjąć pracy nie mogą. W takim wypadku nie wolno wywierać na nie presji, zarzucać nierobstwa czy braku miłości bliźniego. Należność za wykonane prace winna być uiszczana niezwłocznie i bez zaniżeń. Niektórzy błędnie mniemają, że klasztor, w którym siostry składają ślub ubóstwa, może obejść się bez pieniędzy. W przypadku duszpasterstwa prowadzonego w klasztorным kościele należy przestrzegać zawartej umowy.

* * *

Gdy pracowałem w duszpasterstwie parafialnym, przyszła raz do mnie absolwentka wyższej uczelni. Mówiła, że przez okres studiów szukała drogi swego życia. I wreszcie ją znalazła. Oto chce wielbić Boga w sposób bezpośredni. Ludzie wykonujący przeróżne prace wielbią Go — twierdziła — swą pracą, w sposób pośredni. Miliony pracują w produkcji. Ona natomiast pragnie prawie bez przerwy o Nim myśleć, wyrażać Mu uczucia wiary i miłości. Możliwość wypełnienia tego zadania widzi w klasztorze klauzurowym. Trzeba pomóc takim duszom.

DWIE RODZINY

ZAKONY NALEŻĄ DO WIDZIALNEJ STRUKTURY KOŚCIOŁA

Jednym z najważniejszych zadań Kościoła jest głoszenie Ewangelii. Posłannictwo to wypełniają chrześcijanie uczestniczący w kapłaństwie powszechnym oraz hierarchicznym. W instytucji kapłaństwa hierarchicznego istnieją dwie grupy, dwie niejako rodziny, mianowicie kler diecezjalny i zakonny.

W niniejszym rozważaniu interesuje mnie współpraca kleru diecezjalnego i zakonnego. Inne zagadnienie, to miejsce, jakie w strukturach diecezjalnych i parafialnych zajmują żeńskie rodziny zakonne oraz męskie zgromadzenia zakonne, których członkowie nie przyjmują święceń kapłańskich.

Istnienie zakonów jest faktem, stanowi konkret. Nie da się go wyeliminować z życia Kościoła. Zakony w sposób bardzo rzeczywisty należą do widzialnej, choć nie hierarchicznej struktury Kościoła.

Tkwiąca w naturze ludzkiej chęć ściślejszego zjednoczenia z Bogiem stanowi właściwy cel życia mniszego i zakonnego. Tak pojęty cel życia jest mocno podkreślany w wielu religiach nawet niechrześcijańskich. Tamtejsi mnisi dość często prowadzą życie w całkowitym oderwaniu od świata i w kontemplacji, często w pogardzie dla życia. W ostatnich latach budziło podziw świata dobrowolne podpalanie się buddyjskich zakonników w Wietnamie na znak protestu przeciwko niektórym rozporządzeniom władz.

W chrześcijaństwie życie zakonne opiera się na słowach Chrystusa Pana: „A każdy, który opuścił dom, brata, siostrę, ojca, matkę (żonę) dzieci i rolę dla imienia mego, odbierze stokrotną nagrodę i zdobędzie ży-

cie wieczne" (Mt 19,29). Uzupełnienie tych zaleceń znajdujemy również u św. Mateusza (r. 19, 12. 21). W różnych epokach historii Kościoła powstawały nowe zakony. W Europie, kolebce i przez długie wieki głównym terenie chrześcijaństwa, zbudowano dziesiątki tysięcy klasztorów. Historia Kościoła to w znacznej mierze historia zakonów. To one w wybitnym stopniu przyczyniły się do chrystianizacji naszego kontynentu. Stały się źródłem kulturalnej integracji Europy jak również kościelnego, nawet politycznego uniwersalizmu.

Od początku wybitni, gorliwi chrześcijanie, duchowni i świeccy myśleli o zakonach i zgromadzeniach zakonnych jako o doskonalszej instytucji głoszenia Ewangelii. Założycielami ich byli niejednokrotnie księża diecezjalni, np. św. Wincenty a Paulo, św. Wincenty Pallotti, św. Jan Bosko, sługa Boży ks. Bronisław Markiewicz. Ci kapłani diecezjalni, chcąc lepiej i dokładniej wypełniać swe apostołsko-duszpasterskie zadanie, gromadzili wokół siebie grupy księży diecezjalnych. Przyjmowali dobrowolnie pewien sposób życia i działania, określony odpowiednimi przepisami. Taki jest początek wielu zakonów.

Sobór Watykański II bardzo dowartościował zakony. Takie dokumenty soborowe jak *Perfectae caritatis* (r. I,2), *Lumen gentium*, *Christus Dominus*, rzucają nowy snop światła na życie zakonne, dają mu głębokie uzasadnienie teologiczne i duszpasterskie.

KONIECZNOŚĆ LEPSZEGO POZNANIA SIĘ

Ewangelie Chrystusową głoszą zatem dwie grupy duchownych uczestniczących w kapłaństwie hierarchicznym: kler diecezjalny i zakonny. Te dwie rodziny są bardzo do siebie zbliżone, podobne, owiane jednym duchem miłości Chrystusowej. Ale działają w konkretnych, często różnych sytuacjach i stąd mogą wynikać odmienne poglądy na pewne zagadnienia.

W pracy duszpasterskiej zazębia się działalność kleru diecezjalnego i zakonnego. Teoretycznie problem jest bardzo prosty, ale w praktyce powstają trudności.

Ogólnych zasad nie da się tu ustalić. Dlatego istnieje konieczność stałego i cierpliwego dialogu. Na ten temat raczej dużo się mówi, mało pisze. Ale chyba powinno się pisać, choć sprawa niejednokrotnie jest delikatna, a nawet trudna. Wydaje mi się, że mogę tu zabrać głos, wyszedłem bowiem z rodziny zakonnej. Ale od chwili przyjęcia święceń kapłańskich bez przerwy pracowałem w duszpasterstwie parafialnym, również diecezjalnym. Stale kontaktowałem się z klerem diecezjalnym. Słuchałem opinii jednej i drugiej strony, setki razy wypowiedianych. Miałem okazję być świadkiem sposobu myślenia, odczuć i reakcji licznych kapłanów, należących do obydwu rodzin. Na ogół zawierały dużo akcentów wzajemnej życzliwości, zrozumienia i przyjaźni, choć niekiedy istniały nieporozumienia, których przy dobrej woli obydwu rodzin (zainteresowanych grup) na pewno można było uniknąć.

Do zabrania głosu zachęcają mnie również „Wytyczne dla wzajemnych stosunków między biskupami i zakonnikami”, wydane przez Świętą Kongregację dla Spraw Zakonów i Instytutów Świeckich oraz przez Świętą Kongregację dla Biskupów. Wytyczne te zatwierdzone zostały dnia 23.IV.1978 r. przez Ojca św. Pawła VI. W Przedmowie podkreślony jest również gatunkowy problem choćby z tego tylko względu, że zakonników mamy 270 tysięcy, z których kapłani stanowią 36,6% wszystkich księży w Kościele. W niektórych nawet regionach np. w Afryce lub w pewnych częściach Ameryki Łacińskiej przekraczają połowę tamtejszego kleru.

Dwie rodziny: kler diecezjalny i zakonny winny się lepiej nawzajem poznać. Kapłani udający się z odwiedzinami kolędowymi do wiernych, ze zdumieniem stwierdzają fakt, że ludzie mieszkający w tym samym domu, na tym samym piętrze, mało lub wcale się nie znają. Znany pisarz niemiecki z okresu międzywojennego ks. Emil Fiedler, prekursor dzisiejszego ekumenizmu, więzień obozów koncentracyjnych, w książce „Nowy człowiek” opowiada, że w czasie pierwszej wojny światowej pełnił funkcję kapelana wojskowego. Żołnierze katoliccy i protestantcy byli ze sobą

zmieszani. Kapelan zauważył, że niektórzy z ciekawością patrzą na jego prawą nogę. Trwało to dłuższy czas. Wreszcie ksiądz zagadnął jednego z żołnierzy, dlaczego tak uporczywie spogląda na jego nogę. Wówczas usłyszał odpowiedź, że przecież każdy katolicki ksiądz ma prawą nogę zakończoną końskim kopytem.

Żołnierze ci powinni być sobie bardzo bliscy. Przecież nosili znamię chrztu św., modlili się do Chrystusa. Mówili tym samym językiem, byli dziećmi tej samej ojczyzny, należeli do tego samego kręgu kulturowego i cywilizacyjnego, służyli w tej samej armii i jednostce wojskowej. Nawet mieszkali w tym samym budynku. A przecież tak bardzo byli sobie obcy. Jesteśmy szczęśliwi, że obecnie pod wpływem ruchu ekumenicznego sprawy te polepszyły się.

Podobnych przykładów życie dostarcza wiele. Dlatego ludzie powinni się wzajemnie poznawać. Cięży na nich obowiązek dostrzegania i poszukiwania dobra u tych, z którymi się codziennie spotykają, rozumienia i wnikania w sytuacje, w jakich się znajdują.

Te ogólnoludzkie zasady odnoszą się tym bardziej do dwóch wielkich rodzin duchownych, kleru diecezjalnego i zakonnego.

Analizując problem, warto rzucić okiem na kler zakonny. Zdecydowana bowiem większość księży diecezjalnych pracuje w parafiach. Ich wysiłki, zaangażowanie duszpasterskie są łatwo dostrzegalne. Natomiast dla zakonników, jak świadczy historia, praca parafialna stanowiła uboczne zajęcie. Mieli oni inne zadania, realizowane czasem tylko za murami, nie tak bardzo widoczne. Warto je przypomnieć.

Zakonnicy wykonywali tę pracę, która w danej chwili, sytuacji, epoce najbardziej Kościołowi była potrzebna. Zawsze głosili Ewangelię, ale równocześnie podejmowali się duszpasterstwa społeczno-oświatowego, wynikającego zresztą bezpośrednio z ewangelicznego prawa miłości. Powstawały więc zakony do wykupu niewolników, do budowy mostów, czy też zakony rycerskie. Cystersi i Kartuzi uczyli, wysoko na ówczesne czasy postawionej, uprawy roli i przetwarzania jej produktów. Zakonnicy wprowadzali ludy Europy w sztukę czytania i pisanie. Dzięki żmudnej

pracy benedyktynów zachowano wiele skarbów literatury i filozofii starożytnej. Zakonnicy budowali schroniska dla opuszczonych i szpitale, kładli zręby pod dzisiejszą opiekę społeczną. Ich dziełem były i są przeróżne szkoły, kolegia, jak również uniwersytety. Gdy Sobór Trydencki polecił organizować seminaria duchowne w naszym dzisiejszym pojęciu, zakony podjęły się tego zadania. Osobna wspaniała karta zakonników — to misje zagraniczne. Dzięki tej pracy, prowadzonej prawie wyłącznie przez nich, światło Ewangelii rozbiły się w tylu krajach i kontynentach.

Wielkie bogactwo form życia zakonnego odpowiadało aktualnym potrzebom Ludu Bożego. Bardzo często w ciągu dziejów zakonnicy znakomicie odczytywali znaki czasu. Dzisiaj wiele ich zadań i celów straciło swą aktualność. Przed zakonami stanął problem bezbłędnego odczytywania nowych znaków czasu, konieczność dostosowania się do nowych sytuacji i potrzeb duchowych chrześcijan.

PRACA DUSZPASTERSKA ZAKONÓW

To dostosowanie się zakonów do nowych warunków pracy duszpasterskiej w różnych krajach przybiera różny charakter. I tak np. zaraz po drugiej wojnie światowej w ojczyźnie naszej trudno było zakonnikom wyjeżdżać na misje zagraniczne, prowadzić szkoły i nadal realizować inne prace z okresu międzywojennego. Szeroko natomiast otwarło się dla nich pole pracy w duszpasterstwie parafialnym. Setki nowo powstających parafii na Ziemiach Zachodnich były bez kapłanów. Rządcy diecezji prosili zakonników o pomoc, powierzając im te parafie. Ale gdy dziś droga na misje zagraniczne znowu staje otworem, coraz więcej zakonników, zostawiając parafie, udaje się do Afryki lub innych krajów albo też do placówek polonijnych.

Wielu przełożonych zakonnych i teologów życia zakonnego postuluje dalsze wycofywanie się zakonników z duszpasterstwa parafialnego. Chodzi właśnie o realizację odnowy soborowej, w myśl której zakon-

nicy muszą zachować swoją tożsamość (identitas) zakonną. Niemniej powojenne włączenie się w duszpasterstwo parafialne było tak wielkie, że obecnie jeszcze 70% zakonników w Polsce pracuje w tymże duszpasterstwie. Warto tu pewne fakty przypomnieć.

Komisja Episkopatu d/s zakonnych w każdym roku żąda od prowincjałów sprawozdania z prac ich zgromadzeń i zakonów. Dane statystyczne zapewne zainteresują czytelnika. Mogą się też przydać historykowi. W pewnym stopniu umożliwiają lepsze wzajemne poznanie się księży diecezjalnych i zakonnych, a co za tym idzie i lepsze zrozumienie się. Dlatego za zgodą wyżej wspomnianej Komisji, podaję je do wiadomości. Oto niektóre dane zawarte w „Kwestionariuszu Duszpasterskim Zakonów Męskich w Polsce za rok 1976”.

I. Ilość prowadzonych przez Zakony:

1. parafii	497
2. rektoratów lub wikariatów	176
3. kościołów i kaplic nie objętych pod 1 i 2	451

II. Liczba księży zatrudnionych jako:

1. administratorzy parafii	488
2. rektorzy i wikariusze	184
3. wikariusze parafialni	643
4. katecheci nie będący ani administratorami, ani wikariuszami	779
5. duszpasterze przy innych niż parafialne kościołach lub kaplicach dostępnych dla wiernych (nie objęci pod II. 1—4)	544
6. kapelani szpitalni i sanatoryjni	181
7. duszpasterze akademicki	124
8. duszpasterze wczasowi i turystyczni	90
9. duszpasterze specjaliści dla głuchoniewidomych, niewidomych	53

III. Ilość przeprowadzonych w roku 1976:

1. misji ludowych serii	1039
2. rekolekcji serii	5851
3. triduów, nowenn serii	1881
4. przygotowań do peregrynacji serii	349
5. dni skupienia dla poszczególnych grup wiernych serii	2801

IV. Rekolekcje dla osób duchownych:	
1. dla kleru diecezjalnego . . . serii . . .	192
2. dla zakonników serii . . .	241
3. dla zakonnice serii . . .	874
V. Dni skupienia (Konferencje Dekanalne, Rejonowe):	
1. dla duchowieństwa	1200
2. dla zakonnice	3009
VI. Inne prace zakonników.	
1. liczba zakonników prowadzących szkole- nie dla zakonnice	339
2. liczba spowiedników w domach zakon- nych żeńskich	752
3. liczba spowiedników w diecezjalnych se- minariach	65
4. liczba zakonników pracujących w Ku- riach Biskupich	50
5. liczba zakonników pracujących w Ko- misjach Diecezjalnych	130
6. liczba zakonników pracujących w Ko- misjach Episkopatu	63
7. liczba zakonników — wykładowców w Seminariach Diecezjalnych	64
8. liczba zakonników — wykładowców na KUL i ATK	72

Cyfry są imponujące. Wiadomo, że kler zakonny stanowi około 1/3 duchownych w Polsce. Gdybyśmy chcieli podać dane cyfrowe drugiej rodziny głoszącej w ramach kapłaństwa hierarchicznego Ewangelię Chrystusową w naszej Ojczyźnie, a więc kleru diecezjalnego, to cyfry byłyby o wiele bardziej imponujące. Tym bardziej, że doskonale wiemy, z jaką gorliwością i często nadzwyczajną pracowitością, księża diecezjalni duszpasterzują w swych placówkach.

KONTAKTY KLERU DIECEZJALNEGO I ZAKONNEGO NA TERENIE PARAFII

a. Kler diecezjalny ma wielkie zrozumienie i zachowuje bardzo życzliwą postawę wobec księży zakon-

nych, pracujących na misjach zagranicznych, w ośrodkach społecznego przekazu, w szkołach czy zakładach wychowawczych. Jest to rzecz zupełnie naturalna.

Wszakże książki religijne i prasa katolicka tak bardzo pomagają w pracy parafialnej. Nadto zakonnicy, wyjeżdżając na misje zagraniczne, w szczególny sposób odciążają biskupów i kler diecezjalny w ich obowiązkach ewangelizacji świata. Duchowni diecezjalni, którzy podejmują pracę misyjną za granicą, dobrze wiedzą, jak wielorakiego wysiłku i trudu ona wymaga. Obecnie ilość polskich kapłanów pracujących na misjach zagranicznych wynosi około 800, w tym 90% stanowią księża zakonni.

b. Ewentualne różnice zdań czy nawet zadrażnienia zaczynają się wówczas, gdy na terenie konkretnej parafii istnieje dom zakonny wraz z kościołem lub kaplicą. Tu księża zakonni celebrują nabożeństwa, głoszą kazania, słuchają spowiedzi, czasem katechizują. Prowadzą więc niektóre działy duszpasterstwa parafialnego. Rzecz naturalna, do tych kościołów i kaplic zakonnych uczęszczają wierni. O ile parafia jest duża, praca zakonników może stanowić uzupełnienie działalności księży diecezjalnych. Ale gdy parafia należy raczej do mniejszych, obecność księży zakonnych może być uważana za zbędną, a nawet za pewnego rodzaju niepotrzebną konkurencję duszpasterską. Wówczas proboszcz myśli, że bez nich byłoby lepiej.

Sytuacja może być podobna do tej, gdy w jednym mieszkaniu znajdują się dwie rodziny. Powstają wtedy nieporozumienia a nawet konflikty. Trudno co prawda mówić o konfliktach między klerem diecezjalnym a zakonnym, ale różne niedomówienia w tym wypadku na pewno istnieją.

Otóż dla proboszcza byłoby niewątpliwie lepiej, gdyby sam „gazdował” na swym terenie. Jednak nie da się uniknąć tego rodzaju sytuacji. Zakony bowiem w wielu parafiach mają swoje historyczne gniazda. Niektóre nawet istniały przed soborem Trydenckim, który stworzył dzisiejsze pojęcie parafii terytorialnej. Zakony, o ile mają istnieć i spełniać swe tak bardzo pożyteczne, a nawet nieodzowne dla Kościoła zadania, muszą na jakimś terytorium posiadać swe domy. Z ra-

cji prowadzonego duszpasterstwa mają pewne dochody. Zdobywają je z konieczności, by utrzymać swe seminaria duchowne czy domy przeznaczone dla emerytów.

Równocześnie trzeba jednak bardzo mocno podkreślić nadrzędność parafii nad kościołami rektoralnymi (filialnymi) zarówno diecezjalnymi jak i zakonnymi w zagadnieniach duszpasterskich. Jest tylko jeden gospodarz na terenie parafii w sprawach duszpasterstwa, mianowicie ksiądz proboszcz.

W roku 1974 Konferencja Plenarna Episkopatu zatwierdziła „Porozumienie zawarte pomiędzy ordynariuszem diecezji, a ordynariuszem zakonu w sprawie powierzenia zakonowi parafii na stałe lub na pewien czas”. Wytyczne mieszczące się tam normują wiele zasadniczych spraw odnoszących się do pracy kleru zakonnego w diecezji, jak również w parafii. Jednak każda najwyższa uchwała, konstytucja czy przepis prawny potrzebują do swej realizacji korzystnego klimatu. Ten klimat postuluje ostatni Synod Krakowski M. in. w dokumencie „Instytuty zakonne w służbie Kościoła krakowskiego” czytamy: „Współzycie osób zakonnych z duchowieństwem diecezjalnym i całą wspólnotą wiernych Archidiecezji niech się układa w oparciu o wzajemną życzliwość i szacunek, w poczuciu współodpowiedzialności za dobro Kościoła”.

Ten klimat starała się wytworzyć Krakowska Rada Kapłańska. W ramach owej Rady grupa doświadczonych księży diecezjalnych i zakonnych, przepojona chęcią stworzenia jak najbardziej przyjaznej atmosfery między dwoma rodzinami, po wnikliwych debatach ustaliła pewne słuszne zasady i szczegółowe przepisy normujące współpracę proboszcza z księżmi mieszkającymi w placówce filialnej na jego terenie. Byłoby bardzo wskazane, by księża obydwóch rodzin zapoznali się z tymi lub im podobnymi przemyśleniami ze swych diecezji.

Krakowska Rada Kapłańska (w dn. 8.XI.1977 r.) m. in. postanawia: „Kapłani diecezjalni i zakonni powinni się wzajemnie odwiedzać i wspomagać przy okazji różnych uroczystości i świąt. Zachęca się rektorów kościołów zakonnych i diecezjalnych, sąsiadujących

ze sobą, aby ogłaszali wiernym w swoich kościołach o prymicjach, jubileuszach i innych uroczystościach miejscowego kleru". Rada Kapłańska zaleca dalej ścisłą i szczerą współpracę kleru w dziedzinie budzenia powołań i udzielania pomocy kandydatom niezależnie od tego czy wybierają kapłaństwo w diecezji, zakonie, czy pracę na misjach.

Według zaleceń Rady kapłani zakonni na placówce filialnej winni uwzględniać program duszpasterski całej diecezji, m.in. odczytywać listy Ordynariusza i Episkopatu. Między proboszczem a duszpasterzami ośrodka filialnego winno być zawarte porozumienie, uwzględniające następujące sprawy:

1. porządek Mszy św. i nabożeństw,
2. podawanie do wiadomości ważniejszych ogłoszeń parafialnych i zakonnych,
3. sprawy katechizacji,
4. ustalanie terminów miejscowych odpustów i uroczystości, a także rekolekcji i spowiedzi, zwłaszcza adwentowej i wielkanocnej,
5. zaopatrywanie chorych i umierających oraz odprawianie Mszy św. w domu chorego,
6. odwiedzanie rodzin w ramach kolędy.

Krakowska Rada Kapłańska słusznie również postuluje, by kapłani zakonni rozbudzali wśród wiernych świadomość przynależności do własnej parafii, przez którą są włączeni do kościoła lokalnego, a tym samym powszechnego. Osobom zgłaszającym się o udzielenie sakramentów notowanych w księgach metrykalnych (chrzest, ślub), a także załatwiających sprawy pogrzebu, duchowni zakonni mają wytłumaczyć, że powinni to załatwić w parafii. Z drugiej strony, w razie uzasadnionej przyczyny, proboszcz winien się zgodzić na te obrzędy w kościele filialnym.

c. Zdarza się czasem, że w sąsiedztwie parafii, prowadzonej przez kapłanów diecezjalnych, powstaje parafia zakonna. I rodzą się często zarzuty, że księża zakonni gorzej prowadzą duszpasterstwo parafialne od duchownych diecezjalnych. Ale różnie z tym bywa. Rzeczywiście, kapłan zakonny przeniesiony do duszpasterstwa parafialnego z zupełnie innej pracy, w

pierwszych latach jako nowicjusz w tym dziale wykazuje różne braki. Prędzej jednak czy później opanuje sztukę duszpasterską w stopniu zależnym od jego zdolności. Podobnie kapłan diecezjalny, obejmujący pracę np. w zakładzie wychowawczym lub w wydawnictwie, na początku też będzie miał trudności.

d. Istnieje opinia, że zakonnicy pracujący w parafii lub w rektoracie, nie udzielają się sąsiadom towarzysko, mało ich odwiedzają, lub u siebie nie wytwarzają atmosfery, sprzyjającej sąsiedzkim odwiedzinom. Jest w tym trochę racji. Może stoją tu na przeszkodzie konstytucje zakonne, które w określonej godzinie nakazują odmawiać wspólne pacierze, rozmyślanie czy zalecają inne zajęcia ściśle zakonne. Obserwujemy jednak liczne przykłady, gdy zakonny proboszcz lub wikary doskonale zgrali się duszpastersko i towarzysko z diecezjalnymi sąsiadami. Ci ostatni chętniej nawet się spotykają z zakonnymi duszpasterzami, niż z kolegami z ławy seminaryjnej. Byłem raz świadkiem, gdy kapłani diecezjalni z największym żalem żegnali zakonnego sąsiada — proboszcza, odwołanego ze swej placówki do innej pracy. W przemówieniach zaznaczyli, że był ich serdecznym przyjacielem, bardzo chętnym do wszelkiej współpracy i niesienia pomocy. Należał do kleru zakonnego, ale jak podkreślano, uważano go właściwie za kapłana diecezjalnego. Niekiedy znów duchowny diecezjalny uważany jest przez zakonników prawie za kapłana zakonnego. Tak pogłębia się wzajemna przyjaźń. Jak wszędzie, również i tu bardzo dużo, właściwie prawie wszystko, zależy od ludzi.

Prowincjał powinien dlatego wyznaczać na placówkę, która sąsiaduje z parafiami diecezjalnymi, zakonika łagodnego usposobienia, umięjącego współżyć z innymi. Wypada, by również i Kuria Biskupia na parafię, na której terenie istnieje dom zakonny, kierowała proboszcza o niekonfliktowym usposobieniu.

e. Należałoby też bardziej obiektywnie spojrzeć na te domy zakonne, w których mieszka kilkunastu, czy nawet więcej zakonników. Ich znaczna liczba staje się, mówiąc otwarcie, powodem do podejrzeń o lenistwo ze strony diecezjalnych konfratrów, szczególnie wówczas, gdy bardzo potrzebują duszpasterskiej pomocy.

Tu jednak dużo zależy od przełożonego. Zazwyczaj ma on poczucie odpowiedzialności i tyle przyjmuje pracy dla zakonników, i tak ją rozłoży, by każdy dał z siebie jak najwięcej wysiłku. Podobnie organizuje zajęcia dla swych wikariuszów przełożony dużej parafii diecezjalnej.

Jako proboszcz wielkowiejskiej parafii niejednokrotnie potrzebowałem wielu spowiedników równocześnie. Trudno było ich zdobyć, szczególnie przy założeniu, by swoi katecheci i wikariusze nie opuszczali katechizacji. Udawałem się więc z prośbą do sąsiednich domów zakonnych. Kiedyś zapukałem do jednego z nich, o którym mówiono, że o ile gdzie, to tam znajdę spowiedników. Mieszkało tam aż 22 kapłanów. Przełożony wyjaśnił mi jednak, że 5 z nich pełni czasochłonne prace kapelanów, 6 w terenie prowadzi rekolekcje, 1 ma prace w seminarium. 3 zajętych jest stale przy własnym kościele rektoralnym, a 7 to emeryci, chorzy i staruszkowie, potrzebujący nawet pielęgniarskiej opieki. Osobiście stwierdziłem, że w dniu na którym mi tak zależało zakonnicy mieli obiektywne trudności w przyjsciu z pomocą.

Niedociągnięcia czy braki w pracy kleru zakonnego lub diecezjalnego zależą tylko od ludzi. Nie ma z tym nic wspólnego np. struktura zakonów. W ciągu wieków odzywały się głosy za zniesieniem pewnych zakonów, co zresztą niekiedy miało miejsce. Ale winę prawie zawsze ponosili ludzie, którzy nie wypełniali przepisów konstytucji zakonnych. Inni w tych samych instytucjach, strukturach zakonnych przynosili Bogu wiele chwały. Z powodu błędów jednostek czy grup, nie można podważać istnienia samych instytucji. Uogólnienie, jak zawsze, i tu nie może mieć miejsca.

f. Kler diecezjalny i zakonny jest w istocie ze sobą ściśle złączony, sobie potrzebny i przeznaczony do wzajemnej pomocy i współpracy. Chodzi o utrzymanie korzystnego klimatu, wzajemnej przyjacielskiej atmosfery. Wówczas ewentualne konflikty w ogóle nie ujrzą światła dziennego, a problemy ulegną złagodzeniu. Życie i pracę tych dwóch rodzin musi cechować ścisła współpraca i harmonia, a wtedy osiągnięcia są znakomite. Ujemne następstwa niedomówień, czy wza-

jemnego nieporozumienia nie pozwalają zazwyczaj długo na siebie czekać. Te dwie rodziny muszą się przede wszystkim dobrze poznać, zrozumieć, znać prawdę o sobie.

ZAKONY ODCZYTUJĄ ZNAK CZASU

Różne są formy i rodzaje pracy zakonników. W różnych szerokościach czy długościach geograficznych prowadzą pracę misyjną, oświatową, wychowawczą, wydawniczą. W dawnych i nowych diecezjach kierują powierzonymi przez biskupów parafiami. Pracują też w rektoratach, wykonują pomocnicze prace na terenie parafii, spełniają również funkcje duszpasterskie. Często zakonnicy, nie zaangażowani w duszpasterstwie parafialnym, muszą się jednak włączać w ogólnokrajowe lub diecezjalne akcje duszpasterskie. Wyłania się konieczność realizowania nowych zadań. Szczególnie w dobie posoborowej jasno rysuje się obowiązek pełniejszego włączania się w aktualne zadania kościoła diecezjalnego. Często chodzić będzie o partykularne prace. Właśnie dzięki takiemu przestawieniu się zakony odnajdują swe nowe miejsce w Kościele, najlepiej realizują odnowę soborową i synodalną.

Sprawa jednak nie jest prosta. Wybrani delegaci kapituł generalnych i prowincjalnych muszą się dobrze napracować, by swe wspólnoty skutecznie i bezpiecznie wprowadzić na nowe tory. Zakony bowiem powinny bezwzględnie zachować swą odrębność. Nowe duszpasterskie zadania mogą realizować tylko jako zorganizowane grupy zakonne, a nie jako poszczególni ludzie. Gdyby zakonnicy jako jednostki występowali w swym własnym imieniu, zagubią swój charakter zakonny, Kościół poniesie straty, a ich zakon sprawę przegra, po prostu zagubi się w gąszczu współczesnych poszukiwań, konfliktów i trudności.

Zakonnicy mieszkający wspólnie, realizujący rady ewangeliczne, mają najbardziej teologiczne podstawy do pracy apostołskiej i duszpasterskiej w Kościele posoborowym. Są ściśle z nim związani, stanowią żywą część Kościoła.

MOJE SPOTKANIE Z AMERYKAŃSKĄ POLONIA

Wypowiedzi kard. Jana J. Króla, przybyłego na uroczystości oświęcimskie ku czci błog. Marii Maksymiliana, napełniły serca katolickiego społeczeństwa polskiego radością. Postawa tego kardynała, wyraźnie podkreślającego swe polskie pochodzenie, przypomniła nam braci, którzy od nas wyszli i znaleźli nową ojczyznę za oceanem, ale przeróżnymi więzami są z nami złączeni.

Właśnie ich odwiedziłem, udając się do Stanów Zjednoczonych, zaproszony przez proboszcza ks. Gotharda Krzysteczko na uroczystości 75-lecia polskiej parafii pod wezwaniem św. Stanisława Kostki w Brooklynie, N.Y., prowadzonej przez polskich kapłanów ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy. Odwiedziłem przy okazji kilkanaście polonijnych parafii. Rozmawiałem z liderami Polonii, z biskupami i dziesiątkami księży polskich i polskiego pochodzenia. Będąc tam trzy miesiące, miałem możliwość spojrzenia z bliska na problemy dzisiejszej Polonii.

Należałoby najpierw sprecyzować, co nasi rodacy na drugiej półkuli i w Polsce rozumieją przez słowo „Polonia”.

Otóż jedni uważają, że Polonię stanowi przeszło milion osób należących do poszczególnych organizacji polonijnych, religijnych i świeckich. Inni sądzą, że Polonia to przede wszystkim ci, którzy słuchają polskich kazań, modlą się i spowiadają po polsku.

Inni wreszcie do Polonii zaliczają ok. 10 milionów Amerykanów polskiego pochodzenia. Część z nich jest dość ściśle związana ze starą ojczyzną, większość jednak bardzo luźnie.

Wydaje się, że ta trzecia grupa to właśnie amerykańska Polonia.

Przybywając świeżo z Europy, chciwie chłonałem to nowe i inne na drugim kontynencie. Bez przerwy porównywałem. Jako byłego proboszcza bardzo interesowało mnie zagadnienie parafii polonijnej. Przez parafię polonijną rozumiem przy tym taką, w której przynajmniej jedna Msza święta odprawiana jest w języku polskim. W samym Chicago tego rodzaju parafii do niedawna było ponad 60, a obecnie jest jeszcze 40. W Kanadzie można ich naliczyć ponad 80. Mają one przy tym dość zróżnicowany charakter. Stanowią o nim różne grupy polonijne (stara, nowa i najnowsza emigracja), jak również odpowiednio wysoka ilość wiernych z innych grup etnicznych, wchodzących w skład tej wspólnoty parafialnej.

W amerykańskiej parafii polonijnej uderza kryzys szkoły parafialnej, podstawowej i średniej. Trzeba tu dodać, że w USA szkoły parafialne kosztem olbrzymich wyrzeczeń budowali tylko katolicy. Protestanci posyłali dzieci do szkół państwowych, gdzie religii nie było.

Wśród różnych grup etnicznych najwspanialsze kościoły i szkoły wybudowali polscy emigranci. Ale niestety, jak już powiedziałem, dziś polonijna szkoła parafialna przeżywa wyraźny kryzys. Jego źródło — jak to stwierdził już kard. Król w wywiadzie dla Tygodnika Powszechnego — tkwi zasadniczo w braku żeńskich powołań zakonnych, choć ogólna sytuacja ekonomiczna kraju wchodzi tu także w grę. Dotychczas polskie felicjanki, nazaretanki i inne zakonnice, za bardzo niską odpłatnością uczyły w tych szkołach wszystkich przedmiotów, również religii, i to po kilka godzin tygodniowo w poszczególnych klasach. Księża uczyli religii przeważnie w szkołach średnich. Obecnie świeckie nauczycielki — najczęściej posiadające rodziny — rzecz to zrozumiała, muszą mieć znacznie wyższe pensje. A tego budżet parafialny nie wytrzymuje. Niektórzy proboszczowie zgłosili do władz stanowych, by przejęły szkoły parafialne. I rzecz dla nas dość paradoksalna: władze wcale się do tego nie kwapią, tłumacząc się brakiem pieniędzy na te cele. Zresz-

tą — zdaniem tych władz — wychowanie to przede wszystkim domena religii. Wiele szkół parafialnych, szczególnie średnich, przestało już istnieć. Bardzo licznym grozi likwidacja. Przed księżmi stoi trudny problem zorganizowania katechizacji pozaszkolnej. Niektórzy nasi wytrawni i doświadczeni katecheci mieliby tam w tej sprawie dużo do powiedzenia. Swoją drogą problem katechizacji pozaszkolnej traci tam na ostrości, gdyż również przez środki masowego przekazu Ewangelia jest często głoszona.

Inny kłopot, który spadł na polonijną parafię, to specyficzna dla wielkich miast północnoamerykańskich migracja ludności. Zdarza się, że w pewnej dzielnicy zaczynają się osiedlać Portorikanie lub Murzyni. Pod ich naporem wycofują się nasi ludzie, zostawiając piękne kościoły, szkoły, domy parafialne. Ginie etnicznie dość jednolita parafia polonijna. Rodacy przenoszą się najczęściej do nowych dzielnic. Tam jednak nie ma już polonijnej wspólnoty parafialnej. Włączają się więc do budowy nowej parafii, niestety, już nie polonijnej. Niekiedy pozostawione świątynie świecą pustką, bo nowi przybysze są religijnie obojętni lub w ogóle nie są katolikami. Jednym słowem, migracja ludności mocno uderza w polonijne parafie. Dla wielu z nich niesie wprost likwidację i zagładę.

Parafia polonijna, choć w stopniu znacznie mniejszym niż typowa amerykańska, przeżywa również kryzys właściwy parafiom zachodnioeuropejskim. Jednym z jego przejawów jest zmniejszająca się ilość zgłoszeń do seminariów duchownych. Zaraz po wojnie katolicy amerykańscy byli dumni ze swych licznych powołań. Dziś sytuacja bardzo się pogorszyła. Brakuje kandydatów do seminariów, szczególnie tam, gdzie odnowę soborową zaczęto stosować bez gruntownych przemyśleń.

W parze z brakiem powołań idą znane wszystkim trudności, mające swe źródło w bogactwie i praktycznym materializmie, raczej nie sprzyjającym życiu religijnemu.

Mimo wzmiankowych powyżej trudności, rzymskokatolicka parafia polonijna w porównaniu z innymi parafiami w USA trzyma się dobrze. Jest to niewątpliwa zasługa księży. Są oni pracowici i gorliwi. Oceniają też dość trzeźwo problemy nurtujące ich wiernych. Trzymają się, powiedziałbym, polskiego stylu duszpasterstwa. Jedną z jego zasadniczych cech jest kontakt z wiernymi, bezpośrednia łączność kleru z ludem Bożym.

Chcąc rzucić garść konkretnych danych z polonijnej parafii, warto wspomnieć, że na pasterkę przychodzą wierni bardzo licznie, na rezurekcję — słabiej. Podobnie jak u nas, zanikają, niestety, nieszpory i gorzkie żale. Gorliwsi księża urządzają nadal 40-godzinne nabożeństwa, popularne tam „czterdziestki”. Byłem mile zdziwiony, gdy w niedzielę, na zakończenie takiego nabożeństwa, kościół był pełny. Z wiernymi modliło się około 30 księży z okolicznych parafii. Niektórzy z nich spowiadali. U nas w Polsce zgromadzić w mieście, w niedzielę po południu, wiernych na osobne nabożeństwo, to nie taka prosta sprawa.

Każda parafia wydaje tygodniową gazetkę, której treść stanowią najczęściej różne ogłoszenia parafialne. Niektóre szpalty prowadzone są w języku polskim. Najlepiej redagowanym pismem tygodniowym tego typu jest „Patron” parafii XX. Misjonarzy w Brooklynie, N. Y.

W USA uderza wielka ilość figur sakralnych przy kościołach, plebaniach, domach zakonnych i domach prywatnych. Amerykanie lubią manifestować swą religijność na zewnątrz.

W okresie Bożego Narodzenia miasta amerykańskie przybierają wyjątkowo odświętny wygląd. Katolicy i protestanci umieszczają wielką ilość choinek w oknach, na balkonach, tarasach, schodach. Są one wspornie iluminowane, często pomysłowo i artystycznie.

Zjawiskiem bardzo charakterystycznym w amerykańskim duszpasterstwie są domy pogrzebowe. Już w Polsce słyszałem na temat form pogrzebowych złośliwe dowcipy. Akceptuję jednak tamtejsze domy po-

grzebowe. Bo u nas w kraju ze zmarłą osobą rozstajemy się z reguły bardzo szybko, choć rodzina często chciałaby ją jeszcze mieć przy sobie, bo był to ktoś najdroższy. Niestety, warunki mieszkaniowe w naszych miastach nie sprzyjają temu. Kaplic i domów pogrzebowych jest niewiele. Amerykańskich zaś domów pogrzebowych jest dużo. Są one też bardzo obszerne. Zmarłego umieszcza się tam w pokoju — kaplicy. Jest częściowo zabalsamowany, spoczywa w odkrytej trumnie. Najbliżsi i przyjaciele przychodzą się pomodlić. Mogą sobie również porozmawiać w znajdujących się obok wygodnych pomieszczeniach. Przybyli spotykają się tu nawet towarzysko. Zmarły — można powiedzieć — głosi, licznie odwiedzającym go po raz ostatni, głębokie kazanie o przemijaniu tego świata.

W parafii polskiej organizacje religijne, nawet te dawnego typu, nadal stanowią jej pozytywny element. W nich skupia się m. in. życie towarzyskie wiernych. Organizują one liczne spotkania rozrywkowe. Zabawy sylwestrowe, karnawałowe i inne odbywają się pod patronatem księży i są... udane.

Parafie te stanowią ostoję polskiego folkloru. Nasze ludowe tańce i pieśni cieszą się wielkim powodzeniem. W salach, w specjalnych pomieszczeniach są bardzo bogate zestawy polskich, regionalnych strojów.

Odnowę soborową parafia polonijna realizuje z umiarem. Najbardziej widocznym jej przejawem jest usunięcie języka łacińskiego z liturgii. Niestety jego miejsce zajmuje z reguły język angielski a nie polski.

I tu wielkie wołanie o natychmiastowe przetłumaczenie tekstów liturgicznych na język polski. Byłem bardzo często o te sprawy pytany. Duchowni i świeccy działacze polonijni prosili i nalegali, byśmy rozumieli ich sytuację. Chodzi tu o wszystkie nowe teksty liturgiczne, ukazujące się w związku z soborową reformą liturgii. Wielu księży bardzo ubolewa, że przez opóźnianie tych tekstów w języku polskim setki nabożeństw w naszym języku zostało zlikwidowanych. Gdy się raz wprowadzi język angielski, zmiana jest już niemożliwa. Księża polonijni — gorliwi patrioci, nie żądają świetnych stylistycznie przekładów, które potrzebne są w Polsce. Chcą natomiast, by po ukazaniu

się oficjalnych tekstów Stolicy Apostolskiej dokonać natychmiastowego tłumaczenia tylko dla Emigracji, zatwierdzonego oczywiście przez Episkopat Polski. Kraj może czekać na piękne tłumaczenie znacznie dłużej. Po ich dokonaniu można zastąpić nimi i w parafiach polonijnych pierwotne tłumaczenia.

Kościół amerykański często szuka nowych dróg. Idzie za wiernymi, by głosić im skutecznie naukę Chrystusa. Tak np. w potężnym domu towarowym Albany, N. Y., znajduje się mały kościółek. Przez cały dzień zakonnicy w habitach utrzymują w nim dyżur. Po dokonaniu zakupów można się tam pomodlić, wyświadczyć, zacytować informacji, złożyć ofiarę na Mszę św. Zakonnik mówił, że dziennie ok. 1000 osób odwiedza ten kościół.

W najnowszych dzielnicach drapaczy chmur, liczących 30—50 pięter, świątynie znajdują się w tych budynkach, zajmując kilka kondygnacji. Pod względem architektonicznym niełatwo nawet byłoby wkomponować w całość małe świątynie. Odgrywają tu również rolę względy praktyczne.

TRZY BASTIONY POLSKOŚCI

Rzecz to zupełnie naturalna, że przybysz z Polski, zdając sobie doskonale sprawę, iż znajduje się w innym świecie, dla którego ma zrozumienie i szacunek, szuka jednak wszędzie śladów polskości. Trzeba stwierdzić, że w parafiach polonijnych polskość jest najczęściej zagubiona. Wegetuje, zanika, bardzo często uzależniona jest od polskiego ducha księży. Polskość i troskę o nią wyraźnie widać obecnie w trzech jej bastionach. Są nimi Seminarium Polskie w Orchard Lake, „Godzina Różańcowa” i amerykańska Częstochowa.

ORCHARD LAKE

Polskie Seminarium Duchowne w Orchard Lake, położone nad pięknym jeziorem, powstało w 1884 r. Założycielem jego był ks. Józef Dąbrowski, uczestnik po-

wstania styczniowego. Przez mury tego seminarium przewinęło się ok. 20 tys. studentów, a teologię ukończyło 2 tys. Seminarium rozwijało się świetnie, podczas gdy poszczególne diecezje dopiero tworzyły swe własne zakłady teologiczne. Położyło ono olbrzymie i wyjątkowe zasługi, co również należy przypisać polskim zakonem, w dziele utrzymania naszych emigrantów w wierze katolickiej i polskości. Dziś Orchard Lake walczy z trudnościami, bo mogą się do niego zgłaszać kandydaci tylko z tych nielicznych okręgów, gdzie jeszcze nie ma zorganizowanych seminariów duchownych. W roku szkolnym 1969/70 Zakłady Naukowe w Orchard Lake (taka jest oficjalna nazwa seminarium) miały 212 studentów w high school, 100 w kolegium, 45 w seminarium polskim. Do dzisiaj cyfra ta nie zmniejszyła się. Zdecydowana większość wступujących do seminarium chłopców nie rozumie po polsku. Ale w Orchard Lake wszystko nastawione jest na to, by w nich obudzić ducha polskiego, by przybliżyć im Polskę. Świetna jest sala kultury polskiej, zorganizowana przez ks. Zygmunta Peszkowskiego. W gmachu duchownej uczelni znalazła pomieszczenie dobra, duża biblioteka. Seminarium ma sumiennych profesorów pod przewodnictwem rektora. Poprzedni rektor, ks. Władysław Zięba jest wielkim entuzjastą spraw polonijnych i Polski. Obecny rektor ks. Stanisław Milewski — to gorący patriota, wszczepiający wychowancom umiłowanie wszystkiego, co w Polsce miało i ma swój początek.

Seminarium, podobnie jak wszystkie wyższe katolickie szkoły w USA, boryka się również z dużymi trudnościami materialnymi, a także z tymi, które wynikają z odnowy soborowej. Dobrze je znają, szczególnie za granicą, rektorzy, ojcowie duchowni i profesorowie.

Orchard Lake odrębny tytuł do sławy zdobywa, wydając w języku polskim miesięczne piśmko „Pan z Wami”. Zawiera ono teksty liturgiczne i modlitwy na każdą niedzielę. Parafie mogą otrzymywać dowolną ilość tych zeszytów. Niestety, nie wszystkie są tym zainteresowane.

Dla inteligencji ks. Walery Jasiński wydaje również w języku polskim miesięcznik „Sodalis”.

GODZINA RÓŻAŃCOWA

Drugim bastionem polskości jest największa na świecie polska religijna sieć radiowa. Nosi ona nazwę Godzina Różańcowa Ojca Justyna. Siedzibą jej jest Buffalo. Przed 40-tu laty założył ją O. Justyn Figas. Do dzisiaj Godzinę Różańcową prowadzą Ojcowie Franciszkanie Konwentualni. Od 1959 r. kierownikiem Godziny Różańcowej jest O. Kornelian Dende, człowiek wielkiego umysłu i serca, jakby stworzony do prowadzenia tego dzieła. Urodził się w Ameryce, ale studia teologiczne ukończył przed wojną we Lwowie. Umie dobrze pracować. Będąc w studio Godziny Różańcowej nie mogłem się nadziwić, że tak ogromną akcję prowadzi tak niewielki zespół. O. Kornelian ma tylko dwóch współpracowników, O. Królikowskiego i O. Kozaka.

W Godzinie Różańcowej nie odmawia się różańca. Nazwa wyprowadza się stąd, że jak w różańcu poszczególne ziarenka złączone są w jedną całość, podobnie i program tej rozgłośni ma łączyć wszystkich Polaków. Godzina Różańcowa nadaje swój program raz w tygodniu przez pół roku, od początku listopada do końca kwietnia¹. Na program składa się półgodzinne przemówienie o. Korneliana, odpowiedzi na listy ze skrzynki zapytań, najlepsze nagrania polskich pieśni religijnych i błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem.

Program Godziny Różańcowej nadaje 60 radiostacji. Odbierają go nasi wierni prawie we wszystkich zakątkach USA i Kanady. Wpływ na odbiorców jest bardzo duży. Świadczą o tym tysiące listów przysyłanych do rozgłośni. O. Kornelian i jego dzielni współpracownicy starają się na listy odpowiadać indywidualnie. Jest to olbrzymia praca. Listy są pełne uczucia. Mieści się w nich smutek i radość polskiego serca, bijącego na ziemi Waszyngtona i Kościuszki.

Po przemówieniu w Godzinie Różańcowej (o. Kornelian zaprasza do studia także gości z Polski) również otrzymałem pewną ilość wzruszających listów.

¹ Od jesieni 1979 r. programy Godziny Różańcowej będą nadawane przez cały rok.

AMERYKAŃSKA CZĘSTOCHOWA

Nowym, bardzo pomyślnym zjawiskiem naszej Polonii jest „Amerykańska Częstochowa”. Powstała po roku 1960. Kościół i klasztor pauliński znajduje się w Doylestown, w odległości ok. 300 km od Nowego Jorku. Zakonnicy modlą się i pracują w habitach. Założycielem tej Częstochowy jest paulin, o. Michał Zembrzuski. Powiadał on, że słowo „Jasna Góra” ma wprost magiczne znaczenie w szeregach polonijnych. Kult Matki Boskiej Częstochowskiej przyciąga tysiące katolików i protestantów. Przeciętnie w niedzielę dojeżdża 10 tys. pielgrzymów z całych Stanów. Z okazji niektórych świąt jest ich jeszcze więcej. W czasie pobytu prezydenta L. Johnsona w amerykańskiej Częstochowie zgromadziły się setki tysięcy ludzi. Oczywiście, większość kazań głoszona jest w języku angielskim. Mimo to ten ośrodek kultu maryjnego bardzo pogłębia więź naszych rodaków ze starą ojczyzną. Wielu też Amerykanów, widząc, że wspaniałe sanktuarium maryjne wyrasta z ducha polskiej pobożności, nabiera szacunku dla naszego narodu.

Amerykańska Częstochowa rozbudowuje się. W pomieszczeniach pod kościołem Paulini organizują muzeum narodowych pamiątek. Obok klasztoru są załączki polskiego cmentarza. Wielu wybitnych działaczy emigracyjnych ze wszystkich zakątków globu pragnie tam złożyć swoje kości. Nawiasem dodam, że ranga duszpasterska a nawet gospodarcza miejsc wiecznego spoczynku jest w USA znacznie większa niż u nas. Wyraża się to m. in. wysokimi kontami zarządów cmentarzy w bankach.

Wracając do sprawy amerykańskiej Częstochowy, podkreślić również należy, iż jej przełożony wygłasza 15-minutowe pogadanki duszpasterskie w języku polskim, transmitowane przez 26 radiostacji.

Przed paru laty bardzo nas zaniepokoiły trudności finansowe amerykańskiej Częstochowy. Dobrze, że dzięki ofiarności Polonii i osobistej interwencji kardynała Johna Króla zostały one w znacznej już mierze zażegnane.

Jest to zagadnienie niezmiernie trudne i skomplikowane, mające przeróżne aspekty. Mowa polska zanika bardzo szybko w polonijnych parafiach i w polskich rodzinach. Świadczy o tym niewielka już ilość kazań w języku polskim, a przede wszystkim gwałtowny zanik prasy polonijnej.

Według niektórych źródeł przed pierwszą wojną światową było w USA 121 polskich publikacji prasowych, w tym 10 dzienników o nakładzie 250 tys. egz. i 101 periodyków o łącznym nakładzie około miliona egzemplarzy.

Przed drugą wojną światową w Stanach Zjednoczonych ukazywały się 82 pisma w języku polskim, w tym 8 dzienników o nakładzie prawie 140 tys. egz. i 74 periodyki o łącznym nakładzie ok. 460 tys. egz.

W roku 1962 wychodziły w USA już tylko 44 publikacje polonijne, w tym 6 dzienników z łącznym nakładem 70 tys. egz. i 38 periodyków o łącznym nakładzie ok. 320 tys. egz.

W r. 1971 jest już tylko 36 wydawnictw, w tym zaledwie 3 dzienniki o łącznym nakładzie ok. 25 tys. egz. i 33 periodyki liczące razem ok. 260 tys. egz., z czego jednak 80% stanowią dwutygodniki posyłane ubezpieczonym na życie, jako dodatek do ich ubezpieczenia. Tematem są prawie wyłącznie sprawy ubezpieczeniowe. Tylko 20% tych pism to periodyki problemowe i informacyjne.

Mimo tak bardzo pesymistycznych danych, liczni działacze polonijni nie załamują jednak rąk. Twierdzą, że wobec tego trzeba o Polsce dużo pisać w języku angielskim, przez co pogłębi się znajomość spraw polskich w społeczeństwie amerykańskim, dotychczas bardzo słaba, często wręcz fałszywa. Idąc po tej linii, p. Edward Piszek, milioner polskiego pochodzenia, sfinansował wydanie encyklopedii o sprawach polskich w języku angielskim.

Działacze pielęgnują również polski dorobek kulturalny. Chodzi tu przede wszystkim o nasz folklor, pieśni, tańce, zwyczaje. Wspólnota kulturowa stanowi

więc jeden z ważnych czynników łączących Polonię ze starą ojczyzną.

Działacze polonijni sądzą też, że znajomość języka polskiego można na pewno wśród Polonii ożywić i poszerzyć. Zaraz po wojnie odczuwało się w USA niechęć do grup etnicznych i ich języków. Od prezydenta Kennedy'ego sytuacja uległa dość znacznej poprawie. Obecnie mówi się dużo, że grupy etniczne nie tylko nie przeszkadzają jedności amerykańskiej, lecz owszem, wzbogacają jej kulturę.

Niektórzy działacze polonijni mocno agitują za nauką języka polskiego. Argumentują, że wykształcony, kulturalny Europejczyk czy Amerykanin zna zasadniczo co najmniej dwa języki. Jeden to język życia codziennego i interesów. Drugi język zdobywa się specjalną nauką. Znajomość tego języka świadczy o stopniu wykształcenia człowieka. Dlatego Anglicy uczą się francuskiego lub niemieckiego, Włosi angielskiego itp. Działacze postulują przy tym słusznie, by Amerykanin polskiego pochodzenia jako swój drugi język znał język polski, język swej dawnej ojczyzny i przodków. Przez ten język zdobywa klucz do skarbów polskiej kultury, która naprawdę jest piękna i wspaniała. Szczególnie jej duchowe wartości mogą się okazać bardzo pożyteczne dla amerykańskiej cywilizacji technicznej. Mogą być pewnego rodzaju witaminami dla schorowanego pod niektórymi względami (technizacja) organizmu amerykańskiego.

Sprawa przechowania skarbu mowy polskiej jest bardzo trudna, niemniej nie jest beznadziejna. Najpierw rodzice muszą ten skarb przekazywać dzieciom. Jest wiele rodzin, w których mówi się po polsku, bo rodzice o to dbają. Kosztuje to trochę trudu, ale w końcu jest możliwe do zrealizowania. W pewnych nawet rodzinach w oznaczonych dniach tygodnia mówi się tylko po polsku.

Języka polskiego mogą się uczyć również dzieci i młodzież w tzw. szkołach sobotnich. Istnieją one przy parafiach, przy których życie polonijne posiada żywsze rumieńce. W takiej szkole dzieci i młodzież uczą się polskiego, ćwiczą polskie pieśni, tańce itp. Młodzież przyjemnie spędza tam czas.

Wreszcie znajomość języka polskiego mogą nasi ludzie pogłębiać i podtrzymywać na polskich nabożeństwach. Wymaga to od nich pewnego wysiłku. Trzeba pojechać nieraz kilkanaście czy kilkadziesiąt mil dalej, by znaleźć się w polskim kościele. Istnieją tu jednak specyficzne trudności duszpasterskie. Bywa niekiedy tak, że ksiądz mówiący po polsku pracuje w parafii obcej mu etnicznie, a duchowny nie znający języka polskiego, zaangażowany jest w parafii polonijnej.

Tymczasem nasi wierni, nie tylko ci, którzy w ostatnich latach przybyli do USA, ale również znaczna część całej Polonii, najłatwiej zachowują żarliwą wiarę przez udział w polskich nabożeństwach. Uczestnicząc w nich, podtrzymują i pogłębiają swój katolicyzm, a równocześnie ducha polskość i mowę polską.

Do tej pracy trzeba jednak księży nie tylko znających język polski, ale kochających Polskę i gorliwych w głoszeniu Ewangelii. Rzecz oczywista, że w pracy swej uwzględniać muszą rzeczywistość amerykańską, zwłaszcza problematykę współżycia z innymi grupami etnicznymi.

Starając się o zachowanie języka polskiego pewne grupy profesorów postulują, by ten język uznano za jeden z tzw. podstawowych na wyższych uczelniach. Byłoby to bardzo zasadnicze osiągnięcie.

W szeregu wybitnych uczonych, z dawnej i nowej Polonii, starających się o właściwe miejsce dla języka polskiego również w świecie kultury amerykańskiej jest dużo nazwisk. Trudno mi wszystkie wyliczać, ale niech mi wolno będzie wspomnieć choć jedno, bardzo znane. Chodzi o prof. Pawła Łyska. Przez prawie 25 lat był wykładowcą Queen College na Uniwersytecie Nowego Jorku. Tu zyskał sobie wielkie uznanie władz uczelni i młodzieży. Na uniwersytecie tym, na którym studiuje przeszło 270 tysięcy studentów, wprowadził pełny program nauki języka polskiego i literatury.

Warto tu może dodać, że prof. Paweł Łysek jest znanym wśród Polonii pisarzem, stawianym obok Władysława Orkana, Kazimierza Przerwy-Tetmajera, a nawet Władysława Reymonta. Skarbiec literatury polskiej ubogacił następującymi pozycjami: „Z Istebnej

w świat", „Poszło na marne", „Przy granicy", „Twarde życie Jury Odcesty", „Marynka cera gajdosza", „Jano i jego zbójniczy kamraci". Jest autorem jeszcze innych książek.

Prawie całą treść tych dzieł literackich Paweł Łysek poświęca ukochanemu ludowi Beskidu Cieszyńskiego. Sam będąc jego dzieckiem z doskonałym znawstwem opisuje jego życie ¹.

KONIECZNOŚĆ UTRZYMANIA WIĘZI

Wyjeżdżając do Ameryki nie przypuszczałem, że od tam będę chodził z nowym problemem. Właśnie z problemem Polonii amerykańskiej. Bo co innego czytać i słuchać o naszych rodakach, a co innego rozmawiać, patrzeć im w oczy, przeżywać spotkania z nimi. Przemawiając do nich w kościołach i spotykając się w salach, widziałem niekiedy w ich oczach łzy. Byłem świadkiem wzruszających scen, gdy do polskości przyznawali się ludzie urodzeni w Ameryce i ledwie mogący wymówić kilka zdań. Pewnie, że stanowią oni małą grupę wśród Polonii. Jednak są. I trzeba by im pomóc. Szczególnie modlitwą w ich intencji. Niektórzy księża prosili, by w starej ojczyźnie modlić się podczas Mszy w „modlitwie wiernych" za Polaków żyjących na różnych kontynentach. Również w USA.

Jedną z bardzo skutecznych form podtrzymywania i rozbudzania więzi uczuciowej naszych rodaków z oceanu ze starą ojczyzną nad Wisłą, jest zachęcanie ich do odwiedzania kraju przodków. Większość z przybywających „zaraża się" Polską. Wybaczają nam nawet błędy i niedociągnięcia.

Po powrocie bardzo często z rozrzwinięciem wspominają pobyt w Polsce. Niekiedy zaczynają się uczyć języka polskiego.

¹ Z prof. P. Łyskiem siedzieliśmy przed wojną na tej samej ławie gimnazjalnej w Krakowie. Byliśmy przyjaciółmi. Odwiedziłem Go w USA. Niestety, nieuleczalna choroba przerwała nić Jego życia w pełni twórczych sił. Wyraził życzenie by Jego prochy zostały na beskidzkim cmentarzu w rodzinnej parafii Istebna. Dnia 9 września 1978 r. odprawiłem za Niego nabożeństwo żałobne w kościele pełnym wiernych Mu ziomków beskidzkich. A potem wśród pięknej scenerii górskiej przyrody złożyliśmy Jego prochy na cmentarzu.

Na tematy Polonii trzeba więcej pisać, mówić i podjąć bardziej skuteczne niż dotąd działania. Chodzi przecież o setki tysięcy i miliony ludzi, którzy od nas wyszli. Jakże wiele łączy ich z nami. Oni też, jak świadczy historia, zwłaszcza minionego półwiecza, zawsze pamiętali o swej starej ojczyźnie i wiele jej pomogli.

I PRZEMÓWIENIE W STUDIO GODZINY RÓŻAŃCOWEJ

NASZE WSPÓLNE SPRAWY

Witam Was zacni Rodacy i miłe Rodaczki staropolskim: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Przyjechałem do Was 22.X.71 r. z Rzymu, gdzie byłem na beatyfikacji Ojca Maksymiliana Kolbego. Jestem tu po raz pierwszy. Zjawiłem się, by odwiedzić niektóre ośrodki Polonijne w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, by wziąć udział w różnych uroczystościach. W ramach moich podróży znalazłem się oczywiście i w Studio Godziny Różańcowej, Ojca Korneliana Dende, by podzielić się z Wami moimi spostrzeżeniami z Ameryki i powiedzieć Wam coś o Polsce. Czynię to bardzo chętnie.

Radość z przybycia

Wyrażam najpierw mą wielką radość z przybycia do Stanów Zjednoczonych. Wiem bowiem, że to Ameryka przez długie dziesiątki lat przygarniała do siebie setki tysięcy Polaków i Polek, którzy musieli opuścić Kraj swych ojców. Pracowali oni tu bardzo ciężko. Niemniej, tu właśnie znaleźli swą drugą Ojczyznę. Tu się zagospodarowali, tu czują się dobrze. Są Amerykanami, ale Amerykanami polskiego pochodzenia. Silna wewnętrzna więź łączy ich z Polską.

Tu w Ameryce widzę to, czego w kraju nie dostrzegłem tak wyraźnie. Otóż Polski należy szukać nie tylko nad Wisłą. Odnajduje się ją również na ziemi Washingtona i Kościuszki. Nie można mówić o narodzie polskim i nie brać pod uwagę Polonii, szczególnie na zachodniej półkuli. Moi współbracia jako dobrzy

obywatele amerykańscy, kanadyjscy czy inni, tkwią swymi korzeniami w Polsce, są z nią w różny sposób powiązani. Częścią swego jestestwa, swej istoty, wyraźnie do niej przynależą.

Pozdrowienia

Przybywając do Was, przynoszę Wam pozdrowienia spod strzelistych wież kościoła Mariackiego, który stoi na Rynku Krakowskim. W pobliżu niego osiadł mały kościółek świętego Wojciecha, liczący sobie tysiąc lat. Przynoszę Wam pozdrowienia z prastarej katedry wawelskiej i zamku królewskiego na Wawelu, gdzie przez setki lat polscy królowie mądrze zarządzili wielkim państwem, zanim jeszcze Europejczycy zjawili się na kontynencie Ameryki.

Przynoszę Wam pozdrowienia z Jasnej Góry w Częstochowie. Tam, przed cudownym obrazem Królowej Polski, w najgłębszej pokorze, na klęczkach polscy księża i biskupi, ludzie prości i bardzo wykształceni proszą o zmiłowanie Boże nad naszą Ojczyzną i całym światem. W naszej pobożności staramy się naśladować również Waszych przodków, którzy tak gorliwie modlili się i w Częstochowie, a potem w Ameryce.

Przynoszę Wam pozdrowienia z bohaterskiej Warszawy, której lud tak często zrywał się do walki o wolność. Działo się to szczególnie w powstaniach z roku 1794, 1831, 1863 i 1944. Nawet amerykańscy prezydenci przyznali, że Polska i Warszawa stały się natchnieniem dla całego świata. Wartości ducha bowiem, a wśród nich szczególnie wolność, są wyższe i cenniejsze od wartości materialnych.

Przynoszę Wam pozdrowienia ze wszystkich miast i miejscowości Polski, od Tatr aż po fale Bałtyku, skąd pochodzą Wasi ojcowie i praojcowie.

Wiara rodaków w starym kraju

W Ameryce często stawiano mi pytania: co słyhać w Polsce. Na te pytania można by odpowiadać bardzo długo. Jako biskup wspomnę tylko o sprawach re-

ligii i to o pewnym ich wycinku. Stwierdzam mianowicie, że w Polsce staramy się wiarę w Boga przekazać młodemu pokoleniu. I muszę powiedzieć, ku Wszech radości, zadowoleniu i podniesieniu na duchu, że się nam to dość dobrze udaje. Wiarę, którą wyszliśmy z mlekiem naszych matek, wszczepiamy w serca i umysły młodych.

W tę pracę zaangażowali się rodzice i księża. W Polsce nową generację pacierza i katechizmu często uczą matki, babcie, dziadkowie, ojcowie, ciocie, pomoce domowe i starsze rodzeństwo. Specjalną gorliwością odznaczają się zwłaszcza matki. Wspomnę wydarzenie z własnego doświadczenia kapłańskiego. Oto przed kilku laty, jako proboszcz wielkowiejskiej parafii w Krakowie pod wezwaniem Matki Boskiej Lurdeńskiej, chodziłem z odwiedzinami kolędowymi do rodzin mego ośrodka duszpasterskiego. W pewnym mieszkaniu matka, chcąc, zresztą słusznie, popisać się gorliwością religijną, poprosiła swego synka, liczącego niecałe trzy latka, by zmówił paciorek. Mały Zbysiu bardzo pobożnie się przeżegnał, odmówił z namaszczeniem Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo i, co bardzo trudno w tym wieku dziecku przychodzi, również Skład Apostolski. W końcu Aniele Boży. Ja i cała rodzina byliśmy wsłuchani w tę wspólną modlitwę dziecka. A potem wpadła mi pewna myśl do głowy. Poprosiłem matkę, by mi pożyczyła tego dziecka. A widząc jej zdziwiony wzrok odpowiedziałem, że pragnę, by ten chłopczyk powiedział mym parafianom kazanie. W sobotę zrobiliśmy próbę. Matka kilka razy podała mi małego Zbysia, którego ustawiłem na ambonie. Prosiłem, by się nie bał i mówił swój pacierz. Próba wypadła bardzo dobrze. W niedzielę nie ja, lecz to dziecko przemawiało do ludzi na dziewięciu Mszach świętych. Ja zapowiadałem tylko wiernym, że dziś będzie miał kazanie trzyletni chłopczyk. Z niedowierzaniem patrzyli, gdy wziąłem Zbysia od matki, ustawiłem na ambonie i przytrzymałem ręką, by nie spadł. Dziecko ślicznie odmawiało swą modlitwę. Cisza w kościele panowała tak wielka, że gdyby sam Ojciec Święty przemawiał, nie byłoby większej. Wierni dosłownie zastygli w bezruchu. Po skończeniu modlitwy zaznaczyłem, że

nie będę już przemawiał, gdyż wszyscy doskonale wiedzą o co chodzi. Zdaje mi się, że to było najlepsze kazanie w moim życiu. Kazanie nie moje, lecz dziecka, a właściwie matki, która tak pięknie wychowała swego synka i takie znaczenie przywiązywała do modlitwy dziecka.

W Polsce, jak wiecie, nie ma nauki religii w szkołach publicznych. Dlatego wśród niemałych trudności zorganizowaliśmy tak zwaną katechizację parafialną. Dzięki niej właśnie w znacznej mierze przekazujemy wiarę w Boga dzieciom i młodzieży. Ta forma nauczania religii jest zupełnie dobrowolna. Dzieci rezygnują na pewien czas z telewizora, z rozrywek sportowych czy innych przyjemności i przychodzą po lekcjach w szkole na naukę religii. Dzieje się to dzięki olbrzymiemu wysiłkowi księży i rodziców. Gdy chodzi o kapłanów, to zazwyczaj prawie każdy z nich ma około 30-ci godzin katechizacji tygodniowo, nie biorąc pod uwagę innych prac. Rodzice ściśle współpracują z księżmi. W starym kraju dość częsty to widok, że przed salką katechetyczną stoi, niekiedy nawet na mrozie lub deszczu, młoda matka, która po pracy w fabryce lub w urzędzie, przyszła z dziećmi na katechizację. Obok niej można zauważyć 70-letniego dziadusia. Przeprowadził na religię swą wnuczkę, wiodąc za rączkę pomiędzy samochodami i autobusami. Nasze salki katechetyczne są skromne i w żadnym wypadku nie mogą się równać ze wspaniałymi szkołami parafialnymi w Ameryce, z Waszymi salami parafialnymi, ale my jesteśmy z tych naszych salek dumni i naprawdę napawają nas radością, bo polskie dzieci uczą się w nich kochać Boga.

Wyznajemy przy tym zasadę, że wiedzę o Bogu człowiek musi zdobywać przez całe życie. Katechizacją więc objęte są dzieci w wieku przedszkolnym, dzieci szkół podstawowych, młodzież szkół średnich i wyższych oraz starsze pokolenie. Wielką uwagę przywiązujemy do duszpasterstwa akademickiego, które może poszczycić się pięknymi osiągnięciami. Są kościoły, w których na mszach dla młodzieży akademickiej panuje tłok. Księża z Europy Zachodniej patrzą na tę pobożność studentów z podziwem i uznaniem.

Mówiąc o wierze w starym kraju, wspomnę o seminariach duchownych. Nasi rodzice dobrze wychowują swe dzieci. Często dziewczęta idą do klasztorów, a chłopcy do seminariów duchownych. Sam tylko Kardynał Karol Wojtyła wyświęcił dla swej krakowskiej diecezji na wiosnę 1971 roku 29 księży. Seminarium diecezji krakowskiej liczy prawie 250 kleryków. Na pierwszy rok przyjęto ostatnio 51 maturzystów¹.

W Krakowie mają swą siedzibę również dwa inne seminaria diecezjalne, śląskie i częstochowskie. Nadto jest tam czynnych 13 wyższych seminariów zakonnych. Ogólna ilość studentów teologii w seminariach diecezjalnych wynosi ponad 700, a w seminariach zakonnych ponad 300 osób. Rektorzy i profesorowie starają się dobrze wychować kleryków.

Dając ogólną charakterystykę sytuacji religijnej w Polsce, przypomnę opinię obserwatorów z Europy Zachodniej. Mówią oni, że Polska jest w obecnej chwili wyjątkowym krajem na świecie. Na jej terenie nastąpiło spotkanie dwóch potężnych ideologii. Jedna z nich to marksizm, dysponujący potęgą współczesnego państwa, a druga to gorąca religijność naszego narodu polskiego. Powiadają obserwatorzy zachodni, że z tego zwarcia mogą zrodzić się nowe idee.

Pamięć o ojczyźnie przodków

Wspomniawszy Wam, mili Rodacy, trochę o życiu religijnym w Kraju, kieruję do Was prośbę. Nie zapominajcie o swej pierwszej ojczyźnie nad Wisłą. Wy, Mili Bracia, macie na ziemi amerykańskiej nową ojczyznę. Ale Kraj nad Wisłą, będąc Ojczyzną Waszych rodziców i dziadków, jest również w dużym stopniu Waszą Ojczyzną, jest Waszą matką. A dobre dziecko nigdy nie zapomina o swej matce i zawsze ją kocha. Choćby była już staruszką i to całkiem zniedołężniałą, wymagającą ciągłej troski i opieki. Przecież to matka. Dlatego pamiętajcie o swej starej Ojczyźnie nad Wi-

¹ Pielgrzymka Ojca Świętego Jana II do Polski przyniosła i ten owoc, że do Krakowskiego Metropolitalnego Seminarium Duchownego zgłosiła się na I rok studiów 79/80 rekordowa ilość 84 kandydatów. W całości na początku roku akademickiego rozpoczęło w tym seminarium swoją fromację ascetyczno-intelektualną 313 alumnów.

słą, o swej matce. Módlcie się często za nią, piszcie tam listy. Odwiedzajcie kraj przodków.

W Polsce cieszymy się bardzo, gdy do nas przyjeżdżacie. Spotygam też w Ameryce wielu ludzi, którzy udali się do Polski w celu odwiedzenia krewnych lub na wakacje. Wielu, którzy urodzili się już tutaj, odwiedziwszy Ojczyznę swych przodków, nabrało do niej wielkiej sympatii, poczuło dumę ze swego pochodzenia, a zapoznając się z bogactwem jej kultury, zaczęła się uczyć języka polskiego.

Prośba o język polski

I właśnie o tej sprawie też pragnę mówić, a mianowicie o nauce i znajomości języka polskiego. Kto włada tym językiem ma w swym ręku klucze do bogatej i wspaniałej kultury polskiej. Charakteryzuje ją m. in. ściśle powiązanie z pierwiastkiem religijnym. A nadto, powinien tu też wchodzić w grę sentyment. Przecież to jest język przodków. Spotkałem w Stanach Zjednoczonych środowiska, w których dzieci i młodzież mówią dobrze po polsku. Ale znalazłem też się w takich, a niestety, było ich znacznie więcej, gdzie młodzi nic po polsku nie rozumieją. Aż przykro patrzeć na te dziewczynki i chłopców. Nazwiska i imiona mają polskie, rodzice ich przyjechali do Ameryki po II-giej wojnie światowej, a oni z językiem polskim wzięli całkowity rozbrat. Znam też wielu, którzy urodzili się w Ameryce i mówią bardzo dobrze po angielsku i dobrze po polsku. Oby było ich jak najwięcej.

Naszego języka musi najpierw uczyć dom rodzinny. Następnie, gdzie istnieje możliwość, warto dziecko posyłać do polskiej szkoły sobotniej. Byłem w niektórych z nich. Bardzo mi się podobały. Przez kilka godzin dzieci i młodzież mówią tu po polsku, uczą się polskich pieśni, tańców itp. Tych parę godzin spędzają dzieci w bardzo dobrym towarzystwie. Rodzice nie muszą się obawiać, by w tym czasie zepsuła ich ulica.

Nasi wierni winni również uczyć się na Msze św. i kazania w języku polskim. Muszą się o te nabożeń-

stwa dopytywać. Wydaje mi się, że znajomość języka polskiego mocno utwierdza naszych rodaków w wierze rzymsko-katolickiej.

Duma z polskiego pochodzenia

Proszę Was również, miłe Rodaczki i Rodacy, byście się szczycili swym polskim pochodzeniem. Co prawda różne przykre wypadki dziejowe stale przynosiły nam zniszczenia dorobku materialnego i kulturalnego. Niemniej naród polski ma olbrzymią siłę witalną i regeneracyjną. Jest narodem zdolnym, podobnie jak wiele innych narodów europejskich. Wy, mili Rodacy, wytrwale pracą i uczciwością przyniesiecie chlubę polskiemu imieniu. Pomagajcie sobie wzajemnie, niech znikną ewentualne spory i nieporozumienia. Polak Polakowi w szczególny sposób musi być bratem. Stale powinniśmy brać pod uwagę to, co nas łączy, a nie to, co mogłoby dzielić.

Bądźcie słuchaczami i przyjaciółmi Godziny Różańcowej

Chcąc dochować wierności Bogu, nowej i dawnej ojczyźnie, bądźcie również pilnymi słuchaczami Godziny Różańcowej Ojca Justyna. Tu w studio widzę doskonałą organizację pracy Ojców Franciszkanów.

W znajdującym się obok studio klasztorze można oglądać piękne obrazy artysty profesora Józefa Sławińskiego, wykonane techniką sgraffito. Widać na nich sceny z życia błogosławionego Ojca Kolbego. Jest tam również obraz przedstawiający przybycie do Stanów Zjednoczonych, pod kierownictwem księdza Moczygęby, franciszkanina, po raz pierwszy całej parafii polskiej ze Śląska. Było to w roku 1854-tym. Polacy ci osiedlili się w stanie Texas, a osadę, którą zbudowali, nazwali imieniem Panna Maryja. Przynieśli ze sobą na amerykańską ziemię swą żywą wiarę i pracowitość. Na obrazie widać wszystko, co ze sobą zabrali, a co było im najdroższe. Jest więc krzyż procesyjny, obraz Matki Boskiej, dzwon kościelny, sztandar narodowy i narzędzia pracy. Ludzie ci nie przyszli tu do-

rabiać się cudzym kosztem, lecz przyszli pracować i budować. Na Tysiąclecie Chrztu Polski prezydent Lyndon B. Johnson ofiarował miejscowości Panna Maryja obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Bądźcie nie tylko słuchaczami, lecz i przyjaciółmi Godziny Różańcowej. Mówcie o niej swym przyjaciołom i znajomym. Jest to największa i najpopularniejsza sieć radiowa w języku polskim. Na mnie biskupie z Polski, wywarła wielkie wrażenie. Do studia Godziny Różańcowej napływają co roku tysiące listów. Każdy z nich to osobny rozdział ludzkiego cierpienia, ludzkiej pracy czy szczęścia. Autor każdego listu otrzymuje rzeczową odpowiedź. Dlatego piszcie do Godziny Różańcowej, szczególnie wtedy, gdy jesteście w rozterce lub na drodze poszukiwań. Ojcowie Godziny Różańcowej zajmą się każdym, jakby był ich jednym jedynym piszącym lub wątpiącym. Tu wszyscy na pewno znajdziecie zrozumienie.

Zyczenia

Wreszcie składam Wam me najlepsze pasterskie, biskupie zyczenia. Będę się modlił, by Wasze dzieciętki, które tulicie do serca lub prowadzicie za rączkę, dobrze się Wam chowały, by były piękne na duszy i ciele. Życzę, byście w duchu religijnym, patriotycznym i polonijnym wychowywali Wasze dzieci ze szkół podstawowych, młodzież szkół średnich i akademicką. Oby Wasze dzieci stały się jasnym promieniem, ozłacającym Wam obecne i późniejsze lata życia. Życzę również szczęścia w małżeństwie i rodzinie. Bóg ustanowił małżeństwo między innymi i po to, by ludzie czuli się mniej samotni, by było im weselej i przyjemniej w życiu. Niestety, jakżeż często bywa inaczej. Oby wreszcie było już lepiej. Życzę też, by ci, którzy cierpią, a szczególnie chorzy i starsi, cierpieli z Chrystusem. Kto w ciężkich chwilach złączony jest ze swym Ojcem niebieskim, tego krzyż naprawdę jest znacznie lżejszy. Pragnę, byście zawsze byli radośni i pogodni. Radość najczęściej ma swe źródło w pobożności, czyli w zjednoczeniu z Bogiem i w dobroci. Bądźcie dobrzy i pobożni, a spokój i szczęście, radość, pogoda ducha

i uśmiech będą zawsze Waszym udziałem. Tego Wam, najdroższym Rodaczkom i Rodakom, rozsianym po całym kontynencie Ameryki i Kanady, z całego serca życzy biskup z Polski. Proszę Was o modlitwę, o której i ja będę w Waszej intencji pamiętał. Szczęść Wam Boże.

Każdemu z Was chciałbym po przyjacielsku podać dłoń, po bratersku spojrzeć w oczy, z każdym zamienić choć kilka zdań, do każdego życzliwie się uśmiechnąć. Niestety, jest to niemożliwe. Ale i tak spotkałem się z Wami osobiście w Nowym Yorku, w Chicago, w Buffalo, mam zamiar odwiedzić Was również w Kanadzie, a przez pośrednictwo Godziny Różańcowej trafiłem do licznych Waszych rodzin w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Te różne spotkania sprawiły mi wielką radość. Nasza wspólna przyjaźń pogłębi się jeszcze bardziej, gdy się spotkamy — da Bóg — w katedrze na Wawelu — w Krakowie nad Wisłą — w dawnej stolicy Polski.

Żegnam Was staropolskim: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

II PRZEMÓWIENIE W STUDIO GODZINY RÓŻAŃCOWEJ

OKRUCHY BOŻEGO CHLEBA

Ponowne spotkanie ze Słuchaczami Godziny Różańcowej

Drodzy Słuchacze Godziny Różańcowej! Przed czterema laty byłem już w Ameryce. Przemawiałem wtedy w Godzinie Różańcowej. Wydawało mi się, że powtórnie nie zjawię się na kontynencie amerykańskim. Wielu jednak słuchaczy Godziny Różańcowej pisało do kraju, by jeszcze przyjechać. Nawiązali ze mną serdeczny kontakt. Zapewne mnie teraz słyszycie, mili Przyjaciele. Dziękuję Wam za listy.

Również moi Wychowankowie, mieszkający w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, zachęcali do przyjazdu. Biorąc to pod uwagę, jak również fakt, że powinna istnieć łączność między Polską a Polonią, to znaczy, że z kraju powinni przyjeżdżać tutaj i na odwrót, zjawilem się pomiędzy Wami. I najserdeczniej wszystkich słuchaczy Godziny Różańcowej pozdrawiam.

Specjalnie pozdrawiam tych, którzy są duszą Godziny Różańcowej, to znaczy Ojca Korneliana i Jego Współpracowników. Wyrażam radość ze spotkania z nimi. Wiemy przecież wszyscy dobrze, w Ameryce i w Polsce, jak wielką rolę odgrywa Godzina Różańcowa w życiu religijnym i polonijnym.

Życie religijne w Polsce

Często spotykam się tu z zapytaniem jak przedstawia się życie religijne w kraju. Otóż muszę odpowiedzieć, że zdecydowana większość naszego narodu nadal jest wierna Bogu. Wcale nie chcę tu koloryzować

i mówić zbyt optymistycznie. Niestety, wielu jest takich, którzy się w Polsce zlaicyzowali, a nawet na skutek różnych warunków, całkiem utracili wiarę w Boga.

Pamiętam niedawne lata, gdy byłem jeszcze proboszczem. Przypominam sobie tysiące wiernych, pobożnie uczestniczących w nabożeństwie niedzielnym. Na katechizację, czyli na nauczanie religii, przychodziły tysiące dzieci i młodzieży szkół średnich. Również młodzież akademicka przejawiała dużą żywotność religijną. Wiem o tym dobrze na podstawie badań socjologiczno-duszpasterskich. Młodzież szkół wyższych wcale nie jest mniej religijna od starszego pokolenia.

Do Polski dość często przyjeżdżają przedstawiciele zachodnioeuropejskich organizacji religijnych. Pewnego dnia Kuria Biskupia przysłała do mojej parafii pięciu takich delegatów, bym powiedział im coś o życiu religijnym naszego ośrodka. Stawiali pytania. Między innymi zapytali, czy studenci i studentki uczęszczają na Mszę świętą niedzielną. Powiedziałem im, że większość na pewno to czyni. Wówczas moi goście wyrazili życzenie, że chcieliby to zobaczyć. Zaprosiłem ich w niedzielę na Mszę świętą akademicką o godzinie jedenastej. Przybyli już pół godziny wcześniej. Przed kościołem i plebanią jest piękny, nieduży park. I zaczęło się coś dla moich gości niezwykłego. Oto w ostatnich minutach przed jedenastą młodzi zaczęli wypełniać kościół. Szli w grupach po pięć, dziesięć, czy dwadzieścia osób. W parku było rojno od nich i wesoło. Goście zachodnioeuropejscy bez przerwy fotografowali, wciąż trzaskały kamery. W ciągu dziesięciu minut kościół, mogący pomieścić ponad dwa tysiące ludzi, był całkowicie wypełniony. Moi goście byli wzruszeni i stwierdzili, że tego rodzaju widok należy do wyjątków w Europie, że chyba jest jedyny. Udaliśmy się do świątyni. Młodzi ze skupieniem się modlili, pięknie śpiewali, pilnie słuchali kazania, jednym słowem głęboko przeżywali swą Mszę świętą niedzielną.

Gdy mówimy o setkach i tysiącach wiernych, uczęszczających do świątyni, wówczas jest mowa o tak zwanym duszpasterstwie masowym. Ale kapłan musi interesować się również grupami lub całkiem małymi zespołami. Tacy właśnie młodzi studenci przychodzili do

salki katechetycznej. Czasem było ich dziesięciu, niekiedy piętnastu lub dwudziestu. Duszpasterz akademicki lub oni sami wyznaczali temat do rozważań. Dobrze pamiętam ten wtorek, kiedy o godzinie ósmej wieczorem do salki przybyła grupa czternastu osób, studentów i studentek. Wypowiadali się na temat: moja Msza święta niedzielna.

Twoja Msza święta niedzielna

W pewnym momencie głos zabrała Barbara, studentka czwartego roku medycyny. Mówiła, że we Mszy świętej uczestniczy tylko w niedzielę, bo w zwykły dzień jest to dla niej niemożliwe. Ale Msza niedzielna stanowi dla niej najważniejsze wydarzenie tygodnia. Już w sobotę wieczorem przypomina sobie, że jutro w kościele w specjalny sposób będzie współczuć Panu Jezusowi przybitemu do krzyża. Ubierając się rano, i potem w drodze do kościoła, Barbara przypominała sobie Kalwarię. W świątyni zachowuje się jak inni. Odmawia głośno modlitwy, śpiewa, słucha czytań Pisma świętego i kazania. Barbara bardzo dobrze wie, że Msza święta stanowi powtórzenie, uobecnienie męki Chrystusowej. Patrząc na ołtarz, przypomina sobie w duchu Kalwarię, Jezusa przybitego do krzyża, Matkę Najświętszą stojącą obok, świętego Jana Ewangelistę, świętą Marię Magdalenę. Barbara mówi, że matka uczyła ją, iż św. Maria Magdalena miała specjalne nabożeństwo do przebitych stóp Jezusowych. W mieszkaniu Barbary wisiał obraz, na którym Maria Magdalena obejmuje krzyż i całuje przebite stopy Zbawiciela. Studentka Barbara podczas całej Mszy świętej, ale szczególnie w czasie Podniesienia, obejmuje w duchu krzyż Chrystusowy i całuje rany Jego nóg. Modli się przy tym o miłosierdzie dla siebie, dla świata, dla Kościoła. Wyraża swą wiarę i miłość Ukrzyżowanemu Zbawicielowi.

Ze wzruszającą prostotą i odwagą mówiła Barbara o przeżywaniu swej niedzielnej Mszy świętej. My, obecni, słuchaliśmy jej z największym skupieniem. Dodam od siebie, że profesorowie teologii wykładali mi

o Mszy świętej. Ale Barbara do mych wiadomości do-
dała coś bardzo cennego. I wcale nie wstydę się tego
wyznać, że gdy odprawiam Mszę świętą, mając przed
sobą niekiedy tysiące ludzi, w duchu, podczas Podnie-
sienia, obejmuję przebite stopy Chrystusowe. Proszę
o pomnożenie wiary i miłości dla siebie i dla wszyst-
kich.

Moi najdrożsi Słuchacze Godziny Różańcowej! Przy-
bywszy tu z Polski na krótki okres, pragnąłbym Wam
coś przekazać, chciałbym Was ubogacić, a nawet od-
dać część mego serca. I chcąc to uczynić, proszę Was,
byście pokochali Mszę świętą. Byście, może nawet za
wzorem Barbary, obejmowali krzyż Chrystusowy.
W dobie laicyzacji i zubożenia religijnego, Msza
święta niech będzie dla was najgłębszym przeżyciem,
największą światłością. Przychodźcie na nią z całym
wewnętrznym przekonaniem. Zjawiajcie się w świątyni
nie tylko dlatego, że tak Was rodzice nauczyli, ale
z potrzeby serca. Przychodźcie uczestniczyć we Mszy
świętej niedzielnej nie ze zwyczaju, nie z szablonu
i przyzwyczajenia, nie dlatego, że czegoś by Wam bra-
kowało w niedzielę, lecz przede wszystkim dlatego, by
okazać swą miłość Zbawicielowi. On tak bardzo nas
umiłował, że dał się za nas przybić do krzyża.

Wiara w Boga przyniesie Wam szczęście

I nie tylko przez Mszę świętą łączcie się z Chrystu-
sem. Odmawiajcie również wszystkie inne modlitwy,
których nauczyli Was rodzice i wychowawcy. Bądźcie
dobrymi dla innych. Prowadźcie życie z Bogiem, a na
pewno doznacie Jego radości i pociechy.

I znowu pragnę Was w duchu przenieść do Ojczyzny
nad Wisłą. Oto w Krakowie przy ulicy Stradomskiej 4,
jeszcze kilka lat temu żyła Maria Wrochna. Liczyła
sobie przeszło 70 lat, a była praczką. Gdy po raz pierw-
szy wszedłem do jej mieszkania, zauważyłem, że było
ono bardzo marne. Wilgoć wysoko wypełzła na ścia-
ny. Słońce nie gościło tu nigdy. Dookoła staruszki sto-
sy bielizny czystej i niewypranej. Ręce miała zniszczo-

ne od sody i kiepskiego mydła. Wrochna była osobą samotną. Nie miała męża ani dzieci. Ale człowiek to istota towarzyska i pragnie od czasu do czasu z kimś porozmawiać. Nasza praczka nie miała się do kogo odezwać. Dlatego z wioski sprowadziła sobie trzy kury. I rozmawiała z nimi. Raz mówiła tak: czemu ty czubata tak głośno gdaczesz, a ty jarzębiata nie dziobaj ceglastej. A kurki po swojemu odpowiadały: ko, ko, ko... Pomyślałem sobie, że naprawdę politowania godne jest życie tej praczki. Ale w pewnym momencie moje oczy spotkały się na dłuższy moment z jej oczyma. I wtedy zauważyłem w nich jakiś dziwny spokój i równowagę, a nawet radość i wesele. Nie mogłem powstrzymać się od pytania: dlaczego pani jest taka jakaś radosna i szczęśliwa mimo tak ciężkich warunków. A ona mi wtedy spokojnie odpowiedziała, że przecież wierzy w swojego Boga. Wówczas niby kamień z procy wyleciałem z jej mieszkania i idąc w moim stroju duchowym ulicą Grodzką w kierunku Rynku, każdemu byłem gotów śmiało patrzeć w oczy. Każdemu chętnie bym mówił, że ja jako kapłan nikogo nie oszukuję głosząc prawdy o Bogu. Owszem, świadczę ludziom największe dobro.

I rzeczywiście, Bóg musi być pierwszą i najbardziej istotną wartością w naszym życiu. On winien stanowić cel, do którego zmierza nasze całe działanie. W życiu ważne są także zwykłe sprawy jak ubranie, jeźdzenie, zarobki. Ważne jest, byś zdobył zawód i wykształcenie, byś posiadał dobrą pracę, przyjaciół, konto bankowe i zdrowie. Ale przecież pierwszy i najważniejszy jest Bóg.

Przypominam sobie utwór pod tytułem: „Drzewa umierają stojąc”. My śmiało możemy stwierdzić, że człowiek umiera sam. Na pewno sam. I wygrasz batalię o swoje życie, gdy odchodząc z tego świata okażesz się przyjacielem Boga.

Ale chodzi nie tylko o godzinę śmierci. Ważny jest każdy dzień twego życia. Dobrze gdy przeżywasz go z Bogiem. Na każdym kroku widzisz, jak ludziom ulatuje młodość, tracą sławę, pieniądze, władzę, przyjaciół. I bardzo często człowiek zostaje tylko ze sobą. Z dala jest partia polityczna, medycyna bezradnie roz-

kłada ręce. I dobrze jest, gdy wówczas za wzorem samotnej praczki Wrochny może powtórzyć: ja przecież wierzę w mojego Boga, On jest moją radością.

Nie wstydz się polskości

Drodzy Słuchacze Godziny Różańcowej! Jako duchowny, z powołania mego, muszę Wam przypominać sprawy Boże. Jako biskup staram się przypomnieć Wam Boga. Ale jestem też Polakiem. Przybywam z kraju. I obok zagadnień religijnych bez przerwy stają mi przed oczyma te nasze problemy, polskie i polonijne.

W naszej historii przez całe dziesięć wieków tak się już układało, że gdy narodowi wiodło się dobrze, również i Kościołowi. A gdy Kościół był prześladowany, cierpiał też Naród. Dlatego księża i biskupi zawsze czuli się odpowiedzialni za losy Narodu.

Stojąc na tym stanowisku, staram się zwrócić uwagę na niektóre z naszych problemów. Właściwie stale trzeba je przypominać. Otóż powinniśmy być dumni z naszego polskiego pochodzenia. W żadnym wypadku nie wstydzmy się swej polskości. Nasz naród jest wielkim narodem. Już w wieku X posiadaliśmy silne państwo. W XVI wieku stanowiliśmy największą potęgę polityczną Europy. W życiu publicznym ojcowie nasi starali się na ogół kierować zasadami uczciwości i sprawiedliwości. Przykładem tego są choćby dwa znane fakty historyczne: Unia polsko-litewska i Konstytucja 3 maja. Unię z Litwą zachwycał się między innymi znany niemiecki pisarz protestancki, Fryderyk Wilhelm Foerster. Zauważył, że to pokojowe załatwienie wszystkich spraw dwóch sąsiednich narodów (przy czym jeden drugiemu przekazał skarb wiary chrześcijańskiej) powinno stanowić przykład dla wielu innych społeczności. Polska Konstytucja 3 maja jest wyrazem sprawiedliwości społecznej i dojrzałości politycznej. Rosja, Prusy, Austria nie dopuściły, by Polacy wprowadzili Konstytucję w życie. Przez rozbiory państwa te zadały straszliwy gwałt Polsce. Wówczas, gdy we Francji spadały z gilotyn tysiące głów, u nas bez roz-

lewu krwi uchwalono najbardziej postępową na ówczesne czasy konstytucję.

Nasze trudne położenie geograficzne stało się powodem wielkich klęsk politycznych i militarnych. Ale naród polski nade wszystko ukochał wolność. Zawsze o nią walczył, dowartościowując w ten sposób tę cenną ideę wolności w ogólnoludzkim skarbcu.

Polacy są też narodem szlachetnym, inteligentnym, twórczym i pracowitym. Gdziekolwiek dziś zjawia się polski robotnik, majster, inżynier, artysta, uczony czy duchowny, wszędzie jest wysoko ceniony. Właśnie za pracowitość, sumiennność, polot. Dlatego można wołać, byśmy podnosili głowę do góry, byśmy nie mieli najmniejszych nawet kompleksów, lecz zawsze z dumą przyznawali się do polskiego pochodzenia. Zwłaszcza poza granicami kraju warto to przypomnieć.

Mowa polska twym drugim językiem

Adresuję do Was jeszcze inną serdeczną prośbę. Nie zagubcie skarbu polskiej mowy. Stara Polonia zachowała język swych ojców do dnia dzisiejszego. Oby nadal tak było. Językiem angielskim porozumiecie się z ludźmi prawie na całym globie. Drugim językiem Amerykanina polskiego pochodzenia niech będzie język jego przodków, język polski. Posługuje się nim 40 milionów ludzi. Odwiedzając Polskę, będzie Wam bardzo przyjemnie porozmawiać w tym języku. Mowa polska daje Wam możliwość łatwego zapoznania się z literaturą polską, która ma bardzo wysoką lokatę w świecie. Śmiało można ją umieścić obok literatury amerykańskiej, angielskiej, francuskiej czy hiszpańskiej.

Chętnie więc posyłajcie Wasze dzieci do polskich szkół sobotnich. Problem przekazania języka dzieciom czy wnukom jest na pewno bardzo trudny. I są już liczne rodziny, w których młode pokolenie w ogóle nie mówi po polsku albo mówi bardzo słabo. Ale spotkać też można wiele rodzin, w których sprawa ta u młodych nie przedstawia się tak źle. Czytajcie pisma wydane w naszym języku. Choć są one już bardzo nieliczne, to jednak redakcje muszą pil-

nie poszukiwać prenumeratorów. Słuchajcie radiowych audycji polonijnych, zorganizowanych w większych ośrodkach. A was jako ludzi wierzących specjalnie proszę, byście pilnie słuchali Godziny Różańcowej. Zauważyłem, że język tych audycji jest bardzo prosty i zrozumiały, a równocześnie stylistycznie i gramatycznie piękny.

Zwracam się ze specjalnym apelem do rodaków, w ostatnich latach a nawet miesiącach, przybyłych z kraju. Wiem, że wielu z Was w szybkim tempie uczy się języka angielskiego, równocześnie pracuje, a nawet studiuje. Macie dużo pracy. Koniecznie jednak zgłóście się do najbliższego kościoła polonijnego. Tam uczestniczyć będziecie w nabożeństwie odprawianym w języku polskim. Żaden to problem przejechać w niedzielę tych kilka mil. Nawiążcie również łączność z organizacjami polonijnymi, lub zakładajcie nowe. Można trochę czasu poświęcić sprawom religijno-społecznym. Ze względu na ustalony tu porządek duszpasterski, zapiszcie się również do polskiej, rzymskokatolickiej parafii. Możecie sobie wybrać tę, która Wam najbardziej odpowiada.

Polak Polakowi bratem

Wszystkich ludzi należy objąć kochającym sercem, ale w pierwszym rzędzie rodaków. Obserwując życie polonijnych braci, zauważam, że potrzeba nam jeszcze więcej jedności. Przecież tak bardzo wiele nas łączy, a więc wspólna ziemia przodków, język, kultura, nasze dramatyczne niekiedy, ale często też pełne chwwały dzieje. Ci, którzy przybyli tu dawniej i już dobrze się zakorzenili, niech pomagają świeżo przybyłym. Ci zaś, którzy doznali pomocy, niech umieją być wdzięczni. Naprawdę nie wolno im o tym zapomnieć. Otrzymawszy pomoc, należy ją z kolei świadczyć innym. Niektóre grupy narodowościowe w Stanach Zjednoczonych mają wielkie poczucie jedności. Są doskonale zorganizowane. Należy je w tym naśladować. Wspominają nam niekiedy, że polska grupa etniczna nie bardzo dba o swą spójność i nie liczy się z opinią publiczną pod tym względem.

Odwiedzajcie Ojczyznę swych przodków

Wzajemne kontakty Polonii i dawnej Ojczyzny są wskazane i pożyteczne dla obydwu stron. Przyjeździecie do Polski pomodlić się na grobie rodziców albo dziadków. Przybądźcie zobaczyć kościół, w którym byliście ochrzczeni i przyjeździecie I Komunię świętą. Przyjeździecie, byście mogli, pełni zadumy, oglądnać wieś praojców, pochodzić po tamtejszych polach i łąkach. Czekamy na Was ze staropolską gościnnością i otwartym sercem. Prawie wszyscy, którzy przybywają do Polski, wracają stamtąd bardzo zadowoleni i pełni radości. Młodzi, urodzeni w USA odczuwają zew krwi. Polska głośno do nich woła, że z niej wyszli, że nie mają się czego wstydzić. Spotkałem młodego Amerykanina, który wróciwszy ze starej ojczyzny już trochę mówił po polsku i z dumą powtarzał: I am Polish — Jestem Polakiem.

Bądź apostołem Godziny Różańcowej

Czas mojego przemówienia dobiega końca. Mam jeszcze do Was wyjątkowo serdeczną prośbę. Bądźcie bardzo gorliwymi słuchaczami i zwolennikami Godziny Różańcowej. Mówcie innym o niej, bądźcie jej propagatorami.

W warunkach, gdy wielu opuszcza polonijne parafie, osiedlając się poza miastem, gdy Polacy bardzo często żyją nie w zwartych jak dawniej grupach, lecz w rozproszeniu, łatwo poprzez fale radiowe utrzymać kontakt z językiem polskim w Godzinie Różańcowej.

Radio, telewizja i inne środki społecznego przekazu prawie przez całą dobę przedstawiają Wam sprawy życia codziennego. W Godzinie Różańcowej słyszycie o tym, co dla Was jest najważniejsze. Tu jest mowa bezpośrednio o Bogu, do którego macie należeć w tym i przyszłym życiu. Stąd na falach eteru przekazywana jest znakomita pogadanka religijna. W ten sposób Godzina Różańcowa staje się waszym prawdziwym przyjacielem. Nie rozstawajcie się z nim nigdy, pokochajcie go jeszcze bardziej. Mówcie o nim bliskim i znajomym. Zdobywając choć jednego słuchacza dla Godziny Różańcowej przysłużycie się sprawie polonijnej,

a przede wszystkim Bożej. Niewielki to dla Was, Najdrożsi Słuchacze, trud, by zdobyć choć jednego zwolennika tej największej polonijnej ambony. Gdyby każdy słuchający kogoś pozyskał, dokonacie wielkiego dzieła. Serdecznie Was proszę, podejmijcie się tego wysiłku.

I jeszcze jedno. Na tym świecie sprawy duchowe łączą się z materialnymi. Wspomagajcie również swymi ofiarami Godzinę Różańcową. Koszty nadawania programu są bardzo wysokie. Może się ktoś zdziwi, że przypominam tu sprawy gospodarcze. Ale mam wzór u świętego Pawła, który czasem wspominał o ofiarach składanych przez wiernych.

Wielu ludzi ma swych ulubionych pisarzy, artystów, sportowców, gwiazdy filmowe. Cieszą ich ulubione programy radiowe i telewizyjne. Do żelaznego repertuaru waszego programu, któremu poświęćcie czas, niech należy również Godzina Różańcowa.

Tu, w studio wszystko jest skromne i proste. Wydaje mi się, że równocześnie franciszkańskie i wielkie. Życie świętego Franciszka było proste i wielkie. Również zwykłym wydawało się życie błogosławionego Ojca Kolbego. Prosty był „Mały Dziennik” z Niepokalanowa, ale równocześnie wielki. Oby dzięki Waszej współpracy i przyjaźni akcja Godziny Różańcowej stawała się coraz skuteczniejsza.

Moi Ukochani Słuchacze! Na zakończenie jeszcze raz bardzo serdecznie was pozdrawiam. Udzielam Wam również biskupiego błogosławieństwa: Niech Was błogosławi Bóg Wszechmogący, Ojciec, Syn i Duch Święty. Amen.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Szczęść Wam Boże.

Ojciec Kornelian: ¹

Dziękuję serdecznie Księdzu Biskupowi w imieniu wszystkich Słuchaczy Godziny Różańcowej za tak piękną i podniosłą treść przemówienia. Cieszymy się z tego spotkania. Wierzymy, że wszystkie spotkania z ludź-

¹ Dyrektor „Godziny Różańcowej”, O. Kornelian, prawie zawsze dziękuje gościom przemawiającym w studio.

mi kochającymi Boga poprzedzają to niewysłowione spotkanie z Bogiem twarzą w twarz, w Jego Królestwie. Na razie drogi nasze muszą się rozejść. Ksiądz Biskup wraca do swojej diecezji, do swojej pracy. Wraca z sercem, które objęło dla Boga jeszcze więcej ludzi. W Polsce będzie głosił rodakom o głębokiej wierze współrodaków z ziemi Washingtona, Jeffersona, Franklina...

Prosimy, Księżę Biskupie, zapewnić wiernych w Polsce o wielkiej życzliwości całej Polonii dla Kraju Przodków i o naszych modlitwach za Kościół w Polsce i za cały Naród, któremu wiara katolicka daje siłę i męstwo do przewyciężenia trudności obecnej doby.

MIGAWKI AMERYKANSKIE

Z 80 piętra Empire State Building doskonale widać port nowojorski i Manhattan. Port pasażerski zionie dziś pustką, bo przeszło 90% podróżnych korzysta z usług samolotów. Za to na Manhattanie życie wre i kipi. Jest to nieduża wyspa skalista. Biali kupili ją kiedyś od Indian za kilkadziesiąt dolarów. Dziś stanowi jedną z pięciu wielkich dzielnic Nowego Jorku, liczącą milion osiemset tysięcy ludzi. Tu, w drapaczach chmur, w tysiącach biur, mózgi ludzkie i elektronowe rozstrzygają gros ekonomicznych spraw kraju.

Mnie interesuje ulica Manhattanu. Przesuwa się nią wyjątkowy, fantastycznie zróżnicowany tłum. Kolor skóry przechodniów biały, nieco czarny, półczarny, hebanowo-czarny, brązowy, czerwony, smagły... Zeszły się tu chyba wszystkie rasy i narodowości, wszystkie grupy społeczne i etniczne. Wyznawcy wszystkich religii i poglądów na świat. Oprócz koloru skóry rzucają się w oczy ubiory. Najnowocześniejsze garnitury i — turbany, przeróżne maxi i mini. Nikt się tu niczemu nie dziwi, nikomu z ciekawością nie przygląda, nikim nie interesuje. Można łatwo skryć się w tym ludzkim morzu.

Manhattan stanowi zapewne część autentycznej Ameryki. Różnorodność tworzy tu jedność.

Na Manhattanie mieści się również Radio City — potężny kinoteatr z 5 tysiącami miejsc. W okresie Bożego Narodzenia można tam oglądać program specjalny. Składa się na niego western, potem, na znakomicie technicznie wyposażonej scenie, doskonale odegrane jasełka i zaraz balet. Zdziwiło mnie dość to świetne przedstawienie religijne w niezbyt odpowiednim towarzystwie. Można powiedzieć, że i w tym jest coś

z Ameryki. Obserwuje się duży wpływ sensualizmu, a przede wszystkim byznes: dla każdego widza coś z jego zainteresowań.

W dzielnicy tej znalazła swą siedzibę również Organizacja Narodów Zjednoczonych. Gmach zwiedza dużo wycieczek szkolnych. W budynku ONZ mieści się także kaplica: duże, zupełnie puste i ciche wnętrze. Tylko z góry pada snop światła. Mogą się tu modlić wyznawcy wszystkich religii.

Z ŻYCIA AMERYKAŃSKIEGO KOŚCIOŁA

Kościół amerykański często szuka nowych dróg. Idzie za wiernymi, by skutecznie głosić naukę Chrystusa. Na super nowoczesnym lotnisku Kennedy'ego oprócz kaplic protestanckiej i żydowskiej jest oczywiście i kaplica katolicka.

Przy wejściu do niektórych amerykańskich kościołów można spotkać oszklone pomieszczenia, przeznaczone dla matek z dziećmi. Przez szyby młoda matka utrzymuje wizualną łączność z modlącymi się. Dzięki głośnikom słyszy również śpiewy i modlitwy.

Liczni księża amerykańscy noszą na co dzień ciemne ubrania i koloratkę. Również w restauracjach, czemu się nikt nie dziwi. Ponieważ personel na plebaniach ma ściśle określone godziny pracy, księża podejmując swoich gości, najczęściej udają się do restauracji. Tu szatniarki życzliwie pozdrawiają swoich fathers (księży). Zdarzyło mi się kilka razy, że w restauracji goście z sąsiedniego stolika, ludzie, których pierwszy raz w życiu widziałem, chcąc wyrazić swą sympatię katolickiemu duchownemu, postawili nam drinka.

Plebanie amerykańskie i domy zakonne są doskonale wyposażone. Niektóre klasztory i złączone z nimi szkoły zbudowano kosztem setek tysięcy i milionów dolarów. Ale w tych domach często panuje głęboki smutek: z powodu braku powołań zawisła nad nimi atmosfera niepewności i lęku o jutro. Ta troska udzieliła mi się również. Lepiej czuję się w polskich domach zakonnych i plebaniach, bez porównania ubo-

ższych. U nas bowiem młode kadry są. A my, duchowni, na każdym kroku odczuwamy, że wiernym naszym jesteśmy bardzo potrzebni. Trzeba dodać, że do wielu amerykańskich zakonów i seminariów duchownych, gdzie przełożeni do sprawy odnowy soborowej podeszli właściwie i z realizmem, zgłaszają się kandydaci do stanu duchownego.

SILA POLONII

Polonia amerykańska stanowi wielką siłę. Przekonałem się o tym przebywając w okręgu Nowy Jork, Chicago, Buffalo, Detroit, a także w Kanadzie. Siła Polonii tkwi głównie w jej liczbie. Kierownik rozgłośni polskiej w Chicago, pan Migała, mówił mi, że w tym tylko mieście jest 400 tys. Polaków, a drugie 400 tys. to Amerykanie polskiego pochodzenia, mający już niestety tylko luźny związek z polskością. Liczbę Amerykanów polskiego pochodzenia różnie oceniają — od 8 do 12 milionów.

Siłę Polonii stanowi również jej przywiązanie do Ojczyzny nad Wisłą. Przewodnicząc w nabożeństwach w różnych kościołach, słysząc śpiewy i modlitwy w języku polskim, odnosiłem nieraz wrażenie, że jestem w Polsce, a nie za granicą. Oczywiście, miało to miejsce w najbardziej patriotycznych ośrodkach. Wzruszające są przykłady przywiązania do kraju przodków u tych, którzy się urodzili już w USA. Jedna taka patriotka przywiozła sobie z Polski ziemię w doniczce. Inna mówiła, że jest tylko jedna Polska — ta nad Wisłą i ta w Ameryce. Ocean nie stanowi tu żadnej przeszkody. Gdy mówiłem o sprawach Polski i naszego Kościoła, często było widać łzy wzruszenia w oczach słuchaczy.

Amerykanie polskiego pochodzenia zaczynają się ostatnio coraz bardziej wybijać we wszystkich dziedzinach życia społecznego i państwowego. Samych tylko profesorów wyższych uczelni polskiego pochodzenia zgromadziło się na specjalnym kongresie prawie dwa tysiące. Milionerów polskiego pochodzenia jest ponad dwustu.

Zasługi Kościoła rzymskokatolickiego w dziele utrzymania naszych rodaków w wierze i polskości są powszechnie znane. Poważną rolę odgrywają tu również organizacje społeczno-polityczne. Trzy najbardziej znane mają swą siedzibę w Chicago. Największa z nich, Polski Związek Narodowy, ma na koncie ponad 300 mln dolarów. Wymieniam ten fakt, bo w USA sprawy ekonomiczne (dużo w tym racji) przypomina się na każdym kroku.

Druga co do wielkości organizacja polonijna to Zjednoczenie Narodowe Rzymskokatolickie, a trzecia — Związek Polek. Działalność tych trzech organizacji ma różnorodny charakter, także kulturalno-oświatowy.

Inne nieco oblicze posiada Fundacja Kościuszkowska, z siedzibą na Manhattanie. Jest to instytucja, która w dzisiejszej formie istnieje od roku 1925. Udziela m. in. stypendiów studentom i profesorom, Polakom w kraju i USA, jak również Amerykanom. Zaznajamia Polonię i innych obywateli amerykańskich ze sprawami naszej Ojczyzny przez środki społecznego przekazu. W ostatnich latach spotykamy w kraju studentów przysyłanych przez Fundację Kościuszkowską.

Nie można też pominąć Ligi Katolickiej, powstałej w roku 1943. Stanowi ona szlachetny odzew polonijnego duchowieństwa i ludzi świeckich na straszliwe nieszcześcia wojenne naszego narodu. Do dnia dzisiejszego niesie pomoc Kościołowi w Polsce. Szczególnie zaznaczyła swą działalność zaraz po wojnie, przysyłając szaty liturgiczne, lekarstwa, żywność i inne pomoce.

Z historii możemy przytoczyć wiele innych faktów jasno świadczących, że Amerykanie polskiego pochodzenia często pomagali swej dawnej Ojczyźnie. Upominali się o jej byt i prawa. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej to jedno z najpotężniejszych państw świata. Jeżeli związki żyjących w nim Polaków ze starym krajem będą silne, będziemy na gruncie amerykańskim więcej znaczyć. Warto więc pogłębiać znajomość spraw Polonii amerykańskiej. Biorąc pod uwagę doniosłość zagadnienia, trzeba stwierdzić, że były pod tym względem duże zaniedbania.

Słabość Polonii tkwi w jej rozbiciu. Istnieją obiektywne przyczyny tego rozbicia. Na przykład olbrzymie odległości między poszczególnymi centrami polonijnymi. Odległość z Chicago do Nowego Jorku wynosi 1600 km. Mimo świetnie działającej sieci telefonicznej i wspaniałych autostrad dość trudno koordynować pracę poszczególnych ośrodków polonijnych właśnie z powodu odległości. Dla ich przebycia trzeba dużo czasu.

Rozbiciu Polonii winien jednak częściowo i nasz charakter narodowy. Jesteśmy zdaje się zbyt wielkimi indywidualistami, nie bardzo lubimy jednolite działanie i zgodę.

W ostatnich szczególnie latach bardzo osłabia Polonię zanikanie języka polskiego. Nieraz odezwałem się po polsku do dzieci w wieku przedszkolnym czy ze szkoły podstawowej. Uśmiechały się nic nie rozumiejąc. Rodzice ich przyjechali do USA często nie tak dawno. Nadali im nadwiślańskie imiona Zbyszków czy Grażyn. I na tym koniec z polskością. Może trudno tu mówić o winie, bo są to normalne procesy adaptacyjne.

Niektórym jednak rodzicom bardzo zależy na tym, by młodemu pokoleniu przekazać polską mowę. Dlatego w określonych dniach tygodnia, np. we wtorki i piątki, w domu dzieci mogą mówić tylko po polsku. Czasem dochodzi do humorystycznych scenek. Na przykład w pewnym domu matka, siedzącemu w otwartym oknie synkowi, zwraca uwagę, że dziś należy w domu mówić po polsku, bo to dzień mowy polskiej. A synek odpowiada, że on w tej chwili głowę ma za oknem, nie w pokoju, więc wolno mu się do kolegów odzywać po angielsku.

Niemniej zdecydowane wysiłki rodziców wieńczy czasem sukces. Dzieci zdobywają przynajmniej pewną znajomość języka polskiego. Ten wysiłek rodziców znajduje zrozumienie i poparcie w niektórych parafiach polonijnych. Wiele uznania należy się tym polonijnym kapłanom, którzy choć urodzeni w Ameryce, głoszą kazania po polsku. Bardzo pomagają sprawie języka polskiego proboszczowie organizujący szkoły so-

botnie. W innych znowu wypadkach świetną reklamę dla polskości stanowi nasz folklor ludowy. Przykłady dobrej pracy polonijnej widziałem w Brooklynie, N.Y., New Haven, Derby i Ansonia, Conn i w wielu innych ośrodkach. Są one prowadzone przez polskich Księża Misjonarzy. Oni też bardzo chętnie ze swych domów rekolekcyjnych w Whitestone, N. Y., i Utica, N.Y., wyjeżdżają w teren z polskimi kazaniami, o ile proszą ich o to proboszczowie.

STARA I NOWA EMIGRACJA

Polacy, którzy przybyli na ziemię amerykańską przed stu i więcej laty, byli często analfabetami. Mieszkali w swych parafiach, które stanowiły pewnego rodzaju getta. Olbrzymią i istotną zasługą tych Polaków jest przechowanie skarbu polskiej mowy aż do dnia dzisiejszego. Oni też, ciężko pracując jako robotnicy, wdowim swym groszem wybudowali najpiękniejsze, spośród wszystkich grup etnicznych, kościoły na amerykańskiej ziemi.

Nową emigrację tworzą Polacy, którzy bez przerwy z różnych stron świata napływają do USA. W przeciwieństwie do dawnej Polonii, bardzo często posiadają wykształcenie średnie lub wyższe. Dorabiają się szybko, wybijają się społecznie, ale niestety, w zastraszającym tempie gubią język polski, jak również łączność z polską parafią. Obiektywna przyczyna tego stanu rzeczy tkwi przede wszystkim w tym, że żyją w olbrzymim rozproszeniu.

TRZEBA POMAGAĆ POLONII

Ilu ludzi, tyle różnych zdań — mówili starożytni Rzymianie. Rzeczywiście, każdą rzecz i zjawisko można widzieć trochę inaczej. Przez kilka miesięcy zwiedzałem niektóre ośrodki polonijne w Stanach Zjednoczonych. W niniejszych refleksjach przedstawiłem moje widzenie Polonii i Ameryki. Jedno jest pewne, że naszym rodakom za oceanem winniśmy pomóc w zach-

waniu polonijnego ducha. Skuteczną pomocą okazuje się tu utrzymywanie więzi Kraju z Polonią. Wyłania się również postulat pogłębiania wiedzy o Polonii. Nadto my, wierzący, znamy potęgę modlitwy. I zanosimy ją do Boga o pomyślność dla całej ludzkiej rodziny. Warto też choć czasem westchnąć do nieba w intencji Polonii — Polek i Polaków rozsianych po całym globie.

A gdy przyjadą do nas, poświęćmy im bezinteresownie nasz czas. Okażmy im dużo serca.

POZOSTALI Z NAMI DO DZISIAJ

W dniach 1—8 sierpnia 1976 roku w Filadelfii w USA odbywały się uroczystości Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego. W imieniu Polski udała się tam delegacja 19 biskupów, by publicznie oddać hołd Chrystusowi Eucharystycznemu. A potem biskupi odwiedzili ważniejsze ośrodki polonijne w USA i Kanadzie. Było to wielkie wydarzenie w historii Polonii amerykańskiej. Tego rodzaju wizyty przyjaźni nasi rodacy za oceanem nigdy jeszcze nie przeżywali. Na pewno przy spotkaniu z biskupami z Polski serca ich były bardzo żywo. Nasi rodacy bowiem, polscy bracia za oceanem, pracując w pocie czoła na amerykańskiej ziemi, zawsze swe uczucia kierowali ku Ojczyźnie, z której wyszli. Są z nami do dzisiaj.

BUDOWALI USA

Byli to najczęściej ludzie prości. Przybyli do nowego kraju uzbrojeni w pracowitość, wytrwałość, chęć zdobycia lepszych warunków. Mieli twarde dłonie i mięśnie. Wzięli do ręki siekiere, łopatę, kilof. I pracowali w olbrzymim trudzie. Karczowali lasy, uprawiali rolę, siali zboża. Kładli fundamenty pod nowe fabryki, stalownie, osiedla miejskie. Budowali tunele, linie kolejowe, drapacze chmur, no i swoje kościoły. W amerykańską potęgę ekonomiczną włożyli potężny wkład. To jest zupełnie jasne i oczywiste. To również dzięki nim Ameryka jest bogata. Zresztą budowali ją i dla siebie.

Początki nierzadko były bardzo ciężkie. W niektórych kronikach parafialnych można wyczytać, że dziennie zarabiali tylko 1 dolara. I choć wtedy miał

znacznie większą wartość niż obecnie, to jednak ich rodziny żyły w trudnych warunkach. Przed przeszło stu laty jesienią przybyła do kanadyjskiej miejscowości grupa emigrantów. Nastąpiła bardzo ostra zima, a oni nie byli na to przygotowani. Brakło opału, żywności, ciepłych ubrań. Przyszły choroby. Z grupy około stu osób — wiosny doczekało zaledwie kilkanaście.

Tylko nieliczni spośród polskich emigrantów w USA posiadali wykształcenie. Ci zapisali się złotymi zgłoskami w dziejach kultury i ekonomiki nowej ojczyzny. Ale przede wszystkim był Kościuszko i Pułaski. Zauważa Sienkiewicz, że gdyby Polska dała Ameryce tylko Kościuszkę, Polacy mają moralne prawo do pobytu w Ameryce.

Budowali nie tylko potęgę gospodarczą i polityczną nowej ojczyzny. Ubogacili też jej kulturę swoją ludową kulturą, a więc folklorem, melodią swych pieśni religijnych i świeckich, tańcami, zwyczajami swego regionu.

Przekazali też olbrzymią wartość duchową, mianowicie żar swej gorącej wiary. Ludzie wierzący wiedzą, jak drogocennym skarbem jest autentyczna wiara w Boga. Tej wartości nie zastąpi wykształcenie, stanowisko społeczne, dobrobyt materialny. Właśnie z tą wiarą nasi emigranci zjawili się w nowym świecie. Promieniowali nią na innych. Przewodniczący Episkopatu Amerykańskiego w maju 1976 roku stwierdzili, że Polacy przybyli do USA ze swą gorącą wiarą, pracowitością, poczuciem tolerancji.

POMAGALI POLSCE

Pracowali w Ameryce i kochali nadal swą pierwszą ojczyznę. Myślą i sercem byli z nią, pozostawali przy niej. A przede wszystkim pomagali jej. Z ciężko zarobionego grosza posyłali krewnym po dolarze, po dwa, po pięć, mimo że one czasem w drodze ginęły. Setki tysięcy, miliony tych listów doszły do adresatów przed I wojną światową, w okresie międzywojennym i po II wojnie światowej. Warto przypomnieć, że listy prawie zawsze miały taki początek: „Pisząc do Was

najpierw Was pozdrawiam: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus".

Wrastając w nową Ojczyznę kochali dawną. Podczas I wojny światowej stworzyli osobną ochotniczą armię, liczącą 200 tysięcy ludzi. Walczyła ona o wolność Polski na polach Francji. Inni ich bracia daninę krwi złożyli służąc w wojsku amerykańskim. Ignacy Paderewski zyskuje u prezydenta Wilsona słynny 13 punkt traktatu wersalskiego o Polsce niepodległej, z dostępem do morza. Ten wybitny mąż stanu i genialny pianista dla swych poczynań miał potężne poparcie moralne w żywej świadomości polskiej i polonijnej milionów obywateli amerykańskich.

Po II wojnie światowej swym krewnym i przyjaciółom zniszczonym okupacją hitlerowską wysyłali żywność, lekarstwa, krowy, konie, maszyny, środki transportu.

ICH DUCHOWNI PRZYWÓDCY

Takimi byli oni, Lud Boży — według dzisiejszego nazewnictwa. Od samego początku mieli przy sobie swych duszpasterzy. Już na okręcie towarzyszyli im księża, a potem dzielili los pionierskiego, biednego i tułaczego życia. Trzymali swych wiernych krótko. Wychowywali ich po spartańsku, a przede wszystkim po chrześcijańsku. Byli to księża: Moczygęba, Bojnowski, Pitas, Kruszka, Dąbrowski i setki innych. Organizowali ludzi w skupiska, tworzyli parafie. Stanowiły one przez długie lata czysto polskie ośrodki duszpasterskie. Język polski w domu, w kościele, w organizacji parafialnej.

A przede wszystkim polskie szkoły. W każdej parafii budowano szkoły elementarne, podstawowe. Ale powstawały też liczne średnie szkoły, high schools. Uczono w nich oczywiście i religii. Okazałe budynki tych szkół można jeszcze dziś bardzo często podziwiać. W szkołach z polskim językiem wykładowym uczyły tysiące polskich sióstr zakonnych (felicjanek, nazaretanek i in.). Powstawały nawet nowe żeńskie zgromadzenia zakonne, czysto polonijne, np. franciszkanki

św. Józefa czy niepokalanki. Do dziś świadczą one o wielkiej żywotności religijnej i narodowej Polonii.

Wyrazem zapotrzebowania na polskiego, polonijnego kapłana było powstanie seminarium w Orchard Lake. Prasa w polskim języku rozwijała się również pomyślnie.

Polscy emigranci stworzyli w ten sposób zamknięty krąg językowy, religijny, socjalny. Powstawały setki polskich ośrodków. Po ostatniej wojnie zaczęły one gwałtownie zanikać. Ich założyciele, duchowni przywódcy, byli zdecydowanie przeciwni opuszczaniu polskiej parafii, szukaniu możliwości życiowych w innych warunkach. Bali się, że opuszczając parafię tracą język, religię rzymskokatolicką i polskość. W wyniku takiej koncepcji i postawy polskich przywódców, ich parafie najdłużej ze wszystkich narodowościowych zachowały język i polskie tradycje. Ale też wierni, nie interesując się kulturą amerykańską, nie wybili się na polu gospodarczym, kulturalnym, politycznym. „Tygodnik Powszechny” umieścił niedawno taką notatkę: „Cokolwiek by się powiedziało o amerykańskiej Polonii, to pozostaje faktem, że do grupy tej należy tylko 0,3 proc. osób wymienionych w World Who's Who in Finance and Industry, 0,6 proc. z Who's Who in American Politics i 2 proc. z Who's Who in American Catholic Church. Dużo, ale za mało jeśli zważyć, że Amerykanie polskiego pochodzenia stanowią 6—8 proc. społeczności USA”.

Ci, którzy stworzyli zamknięte kręgi polskie, przeważnie księża, chcieli zachować czystość wiary (co w świecie ponad 200 wspólnot protestanckich stanowiło problem), a przede wszystkim język polski. To im się udało, ale cena była znaczna. Rozmawiając z kilku obecnie już weteranami tej koncepcji zauważyłem, że raczej przyznają się do błędu.

POLONIA I „AJRYSZE”

Gdy się jest przy sprawach naszych rodaków w USA, trudno nie wspomnieć o tzw. Ajryszach. Na ten temat przez długie dziesiątki lat aż do dzisiaj dużo mówio-

no i pisano. Istniały spięcia i zadrażnienia. Warto przypomnieć, że „Ajrysze” to gorliwi katolicy, kapłani i biskupi pochodzenia irlandzkiego. Jakby na ironię, prześladowani w Europie i Polacy i Irlandczycy — w nowym kraju nie mieli wzajemnie zbyt przyjaznych stosunków.

Duchowni pochodzenia irlandzkiego, którzy stanowili większość w hierarchii kościelnej, łagodnie mówiąc, nie zawsze byli przychylni językowi polskiemu. Na tym tle było i do dziś jest zbyt wiele nieporozumień. Skąd się to wzięło? Otóż upraszczając nieco sprawę, należy stwierdzić, że katolicy, którzy przyszli do USA później niż protestanci, byli przez nich uważani, to jest przez białych amerykańskich protestantów, za coś gorszego, za półamerykanów. Dlatego duchowni irlandzcy chcieli wykazać, że są wierni nowej ojczyźnie, że są prawdziwymi Amerykanami. Wszędzie wobec tego dawali pierwszeństwo językowi angielskiemu, a przeciwni byli innym językom, również polskiemu. Wiele zatargów o tworzenie polskich parafii tu ma swe źródło, choć nie wyłącznie.

Nasi księża przez dziesiątki lat nie mogli wejść do hierarchii kościelnej, mimo iż było ich tak wielu. Główną przyczyną był fakt, że nie znali języka angielskiego. Górowali tu nad nimi Irlandczycy. Uczestniczyłem w zebraniu, na które przybyło kilkunastu kapłanów urodzonych w Ameryce. Oprócz kilku, reszta nie odwiedziła jeszcze Polski, ale wszyscy mieli serca bardzo polonijne. Mówili: nasi rodzice „ni czytaty, ni pisaty”. Byli robotnikami, ludźmi prostymi, nam — ich synom — trudno się było wybić. Do dzisiaj biskupi polonijni liczebnie są wyjątkowo słabo reprezentowani w episkopacie amerykańskim. Pierwszego biskupa polskiego, sufragana dla Chicago, mianował w roku 1904 Pius X. Stało się to dzięki nadzwyczajnemu, wytrwałemu wysiłkowi ks. W. Kruszki.

ROZBICIE POLSKICH SKUPISK

Nasi rodacy w swych ośrodkach wybudowali około 1000 kościołów. Często są to monumentalne, piękne

świątynie. Emigranci zostawili w tych sakralnych gmachach świadectwo żywej wiary, ofiarności i pracowitości. Czasem te kościoły są usytuowane blisko siebie. Polscy święci są najczęściej patronami tych świątyń i parafii. Rodzimych świętych i polskie napisy widać w ołtarzach, witrażach i na polichromiach. W niektórych dawnych plebaniach wiszą polskie godła państwowe i narodowe, obrazy Matejki i Grottgera. Niestety wielu dzisiejszych ich mieszkańców nie wie, co te obrazy przedstawiają. Dziś wokół tych kościołów pustka.

Na skutek różnych zmian społeczno-gospodarczo-politycznych ludność polonijna wyprowadza się do nowych dzielnic i parafii, ale już nie polonijnych. Na ich miejscu zjawiają się Murzyni i Portorikanie, którzy nie potrzebują takich kościołów. Najsmutniejsze wspomnienia z USA łączę właśnie z tymi kościołami. Są one wspaniałe, jeszcze nie tak dawno (w czasie II wojny światowej) przepełnione, a dziś tak tragicznie niepotrzebne, czasem w niedzielę odwiedzane przez kilkudziesięciu ludzi. Szkoda, że współczesna technika nie rozporządza takimi środkami, by je można było łatwo przetrzymać do Polski, są u nas bowiem niezwykle potrzebne.

W wielu z tych świątyń tętni jeszcze życie religijne, niekiedy bardzo żywo. Ale już inaczej. Odprawia się np. równocześnie Msze święte w górnym i dolnym kościele. W górnym odnosi się wrażenie, że jest się w Polsce, bo cała liturgia w języku polskim. Niestety, wiernych zjawilo się tu już bardzo niewiele i to prawie wszyscy w podeszłym wieku. Za 10, 15 czy 20 lat na te polskie nabożeństwa chyba już nikt nie przyjdzie. Znikną same, umrą śmiercią naturalną. W dolnym kościele też nabożeństwo, ale w języku angielskim. Tu widać życie, dynamikę i przyszłość: dzieci, młodzież i młode małżeństwa. W górnym kościele widać, co z Polonii (Polski) zostało. W dolnym ujawnia się, co z Polonii już właściwie przepadło. Takie są prawa życia i socjologii. Zmienia się postać tego świata.

Mowa ojczysta stanowi jedną z najsilniejszych więzi ludzkich. Są w Ameryce grupy polonijne, złożone z urodzonych w USA i przybyłych z kraju, które pragną, by jak najwięcej ludzi w Stanach Zjednoczonych znało język polski. Czynią wielkie wysiłki, by ich dzieci czy wnuki nie zagubiły skarbu tej mowy. Przy żywotnych parafiach są wspomniane już, sobotnie szkoły języka polskiego. Organizatorów i nauczycieli czeka żmudna praca. Język nasz wcale do łatwych nie należy. Poszedłem na lekcję prowadzoną przez mego wychowanka z Polski, księdza. Dzieci przyszło 9 na 11 zapisanych. Było jedno murzyniátko. Na tablicy kilka słów angielskich i ich polskie znaczenie. Ksiądz ma talent i zapał, więc jakoś to idzie, ale mimo wszystko ciężko. Przypomniała mi się nauka języków obcych w przedwojennym gimnazjum. Łaciny uczyłem się przez 8 lat po cztery godziny tygodniowo, a języka starogreckiego przez 6 lat po trzy godziny tygodniowo. Jak trudno będzie dzieciom ze szkoły sobotniej choć częściowo opanować mowę swych dziadków czy rodziców przy jednym spotkaniu na tydzień. Przyjazd na wakacje do Polski może w niektórych przypadkach dużo pomóc.

W jednej z polonijnych parafii proboszcz jest prawdziwym bossem (przywódcą). Widać na każdym kroku, że dzierży rząd dusz. Dobry organizator. Urodził się w USA i kocha Polskę. W szkole parafialnej jednym z przedmiotów jest język polski. Uczy ksiądz, również z Polski przybyły. Mówi mi, że najtrudniejsze, co go tu spotyka, to właśnie tych sześć godzin języka polskiego. Tych lekcji się boi, przychodzi po nich spocony. Dzieci po polsku właściwie nic nie rozumieją, a on jeszcze nie opanował angielskiego wystarczająco. Ale nauczycieli brak. Gdzie indziej są jeszcze większe trudności.

Duch polski jednak jest jak żar ognia przysypany popiołem. Wystarczy lekki powiew, a ukazuje się szczerą, wzruszającą polskość. Np. w dużym mieście kanadyjskim, w polonijnej parafii młody ksiądz zakonny przybyły z Polski zgromadził pokaźną grupę

młodzieży wokół idei dokładnego nauczania się języka polskiego. Zaprezentowali w parafialnej sali dobrą sztukę teatralną amerykańskiego autora pt. „Nie ma miejsca w hotelu”. Treścią sztuki jest początkowo trudne życie młodego małżeństwa, pragnącego swą ojczyznę znaleźć w Ameryce. Aktorzy i aktorki (młodzież i dzieci urodzone w Australii i Kanadzie) mówili na scenie piękną polszczyzną. Byłem głęboko wzruszony. Ta sama młodzież w czasie Mszy św. wieńcem otacza ołtarz i wspaniale śpiewa najnowsze polskie pieśni religijne.

ODWIEDZINY „STAREJ OJCZYZNY”

Urodził się w USA, jest proboszczem parafii polonijnej. Nieźle mówi po polsku, ale Mickiewicz czy nawet Sienkiewicz są mu obcy. Zachęcany do przyjazdu do Polski — nie okazuje ochoty. Jest to zjawisko zupełnie naturalne, nie należy mu się dziwić czy żywić skrytej pretensji. Bardzo wielu jest takich, świeckich i duchownych. Wolą odwiedzić Meksyk, Antyle, Hiszpanię, Włochy, Grecję czy Hawaje.

Niektórzy jednak przyjeżdżają do starego kraju. Trzeba stwierdzić, że koło tych turystów potrafimy chodzić. Oglądają Warszawę z kolumną Zygmunta i odbudowanym zamkiem, rynkiem Starego Miasta i Trasą Łazienkowską. Modlą się na Jasnej Górze, pełni powagi oglądają Oświęcim. No — i Kraków ze swym Rynkiem, kościołem Mariackim i Wawelem.

Krewni goszczą ich z obfitością staropolską, dogadzając jak mogą. Jeden z odwiedzających — po mile spędzonych dniach u dość zamożnych krewnych w pięknym domu — dziwił się w ogóle, dlaczego jego dziadkowie opuścili Polskę. Spotkałem tylko dwóch chłopców z USA, którzy będąc w Polsce niemiłosiernie się nudzili gdzieś na wsi koło Ostrołęki. W zasadzie wszyscy są niezmiernie uradowani bytnością u nas.

I dobrze, że tak jest. Przez dziesiątki lat Amerykanie polskiego pochodzenia cierpieli na kompleks niższości. Tak często pisano i mówiono (również w en-

cyklopediach i wydawnictwach naukowych) o Polsce z lekceważeniem, czasem nawet z pogardą. I oto po raz pierwszy zjawili się w ojczyźnie swych dziadków i zobaczyli ją inną. Piękniejszą od tej, jaką sobie wyobrażali. Ich rodzice nie mogli sobie pozwolić na przyjazd, bo stanowili grupę dopiero się dorabiającą. Zresztą obecna masowa turystyka stanowi zjawisko dopiero powojenne, dzięki wspaniale rozwiniętej komunikacji. Ich przodkowie wyjechali z Galicji, z jakiejś tam gubernii czy „spod Prusaka”, jak sami to określają. Oni odjeżdżają z innym obrazem Polski, szczególnie starsi. Niechże ten, będący często już u schyłku życia, człowiek cieszy się „starą ojczyzną”, niechże w duchu uśmiecha się do niej. A młody niech znowu do niej wróci.

PRZYBYSZE OSTATNICH LAT

Nasi rodacy, którzy w ostatnich kilkunastu latach przybyli na zachodnią półkulę, prowadzą inny styl życia od swych poprzedników. Czasy się zmieniają. Jeden z owych ostatnich przybyszów ma dwadzieścia kilka lat. Wykształcenie z Polski średnie. Mieszka w nowoczesnej dzielnicy, pracuje jako taksówkarz i równocześnie się uczy, kończy wyższe studia. Jego hobby to bezbłędne opanowanie angielskiego. Pragnie, by nikt nawet po akcencie nie mógł rozpoznać w nim przybysza. Dlatego w ogóle z Polakami i Polonią się nie kontaktuje. Chodzi do najbliższego kościoła na nabożeństwa w języku angielskim. W kraju był ministrantem. Bardzo kocha swych rodziców w Polsce i pomaga im. W biblioteczkę encyklopedia britannica i najpoważniejsze pisma amerykańskie. Zapewne nie należy mu się pochwała za całkowite odizolowanie się od środowiska polonijnego.

Inny z nich pracuje jako lekarz w supernowoczesnym szpitalu. Jego żona również. Dwoje ich dzieci doskonale mówi po polsku. W domu duch głębokiej religijności. Zachowują też polskie zwyczaje. To małżeństwo lekarzy pracuje ciężko. Zmęczenie uwidacza się na ich twarzach. Ale potrzebne im, jako obco-

krajowcom, egzaminy zdali z odznaczeniem. W szpitalu kilkuset pracowników. Nasi lekarze nie słyszeli, by ktokolwiek z nich odzywał się kiedyś po polsku. Gdy jednak rozeszła się po szpitalu wieść, że ci młodzi i wybitni lekarze to Polacy, raz za razem ktoś mniej lub bardziej łamaną polszczyzną przyznawał się im, że jego dziadkowie czy rodzice przyjechali z tej czy tamtej dzielnicy Polski.

Ale tylko część najnowszej Polonii może się poszczycić tak chlubnym świadectwem danym dawnej ojczyźnie. Większość nowo przybyłych Polaków pragnie się szybko dorobić. I to im się w zasadzie udaje. Niestety, zaniedbują przy tym bardzo życie religijne, szczególnie gdy z kraju przybyli już z postawą konsumpcyjną. Usprawiedliwia ich w pewnym stopniu inny styl pracy duszpasterskiej w nowym kraju, niemniej kapłani polonijni mają do nich uzasadniony żal.

Większość z nowo przybyłych nie osiedla się już w miejscowym środowisku polonijnym. W nowym bardzo szybko gubią polski język, przejmują nowy styl życia. Włączają się w amerykańską problematykę, wybijają się. A więc życie przyniosło tę koncepcję, którą, dawniejsi liderzy polonijni odrzucili, a którą, jak pozostali jeszcze z nich przy życiu sądzą, może raczej należało przyjąć.

Dla Polonii w USA otwiera się nowy rozdział. Będzie to już inna Polonia, bez skupisk i języka dawnej Ojczyzny. Działacze polonijni rozwijają akcję informowania w języku angielskim społeczeństwa amerykańskiego o polskim dorobku kulturowym, naukowym, artystycznym na przestrzeni wieków. Podkreślają wkład Polaków w dorobek i budowę państwa amerykańskiego. Pragną utrzymać ścisłą łączność z dawną Ojczyzną.

Oby ta nowa Polonia była jak najbardziej żywa. Potrzebny do tego olbrzymi wysiłek i nowe koncepcje. Również w kraju. Rzecz jasna, że nie ma tu mowy o tworzeniu jakiejś Polski w Ameryce. Zagadnienie spoczywa na innej płaszczyźnie.

SĄ JESZCZE Z NAMI

Będąc dwukrotnie w USA, widziałem Polonię jeszcze tę dawną, jeszcze żywotną. Spotkania z rodakami pozostawiają niezatarte wrażenia. Ileż to razy sala huczała od spontanicznej manifestacji. Czasem zebrani wstawali śpiewając „Boże coś Polskę” lub „Jeszcze Polska nie zginęła”. W mówiącego wpatrzono były radośnie setki i tysiące oczu. Tego się nie zapomina. Tam się zostawia serce. Ludzie z Polonii chciwie chłoną wiadomości o starym kraju. A mamy im co przekazać, o czym opowiadać. Za wieści o Polsce są bardzo wdzięczni. Takie spotkania są jednym ze sposobów podtrzymania i ożywienia więzi z ojczyzną nad Wisłą.

TREŚĆ

Książka niniejsza jak sam tytuł — „Z duszpasterskiej teki” — wskazuje, poświęcona jest niektórym wybranym problemom duszpasterskim. Choć wynikają one z polskiej specyfiki, to jednak większość z nich jest również aktualna za granicą.

W części pierwszej książki, najobszerniejszej (r. I — r. XVIII) mowa jest o zagadnieniach duszpasterstwa parafialnego. Rozważania drugiej części (r. XIX — XXI) odnoszą się do spraw życia zakonnego. W części trzeciej (r. XXII — XXVI) wzięte są pod uwagę problemy duszpasterskie Polonii w Ameryce Północnej.

Bardziej szczegółowa treść przedstawia się następująco:

Cztery pierwsze rozdziały książki poświęcone są problemowi katechizacji w Polsce po II wojnie światowej. Oparta jest ona na całkowitej dobrowolności t. zn., że w katechizacji biorą udział te dzieci i ta młodzież, która tego pragnie. W okresie międzywojennym lekcje religii miały swe miejsce w państwowych szkołach podstawowych i średnich jako przedmiot obowiązkowy. Obecnie dobrowolne uczęszczanie młodych na katechizację wymaga od osób katechizujących, szczególnie księży, specjalnego wysiłku. Ale za to ta dobrowolność młodych stanowi bardzo cenny przymiot katechizacji. Aby nauczanie religii mogło być skuteczne, musi być prowadzone w wymiarze dwóch godzin tygodniowo. To zadanie kościół katolicki w Polsce wypełnił dotychczas tylko częściowo.

Rozdział V mówi o tzw. „pierwszych piątkach”, czyli nabożeństwie ku czci Serca Jezusowego, cieszącego się w Polsce dużą popularnością. Zawarta jest tu też wzmianka o ludziach zlaicyzowanych. W r. VI jest mowa o bardzo uroczyście obchodzonych nabożeństwach z okazji Roku Świętego w r. 1974. W r. VII zawarta jest próba właściwego spojrzenia na ludzi w podeszłym wieku. Rozdział VIII traktuje o ważnej pracy kapłanów jaką są odwiedziny kolędowe w parafii wielkowiejskiej., a r. IX o konieczności statystyki w duszpasterstwie. Następny r. X przypomina obowiązek prowadzenia kronik parafialnych.

Dobra współpraca proboszcza ze swymi wikarymi (r. XI) przyczynia się wydatnie do skutecznego głoszenia Ewangelii, w czym też pomocna jest właściwa praca dziekana (r. XII).

R. XIII mówi o pozytywnych lub ujemnych owocach wyjazdów polskich księży za granicę. Rozdział XIV sugeruje, by duchowni nadal zachowali właściwy im strój.

Rozdział XV i XVI zawiera wrażenia i opis prac biskupa głównie podczas wizytacji parafii, a rozdziały XVII i XVIII przypominają postacie dwóch świątobliwych kapłanów, pracujących w ośrodkach parafialnych. Są to księża: Stanisław Słonka i Kacper Puchalski.

Druga część książki poświęcona jest problematyce zakonnej. Rozdział XIX sugeruje akcję duszpasterską i modlitewną w celu zwiększenia powołań do zakonów żeńskich. Rozdział XX przedstawia konieczność świadczenia pomocy przez społeczeństwa klasztorom kontemplacyjnym. Rozdział XXI mieści w sobie temat, bardzo rzadko poruszany w publicystyce duszpasterskiej, a mianowicie współpracę kleru diecezjalnego i zakonnego na terenie parafii.

Trzecia część książki, obejmująca pięć ostatnich rozdziałów (r. XXII — r. XXVI) zawiera wspomnienia autora z jego spotkań z Polonią w USA i Kanadzie. Polacy przybywający do Ameryki budowali jej potęgę przede wszystkim ekonomiczną, a religia stanowiła dominantę ich działalności społecznej, kulturowej czy politycznej. Obecnie model dawnej polonijnej parafii zanika. Nie mniej Polonia Amerykańska nadal odczuwa więź z Ojczyzną swoich przodków w Europie.

RIASSUNTO

Questo libro — come dimostra il titolo: „Saggi pastorali” — tratta di alcuni scelti problemi pastorali. Le questioni discusse in libro, pur emerse dalla specifica situazione polacca, in gran parte risultano valide anche per gli altri paesi.

Nella prima parte del libro, la più ampia (cap. I—XVIII), vengono sviluppati diversi aspetti della pastorale parrocchiale. Le considerazioni della parte seconda (cap. XIX—XXI), invece, riguardano la vita religiosa. E infine, nella terza parte (cap. XX—XXV), vengono trattati alcuni problemi pastorali degli emigranti polacchi negli Stati Uniti dell'America del Nord.

Più in particolare il contenuto del libro si presenta in maniera seguente:

Nei quattro capitoli iniziali viene discussa la situazione della catechesi in Polonia dopo la seconda guerra mondiale. La catechesi si basa sulla libera scelta, vuol dire che ne prendono

parte i bambini e la gioventù che desiderano approfondire la loro conoscenza della fede cattolica. Prima, cioè nel periodo tra le guerre mondiali, le lezioni della religione si svolgevano nelle scuole statali di tutti i gradi quale materia obbligatoria. Oggi la libera partecipazione dei giovani costituisce una caratteristica molto preziosa della catechesi in Polonia, ma — allo stesso tempo — esige un particolare impegno da parte delle persone impiegate in questo settore, specialmente dai sacerdoti. Affinchè l'insegnamento della religione possa essere veramente efficace, deve comprendere due ore alla settimana. La Chiesa in Polonia ha riuscito di realizzare questo compito finora solamente in parte.

Il capitolo V tratta dei cosiddetti „primi venerdì del mese”, cioè sulla devozione al Santissimo Cuore do Gesù, che in Polonia è molto diffusa in questa forma particolare. Nella stessa sezione del libro si parla anche sul problema scottante di laicizzazione. Il capitolo VI contiene le riflessioni pastorali sulle celebrazioni svoltesi in occasione dell'Anno Santo 1975. Il capitolo VII, invece, costituisce un tentativo di impostare in maniera corretta la pastorale della gente di „terza età”. Il capitolo VIII prende in considerazione diversi aspetti della visite pastorali nelle parrocchie urbane fatte in occasione delle Feste Natalizie.

I capitoli IX e X parlano della necessità-rispettivamente-della statistica pastorale e della cronaca parrocchiale. Una buona collaborazione tra parroco e vice-parroci (cap. XI) contribuisce molto all'efficacia dell'annuncio del Vangelo. In questa prospettiva viene considerata anche la fusione del decano (cap. XII).

Il capitolo XIII prende in esame i frutti positivi e negativi dei viaggi dei sacerdoti all'estero. Il capitolo XIV parla del ruolo della veste sacerdotale sotto vari punti di vista.

I capitoli XV e XV contengono i pensieri del Vescovo al proposito delle visite pastorali nelle parrocchie, e i capitoli XVII e XVIII ricordano le persone di due sacerdoti morti „in odore della santità”: Stanisław Słonka e Kacper Puchalski.

La parte seconda del libro è dedicata alla problematica della vita religiosa. Il capitolo XIX suggerisce un programma dell'azione pastorale e di preghiera per le vocazioni religiose femminili. Il capitolo XX presenta la necessità dell'aiuto da parte della società agli ordini contemplativi. Il capitolo XXI tratta del problema della collaborazione del clero diocesano con quello regolare nella pastorale parrocchiale.

La terza parte del libro contiene cinque ultimi capitoli (cap. XXII—XXVI) e presenta le riflessioni dell'Autore emerse dai suoi incontri con gli emigranti polacchi negli Stati Uniti dell'America e nel Canada. I polacchi in America hanno contribuito allo sviluppo economico di quel paese, e la reli-